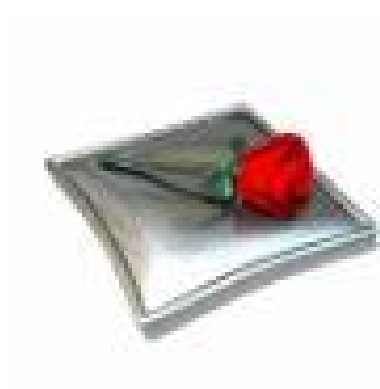




DAWN STEWARDSON



Ogłoszenie

Tytuł oryginału: The Want Ad

Ogłoszenie było zbyt dziwne, aby April mogła je zignorować, lecz za każdym razem, gdy je czytała, czuła, jak po plecach chodzą jej ciarki.

Wiedziała, że powinna wrzucić gazetę do kubła z makulaturą, jednak pożerała ją ciekawość. W końcu co jej szkodzi zatelefonować i dowiedzieć się, kto umieścił anons? A także: w jakim celu?

Ciekawość - pierwszy stopień do piekła. W dzieciństwie mama powtarzała jej to do znudzenia. Mimo to nie potrafiła oderwać wzroku od tekstu w gazecie:

„Ktokolwiek zna miejsce pobytu Jillian Birmingham, urodzonej 22 czerwca 1968 roku w szpitalu Świętego Wincentego, proszony jest o kontakt z jej bratem (na jego koszt) pod numerem 212-555-1427”.

Przez chwilę wpatrywała się w słowo „brat”, po czym przeniosła spojrzenie na swe prawdziwe imię oraz nazwisko. Była jedynaczką, a od niepamiętnych lat posługiwała się takim lub innym pseudonimem. O co więc chodzi? I czy próba dowiedzenia się tego wiąże się z jakimkolwiek ryzykiem?

Ponownie przeczytała ogłoszenie. Żałowała, że nie jest jedną z tych osób, które, zasiadając w niedzielny poranek do śniadania, otwierają gazetę na stronie z krzyżówkami. Ale niestety. Wolała studiować komunikaty typu „Zgubiono”, „Poszukuje się” lub „Pan pozna panią”, bo czasem niektóre z nich były bardzo zabawne. Czasem, lecz nie dziś.

Weszła do małej kuchni bez okna, naląła z dzbanka resztę kawy i zadumała się. Przyszło jej do głowy, że mogłaby zadzwonić do rodziców i spytać, co oni o tym sądzą, ale odrzuciła pomysł. Mimo że minęło już tyle lat, każdy kontakt z nimi pociągał za sobą niebezpieczeństwo. Do tej pory zawsze była arcyostrożna, tym razem też nie zamierzała popełniać błędów. Jeżeli wykręci podany w ogłoszeniu numer, będzie trzymać się sztywnych reguł, które dawno temu sama sobie narzuciła.

Była złą, że z treści ogłoszenia nie potrafi się niczego domyślić. Wiedziała jedynie, że dwieście dwanaście to kierunkowy do Nowego Jorku, zatem człowiek, który zamieścił anons, mieszka tu, gdzie i ona. Słowa w nawiasie, aby dzwonić na koszt ogłoszeniodawcy, sugerowały, że nie ma on najmniejszego pojęcia, gdzie Jillian Birmingham przebywa. Natomiast chyba bardzo mu zależało na tym, aby ją odnaleźć, skoro ogłoszenie umieścił w niedzielnym wydaniu „New York Timesa”, które docierało wszędzie w całym kraju. Trochę to ją zaniepokoiło. Zastanawiała się, ile osób to przeczyta. Ile rozpozna jej nazwisko? Ile zdziwi się, że ktoś tak bardzo pragnie nawiązać z nią kontakt, iż daje ogłoszenie do „Timesa”? A jeżeli zobaczy je ktoś z FBI i uzna, że warto się zainteresować...

Psiakość, a może to federalni zamieścili ogłoszenie? Może z jakiegoś powodu postanowili podjąć jeszcze jedną próbę odszukania jej rodziców i chcieli ją samą wykorzystać do tego celu?

Oczywiście, nie mogła tego wykluczyć. Zaczęła zmywać po sobie naczynia. Ciekawość powoli brała górę nad ostrożnością.

Żeby zatelefonować pod numer w ogłoszeniu, musiałaby wyjść do budki. Telefonu komórkowego nie mogła użyć, bo nie był naładowany, a z normalnego stacjonarnego aparatu bała się dzwonić. A nuż dawca ogłoszenia ma urządzenie, które pokazuje numer osoby dzwoniącej? Wtedy bez trudu zdobyłby jej adres.

Z bijącym sercem wyrwała z „Timesa” ogłoszenie, zbiegła dwa piętra w dół, wyszła z budynku i skierowała się Zachodnią Siedemdziesiątą Piątą Ulicą do „Bennie's Deli”. Zbliżając się do drzwi, postanowiła, że jeżeli wiszący na ścianie aparat będzie zajęty, potraktuje to jako znak, że nie powinna nigdzie dzwonić. Ale z aparatu nikt nie korzystał.

- Cześć, April! - zawołał zza lady właściciel sklepu.

- Cześć, Bennie.

Uśmiechnęła się, po czym ruszyła w głąb sklepu. Miała nadzieję, że zobaczy przyklepioną do aparatu kartkę: „Telefon nieczynny.” Ją też potraktowałyby jako znak.

Kartki nie było, a kiedy podniosła słuchawkę, rozległ się normalny buczący sygnał.

Wmawiając w siebie, że strugi potu leją się jej po plecach tylko dlatego, że jest upalny lipcowy dzień, wyciągnęła z kieszeni szortów dwudziestopięciocentową monetę. A potem, modląc się w duchu o to, aby nie popełnić jakiegoś strasznego głupstwa, którego będzie żałowała do końca życia, zaczęła wykręcać podany w ogłoszeniu numer.

Jeden dzwonek, drugi, trzeci. Obiecała sobie, że jeżeli po czwartym ktoś nie odbierze, rozłączy się i więcej już nie zadzwoni. I nagle w jej

uchu zadźwięczał głos, głęboki, sympatycznie brzmiący głos mężczyzny, chyba trzydziestokilkuletniego.

- Paul Gardiner, słucham.

W pierwszym odruchu miała ochotę czym prędzej odwiesić słuchawkę, ale odetchnęła głęboko i powiedziała:

- Dzień dobry, dzwonię w sprawie ogłoszenia... Cisza, a potem:

- Jillian?

- Tak. Ale jeżeli pan szuka siostry, to nie jestem tą Jillian. Nie mam brata.

- A ja nie mam siostry. Po prostu tak napisałem w ogłoszeniu, żeby wzbudzić pani ciekawość i skłonić do zadzwonienia.

Punkt dla niego. Wypuściła wolno powietrze.

- No dobrze, dzwonię. Czego pan chce?

- Porozmawiać z panią. Osobiście.

Ręce się jej trzęsły. Opanuj się, powiedziała do siebie; przecież nie musisz się z nim spotykać, a z jednej rozmowy telefonicznej nic złego nie wyniknie.

- Kim pan jest?—spytała.

- Nazywam się Paul Gardiner. Jestem pisarzem.

W jej głowie natychmiast rozległy się dzwonki ostrzegawcze.

- Rozumiem. No cóż, nie mam panu już nic do powiedzenia.

- Nie, proszę się nie rozłączać! Żeby się z panią zobaczyć, jestem gotów lecieć na drugi koniec świata. Gdziekolwiek pani mieszka. To bardzo ważne.

- Może dla pana, ale nie dla mnie.

- Dla pani również. Chodzi o pani rodziców. Spodziewała się tego. Zanim jednak zdążyła odwiesić słuchawkę, mężczyzna ponownie się odezwał:

- Błagam, możemy się spotkać, kiedy pani chce. I gdzie pani chce. Nie muszę znać ani pani adresu, ani nazwiska, jakiego pani używa. Chcę tylko...

- Przykro mi, ale...

- Mam dowody, że pani ojciec jest niewinny. Że go wrobiono.

Wstrzymała oddech; serce waliło jej młotem. Jakie dowody? To niemożliwe! Od tamtej pory minęło zbyt wiele czasu. Ale z drugiej strony...

- Jakie dowody?

- To nie jest rozmowa na telefon. Nie mogę ryzykować, że ktoś nas usłyszy.

- Jeżeli pan sądzi, że ułatwię panu kontakt z moimi rodzicami, to się pan myli. Nie widziałam się z nimi od wielu lat. - Oczywiście kłamała, ale on nie miał jak tego sprawdzić. Nauczyła się kłamać, kiedy tylko zaczęła mówić, i osiągnęła w tym mistrzostwo.

- To nie ma żadnego znaczenia. Proszę, niech się pani ze mną spotka. To, czego zdołałem się dowiedzieć, może przywrócić im wolność.

Zamknawszy oczy, usłyszała głos ojca: „Kochanie, nigdy nie ufaj obcym. Od tego zależy nasze życie”.

- Jillian? Po prostu niech mnie pani wysłucha. Pół godziny, o więcej nie proszę.

- Muszę się zastanowić - rzekła po chwili. - Jeżeli się zdecyduję, zadzwonię do pana.

Albo na lotnisku La Guardia podają najgorszą kawę na świecie, albo dziwny, bolesny ucisk, jaki czuła w brzuchu, jest wynikiem napięcia. Pewnie jedno i drugie, pomyślała.

Dopiwszy brunatną ciecz, wyrzuciła tekturowy kubek do kosza na śmieci i rozejrzała się wokół, tłumacząc sobie, że przecież nie ma powodu do zdenerwowania.

Przez kilka dni zastanawiała się nad propozycją Gardinera i wczoraj ponownie do niego zadzwoniła. Powiedziała mu, że mogą się spotkać, ale to ona przyleci do Nowego Jorku, a on niech jedynie dotrze na lotnisko. Na wszelki wypadek przybyła na miejsce dwie godziny przed czasem, rzecz jasna taksówką z nowojorskiej Upper West Side, a nie samolotem z drugiego końca Stanów.

Spojrzała na zegarek, potem znów zerknęła w stronę kontuaru, za którym urzędował pracownik firmy Budget trudniącej się wynajmem samochodów. Tym razem Gardiner już czekał.

Nagle zaschło jej w gardle. Wiedziała, że na podstawie samego wyglądu nie sposób ocenić, czy można komuś ufać, czy nie, ale uznała, że nic jej nie szkodzi dokładnie obejrzeć sobie faceta, zanim do niego podejdzie.

Zgodnie z tym, co mówił przez telefon, mierzył ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, włosy miał ciemne, oczy też, i ubrany był w dżinsy oraz niebieską bawełnianą koszulę. Rysy miał dość regularne, brwi krzaczaste, prawie zrosnięte, włosy lekko podkręcające się na końcach, na

policzkach zaś kilkugodzinny zarost, który uwydatniał mocno zarysowaną szczękę.

Obiektywnie rzecz biorąc, facet był piekielnie przystojny; subiektywnie rzecz biorąc, sam jego widok przyprawiał ją o dreszcz przerażenia.

Zbierała się na odwagę, aby podejść bliżej, kiedy zerknął w jej stronę. Jego spojrzenie sprawiło, że po krzyżu przeszły ją ciarki. Siłą woli zmusiła się, aby postąpić naprzód.

- Jillian? - spytał, kiedy zatrzymała się przed nim. Skinęła głową.

- Dzięki, że jesteś. Nie do końca wierzyłem, że przylecisz.

- Ja też nie.

Uśmiech miał miły i serdeczny, ale to jej bynajmniej nie uspokoiło.

- Gdzie chcesz usiąść? - spytał. - Przyjechałem samochodem, więc możemy...

- Nie, tu na lotnisku będzie dobrze. Widziałam taką małą kawiarenkę.

Ruszył za dziewczyną, cały czas powtarzając sobie w myślach, że musi być ostrożny, aby jej nie wystraszyć. Nie miała powodu, by mu ufać, a widać było, że jest potwornie zdenerwowana.

Znaleźli w miarę cichy kącik. Ledwo zdążyli usiąść, kiedy pojawiła się kelnerka z dzbankiem kawy. Podczas gdy napełniała im kubki, Paul przyglądał się ukradkiem swojej towarzyszce.

Prawie nic o niej nie wiedział - ani gdzie mieszka, ani co robi, ani nawet jakim nazwiskiem się posługuje. Brak obrączki sugerował, że nie ma męża, ale mogła ją po prostu zdjąć.

Praca ani nazwisko nie miały jednak większego znaczenia. Ważne było, czyją jest córką, a to nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Oglądał wiele taśm z Colinem i Mary Birminghamami - wszystkie, jakie były dostępne w archiwum stacji - i teraz od razu zwrócił uwagę na podobieństwo między matką a córką.

Ciemne włosy Jillian były krótsze od włosów Mary, która wtedy, w latach sześćdziesiątych, nosiła fryzurę do ramion. Ale obie były szczupłe, wysokie, o wielkich, ciemnych oczach, wyraźnie zaznaczonych kościach policzkowych i pełnych ustach.

- Dobrze. - Zacisnęła dłonie na kubku. - Więc masz dowody świadczące o niewinności mojego ojca?

- Tak.

Posiadał nie tyle dowody, co informacje, ale gdyby powiedział jej to wprost, pewnie nie chciałaby się z nim spotkać. Liczył zaś na to, że zanim Jillian zorientuje się we wszystkim, zanim się połapie, co i jak, zgodzi się z nim współdziałać.

- No, słucham.

- Może lepiej będzie, jak ci najpierw wyjaśnię parę spraw.

Podniósł do ust kubek, usiłując trochę zyskać na czasie. Nie chciał wystraszyć jej jeszcze bardziej. Miał jedynie nadzieję, że nie poderwie się oburzona, zanim do końca go nie wysłucha.

- Przez telefon powiedziałem ci, że jestem pisarzem - zaczął. - Pragnę to uściślić. Podejrzewam, że nie spodoba ci się to, co usłyszysz, ale nie chcę niczego przed tobą ukrywać. Dobrze?

Skinęła głową.

- W porządku. - Z kieszeni dzinsów wyciągnął portfel, z którego wydobył legitymację służbową. - Jestem reporterem zatrudnionym przez NBS. Głównie przygotowuję program „Dzisiejszy świat”.

Przez chwilę bez słowa wpatrywała się w dokument, który jej przedstawił, po czym odsunęła krzesło.

- Dziękuję, to mi wystarczy - rzekła wstając.

- Nie, poczekaj. Nasze dzisiejsze spotkanie nie ma nic wspólnego z moją pracą w telewizji. Piszę jednak książkę, w wolnym czasie. I właśnie kiedy zbierałem do niej materiały, dowiedziałem się, że twojego ojca wrobiono. Że jest niewinny.

- Rozumiem. A książkę piszesz o... Nie, nie mów. Niech sama zgadnę. O wojnie w Wietnamie, tak? I kładziesz nacisk na ruch antywojenny?

- Nie.

- Hm. Więc jakim cudem informacje, które zdobyłeś, dotyczą mojego ojca?

Upił kolejny łyk kawy. Zastanawiał się, czy ukrywanie przed nią prawdy ma jakikolwiek sens.

- Słuchaj - powiedział wreszcie. - Mało kto wie, że piszę książkę, a już nikt nie wie, czego ona dotyczy. Jeśli ci zdradzę, czy mogę liczyć na twoją dyskrecję?

Posłała mu ironiczne spojrzenie.

- W zachowywaniu tajemnic specjalizuję się niemal od urodzenia.

- Faktycznie. - Zrobiło mu się jej żal Nie potrafił sobie wyobrazić jej dzieciństwa; miała zaledwie dwa latka, kiedy jej rodzice zeszli do

podziemia. - Ostrożność nigdy nie zaszkodzi - powiedział usprawiedliwiającym tonem. - Chodzi o to, że moja książka nie spodoba się FBI. A ponieważ z racji wykonywanej przeze mnie pracy muszę utrzymywać z federalnymi dobre stosunki, im dłużej o niczym nie będą wiedzieć, tym lepiej.

- Dlaczego im się książka nie spodoba?

- Bo traktuje o sprawach, których FBI nie rozwiązało. I opisuje znanych przestępców, których nie zdołało złapać.

Wpatrując się w siedzącego naprzeciw mężczyznę, April czuła, jak wzbiera w niej gniew.

- Aha. Więc mój ojciec interesuje cię jako jeden z tych znanych, ale nie złapanych przestępców, tak? - Ledwo nad sobą panowała. - Otóż popełniasz duży błąd. Mój ojciec nie jest znanym przestępcą. Jest niewinnym człowiekiem oskarżonym o zbrodnię, której nie popełnił. Oboje moi rodzice byli przeciwni wszelkiej przemocy, a co za tym idzie gwałtownym formom protestu. Ale nie to chciałeś ode mnie usłyszeć, prawda? I pewnie dowodów wskazujących na niewinność mojego ojca też nie masz, co? Po prostu liczyłeś, że opowiem ci kilka ciekawostek z ich życia, które będziesz mógł zamieścić w książce. Liczyłeś...

- Posłuchaj. Pewnie znasz wszystkie szczegóły dotyczące wybuchu, ale...

- Owszem, znam - przerwała mu. Nie miała ochoty omawiać tragedii, jaka się wydarzyła przed laty.

Kiedy tylko dorosła na tyle, aby cokolwiek z tego zrozumieć, rodzice opowiedzieli jej całą ponurą historię. Później, już jako nastolatka, szperała

po bibliotekach, usiłując przeczytać wszystkie artykuły, jakie napisano na temat wybuchu.

Pierwsze tytuły brzmiały mniej więcej tak: „Radykalni przeciwnicy wojny podkładają bombę w fabryce napalmu!” „Demonstranci mordują siedmioro niewinnych ludzi!”

Ich autorzy opisywali, dlaczego ruch AWW - Amerykanie za Wycofaniem się z Wietnamu - ponosi odpowiedzialność za zniszczenie fabryki produkującej napalm, który jakoby był zrzucany na wietnamską ludność cywilną.

W kolejnych artykułach cytowano wypowiedzi różnych członków AWW. Jedni twierdzili, że AWW nie miał z tym nic wspólnego, inni mówili, że zaszła tragiczna pomyłka - bomba powinna była wybuchnąć w nocy, kiedy w fabryce nikogo już nie ma. Niefortunnym zrzędzeniem losu wybuchła wcześniej, zanim robotnicy rozeszli się do domów.

W jeszcze późniejszych artykułach odrzucono teorię nieszczęśliwego wypadku; dochodzenie przeprowadzone przez FBI wykazało, że mechanizm zegarowy nastawiony był na tę godzinę, kiedy nastąpił wybuch. W czasie gdy sprawa nie schodziła z pierwszych stron gazet, ojcu April doniesiono, iż dwóch członków AWW oskarżyło go o podłożenie bomby.

Kłamali, ale nikogo to nie obchodziło. Szukano winnego, a ich zeznania, wszystko jedno, czy prawdziwe, czy fałszywe, wystarczyłyby, aby Colin Birmingham resztę życia spędził za kratkami. Toteż, mimo że był niewinny, Colin z żoną postanowili zniknąć.

Dopiero wtedy prasa miała używanie! Wypisywano różne brednie, twierdząc, że tylko człowiek winny ucieka, a niewinny zostaje i oczyszcza się z zarzutów. Po to, żeby sprzedać większy nakład, dziennikarze zabawili się w sędziów i wydali wyrok skazujący na człowieka, którego jedyną winą był brak wiary, iż sprawiedliwość zwycięży.

- Jillian? - Paul Gardiner przerwał jej rozmyślenia. -Przepraszam, nie chciałem cię zdenerwować. I przysięgam, wcale nie szukam żadnych ciekawostek z życia twoich rodziców. Naprawdę dowiedziałem się czegoś, co świadczy o ich niewinności. Chcesz to usłyszeć?

Odetchnęła głęboko. Może facet ma uczciwe zamiary, a może próbuje ją oszukać. Tak czy owak, musi uzbroić się w cierpliwość.

- I w końcu dotarłem do facetów, którzy zrzucili winę na twojego ojca - ciągnął Paul. - A oni...

- Co to za jedni?- spytała.

Wreszcie uzyska odpowiedź na pytanie, które gnębi ją od tylu lat. Chyba że Paul odmówi podania nazwisk, a wtedy koniec zabawy; nie zostanie ani chwili dłużej. Jeżeli nie zamierza jej zaufać, ona tym bardziej nie może zaufać jemu.

- Gazety ani razu nie wymieniły ich nazwisk - rzekła, kiedy spojrział na nią zdziwiony. - Czytałam wszystkie artykuły na temat eksplozji.

- Tak, federalnym często udaje się nie ujawniać nazwisk swoich informatorów. Zwłaszcza jeśli poza agencją nikt nie zna ich tożsamości.

- Parę osób jednak znało, bo rodzice dowiedzieli się, kim byli ci dwaj kapusie. Ale ze mną o nich właściwie nie rozmawiali.

- Nie?

- Nie. Wiem tylko, że to nie oni podłożyli ładunek, bo obydwaj mieli alibi. I nie oni planowali akcję, bo nie należeli do przywódców ruchu; byli zwykłymi członkami.

- Jak myślisz, dlaczego rodzice nie zdradzili ci ich nazwisk?

- Nie mam pojęcia. Może bali się, że będę chciała zabawiać się w detektywa i wpakuję nas wszystkich w jeszcze większe tarapaty.

Mężczyzna ponownie wyszczerzył zęby w uśmiechu i znów był to uśmiech ciepły, przyjazny, od którego pojaśniała mu cała twarz.

- Nazywają się Tom Walker i Ken Gutteridge - powiedział.

- Gdzie ich odnalazłeś?

Zawahał się. Nie wiedziała, czy dlatego, że nie jest pewien, ile jej zdradzić, czy dlatego, że chce ją okłamać.

- Walker mieszka w Bridgeport w stanie Connecticut - odparł po chwili - a Gutteridge uciekł przed wojskiem do Kanady i tam pozostał. Mieszka w Port Credit, które właściwie jest już podmiejską dzielnicą Toronto.

- Widziałeś się z nimi czy rozmawialiście przez telefon?

- Do obu wybrałem się osobiście.

- W jaki sposób ich odszukałeś?

- Założę się, że gdybyś żyła w piętnastowiecznej Hiszpanii, pracowałabyś w Inkwizycji.

Uśmiechnęła się kwaśno; musiała przyznać, że facet ma poczucie humoru. Przypuszczalnie zjednuje mu to sympatię ludzi, którzy tym chętniej udzielają mu różnych informacji.

- Postaram się nie zameęczać cię pytaniami - obiecała - ale jeszcze kilka muszę zadać. A więc czy trudno było zlokalizować Walkera i Gutteridge'a?

- Nie bardzo. W dzisiejszych czasach, jak się zna nazwisko, znalezienie adresu nie stanowi większego problemu.

Nie skomentowała tego. Oczywiście miał rację. W erze rozwiniętej elektroniki każdy z dostępem do Internetu ma dojście do wielu informacji.

- Skąd miałeś nazwiska?

- Akta składowane są w nowojorskim archiwum FBI... Odpowiedź jej nie zaskoczyła. Bądź co bądź wysadzona w powietrze fabryka mieściła się niedaleko Nowego Jorku.

- ... a tak się składa, że znam jednego z zatrudnionych tu agentów.

- Powiedziałeś mu, że interesujesz się tą sprawą? - Po plecach przeszedł jej dreszcz. - Nie zdziwił się? A jeżeli domyśli się, że... Jeżeli zechce...

- Nie denerwuj się. Mniej więcej raz na miesiąc wypytuję go o różne rzeczy. Jest do tego przyzwyczajony.

Oby tak było. Podejrzewała, że niewiele trzeba, aby federalni wznowili poszukiwania Colina Birminghama.

Przypominali buldoga, który jak raz się czegoś uczepi, to nie puszcza. A oni uwzięli się na jej ojca. Napalmowiec, jak i go sami przewali, przez wiele lat widniał na ich liście Najbardziej Poszukiwanych Przystępców. Z czasem usunęli z niej jego nazwisko, ale w ich oczach wciąż uchodził za człowieka, który zabił siedmioro niewinnych ludzi.

Powróciła myślami do Walkera i Gutteridge'a.

- Więc spotkałeś się z facetami, którzy twierdzili, że mój ojciec podłożył ładunek?

- Tak. Powiedziałem im, że zbieram materiały do specjalnego odcinka programu „Dzisiejszy świat”, który ma być poświęcony ruchom antywojennym. Przez parę minut rozmawialiśmy ogólnie o AWW, a potem już konkretnie o wybuchu w fabryce napalmu. Kiedy spytałem, skąd wiedzą, że to Co-lin Birmingham podłożył bombę, z początku nie chcieli o tym mówić. Byli spięci, wyraźnie niezadowoleni, że wiem, że to od nich wyszła ta informacja. Zapewniłem ich jednak, że w programie nie ujawnimy ich roli.

- Co ci odpowiedzieli?

- Uraczyli mnie tą samą historyjką co federalnych w 1970 roku. Że poprzedniego wieczoru pili z twoim ojcem i że zwierzył im się ze swoich zamiarów.

- To absurd! Ktoś, kto planuje wysadzenie w powietrze fabryki, byłby tak głupi, żeby się tym chwalić? Chryste! I ty w to wierzysz?

- Wiesz, ludzie często mówią po pijaku rzeczy, o których normalnie by nie mówili - odparł wolno. - Tamci dwaj, Walker i Gutteridge, mówili dość przekonująco. Nie odniosłem wrażenia, żeby kłamali.

- Ale federalni musieli rozmawiać też z innymi członkami AWW. Mężczyzna skinął głową.

- Owszem. Z tego, co wiem od swojego informatora, rozmawiali z każdym, kogo udało im się namierzyć.

- Czy ktoś jeszcze obciążył winą mojego ojca?

- Nie. Reszta twierdziła, że nie ma pojęcia, kto jest odpowiedzialny za wybuch.

- Czyli Walker z Gutteridge'em łgali. Może przekonująco, ale łgali.

- Tak. Zresztą Walker sam się do tego przyznał.

Przez moment, nie dowierzając własnym uszom, patrzyła otepiąła na siedzącego naprzeciw siebie mężczyznę.

- Myślałam... Mówiłeś, że obydwaj powiedzieli ci, że to mój ojciec podłożył bombę.

- Owszem, tak powiedzieli podczas naszego pierwszego spotkania. Ale dwa tygodnie temu Walker zadzwonił do mnie po raz drugi i prosił, żebym go odwiedził. Kiedy przyjechałem, przyznał mi się, że on i Gutteridge zrzucili winę na twojego ojca, żeby chronić człowieka, który faktycznie dokonał zamachu.

- O Boże! - szepnęła April. Całe życie marzyła o tym, aby prawda w końcu wyszła na jaw. - A kto go faktycznie dokonał?

- Niestety, tego mi Walker nie chciał ujawnić. Kiedy poleciałem do Kanady, żeby spotkać się po raz drugi z Gutteridge'em, ten twardo obstawał przy pierwszej wersji. Powiedział, że nie wie, o co Walkerowi chodzi, ale że winnym rozlewu krwi jest twój ojciec.

Po tych słowach nadzieja, która na chwilę w niej ożyła, ponownie zgasła.

- Jillian... Słuchaj. Mam świadomość, że wyznanie Walkera nie jest wystarczającym dowodem, ale może nas do czegoś w końcu doprowadzi.

- Może doprowadzi? - powtórzyła osowiałym tonem. - Kiedy powiedziałaś, że masz dowód, liczyłam, że... Właściwie to po co Walker

chciał z tobą po raz drugi rozmawiać? Po co ujawniać prawdę po blisko trzydziestu latach?

- Dowiedział się, że ma raka, że umiera. Uważał, że zniszczył życie twoim rodzicom. Chciał przed śmiercią ulżyć swojemu sumieniu.

April pokręciła głową. Rzeczywiście zniszczył życie Colina i Mary Birminghamów, więc jaki sens miała teraz, po tylu latach, próba naprawienia zła?

- Rozmawiał z FBI - spytała - czy tylko z tobą?

- Tylko ze mną. Pozwolił mi jednak nagrać rozmowę, choć zastrzegł, że dopiero po jego śmierci mogę udostępnić taśmę odpowiednim władzom. Na moją prośbę podpisał również oświadczenie.

- Ale to nie wystarczy? Zwłaszcza że Gutteridge obstaje przy starej wersji.

- Nie, nie wystarczy.

- Więc co nam to daje?

- Od czegoś trzeba zacząć.

- Sądzisz, że uda się dojść prawdy? Poznać tożsamość prawdziwego Napalmowca? Po tylu latach?

- Tak. Dlatego chciałem się z tobą spotkać. Mogłabyś mi pomóc.

- Jak?

- Mój informator twierdzi, że posiadana przez FBI lista członków AWW jest bardzo długa. Nawet gdyby podał mi wszystkie figurujące na niej nazwiska, nie zdołałbym w pojedynkę nic zdołać. Ale twój ojciec pewnie ma jakieś podejrzenia, pewnie domyśla się, kto stoi za wybuchem. Gdybym mógł z nim porozmawiać, może podsunąłby mi parę pomysłów...

Gdyby mógł z nim porozmawiać. Od początku była pewna że właśnie o to mu chodzi.

- Mówiłam ci przecież przez telefon, że nie widuję się z rodzicami.

- Wiem, ale pomyślałam sobie, że gdybyś musiała się z nimi skontaktować, pewnie byś mogła.

- Nawet gdybym mogła, wątpię, czy ojciec chciałby się z tobą spotkać.

- Wystarczy mi w zupełności rozmowa telefoniczna. Proszę cię, Jillian. Jestem dobrym reporterem. Umiem zadawać pytania. Czasem odkrywam rzeczy, na jakie inni wcześniej nie wpadli.

Pominęła to milczeniem. Na samą myśl, że ojciec miałby rozmawiać z człowiekiem, który zarabia na życie zbieraniem informacji, zrobiło się jej słabo. Zresztą wcale jeszcze nie wykluczyła możliwości, że Paul Gardiner jest agentem federalnym. Co z tego, że pracuje dla stacji NBS? To może być zwykła przykrywka. Nie zamierzała ryzykować. Równie dobrze mógł zastawiać na jej ojca pułapkę.

A jeżeli nie? A jeżeli wszystko, co mówił, jest prawdą?

- Jillian?

Nie wiedziała, jakie jest najlepsze wyjście z sytuacji. Wpatrując się w stół, uznała, że musi wybadać swego rozmówcę; może sam niechcący się czymś zdradzi?

Dysponowała własnym „wykrywaczem kłamstw”, który pozwalał jej wyczuwać w ludziach fałsz i zakłamanie. Mało komu udawało się ją oszukać. Pragnęła pomóc rodzicom, pragnęła, aby odzyskali wolność. Jeżeli zaś Gardiner jest tym, za kogo się podaje i autentycznie zależy mu

na dotarciu do prawdy, nie chciała go odtrącać. Druga taka szansa może się już nie pojawić.

- Opowiedz mi o sobie - rzekła, podnosząc wzrok. Prośba April wyraźnie go zaskoczyła.

- A co byś chciała wiedzieć? - spytał.

Czy mogę ci ufać, odparła w duchu. Na głos powiedziała:

- Będę z tobą szczerą. Owszem, w razie potrzeby potrafię się skontaktować z rodzicami. Wymaga to trochę czasu i zachodu. Zanim więc cokolwiek postanowię, chciałabym wiedzieć, z kim mam do czynienia. Uśmiechnął się speszony.

- Dobrze. Mam trzydzieści trzy lata, studiowałem dziennikarstwo na Columbi, pracę w NBS rozpocząłem natychmiast po uzyskaniu dyplomu. Jestem kawalerem. Raz byłem bliski małżeństwa, ale na szczęście oboje się w porę zreflektowaliśmy. Mieszkam w Tribeca, we własnym mieszkaniu. Znasz Nowy Jork?

Pytanie było zadane tak naturalnie, tak niewinnym tonem, że nie umiała poznać, czy to podstęp, czy nie.

- Słabo - skłamała.

- Tribeca leży na południowym cyplu Manhattanu, za SoHo i Greenwich Village - wyjaśnił. - Mam mówić dalej, czy znudziło ci się słuchanie o mnie?

- Mów dalej. - Na razie ani z jego głosu, ani z ruchów rąk nie była w stanie nic wyczytać.

- W porządku. Mój ojciec zmarł, kiedy byłem dzieckiem... - Na ułamek sekundy zawahał się. - Kiedy miałem jedenaście lat, mama

ponownie wyszła za mąż. Mieszka z mężem i moimi dwoma braćmi przyrodnymi w Queens. Lubię grać w squasha, jeździć na spływy. To chyba wszystko. Ale jak masz jakieś pytania, chętnie odpowiem.

- Mam. O książkę, którą piszesz. Dlaczego wybrałeś mojego ojca na jednego ze swoich „znanych, lecz nie schwytanych przestępców”?

Dojrzawszy wyraz zmieszania na jego twarzy, natychmiast wyteżyła uwagę.

-Bo ja wiem? - odparł. - Po prostu zainteresowała mnie sprawa wysadzonej w powietrze fabryki. Uznałem, że warto się tym zająć.

Nie przekonał jej.

- Mam wrażenie, że to niecała prawda - rzekła, nie spuszczając z niego oczu.

- No dobrze. Nie wspominałem o tym wcześniej, bo to nic pewnego. Ale po oświadczeniu Walkera pomyślałem sobie, że sprawa jest zbyt ważna, żeby poświęcić jej tylko jeden rozdział książki. Gdyby udało mi się odkryć, kto podłożył ładunek wybuchowy, udowodnić, że twój ojciec, który spędził ponad połowę życia w ukryciu, został niewinnie oskarżony. ... Po prostu gdybym zdołał poznać prawdę, starczyłoby materiału na samodzielną książkę. - Na moment zamilkł, a potem, wzruszywszy ramionami, ciągnął: - Uznałem, że wszyscy by na tym skorzystali. Twój ojciec odzyskałby wolność, a ja miałbym książkę, która, przynajmniej zdaniem mojego agenta, byłaby murowanym bestsellerem. Wszyscy byliby górami, oczywiście prócz prawdziwego winowajcy.

- A FBI? Pewnie by się nie cieszyło, gdyby książka opisująca jedną z ich wpadek trafiła na listę bestsellerów?

- Zgadza się. Dlatego treść książki wolę na razie zachować w tajemnicy.

- Nie odpowiedziałeś jednak na moje pytanie. Rozumiem, dlaczego koncepcja książki mogła ci się zmienić po drugiej rozmowie z Walkerem. Ale wyjaśnij mi, dlaczego akurat ta sprawa zainteresowała cię bardziej niż inne? Dlaczego na jednego ze swoich bohaterów wybrałeś mojego ojca?

Nastąpiła długa cisza.

- Chcesz, żebym ci zaufała - przerwała ją w końcu April. - Nie podejmę tego ryzyka, jeżeli nie będziesz ze mną szczery.

- Dobrze - powiedział cicho. - Wyjawię ci, dlaczego postanowiłem między innymi zająć się sprawą wybuchu, ale nie spodoba ci się to, co usłyszysz.

- Trudno. Wal.

Przez chwilę wpatrywał się w nią bez słowa, po czym rzekł:

- Mój ojciec pracował w tamtej fabryce. Był jednym z siedmiu zabitych.

Słowa Paula Gardinera długo i głośno dźwięczały jej w głowie; miała dziwne wrażenie, jakby macki przeszłości wyciągnęły się, jakby usiłowały osiągnąć teraźniejszości.

Kiedy otworzyła oczy, Paul wpatrywał się w nią uważnie, ale jego spojrzenie prawie nic nie zdradzało.

- Ogromnie mi przykro - wyszeptała.

- To już stare dzieje.

Ponownie wbiła wzrok w blat stołu. Była to komplikacja, której oczywiście wcześniej w ogóle nie brała pod uwagę. Z początku martwiła się tylko o to, czy Paul Gardiner nie jest agentem federalnym. Teraz martwiła się o to, czy przypadkiem nie działa z chęci zemsty.

Może chodzi mu wyłącznie o to, by pomścić śmierć ojca? Może wszystko, co jej opowiadał, to były bajki? Może wierzy w winę Colina Birminghama? Może umierający Tom

Walker wcale nie dał mu żadnego oświadczenia? Może Paul nigdy nie rozmawiał ani z Walkerem, ani z Gutteridge'em? Może książkę o sprawach, których FBI nie rozwiązało, też wyssał sobie z palca?

Musiał czytać w jej myślach, bo nagle powiedział:

- Oczywiście chęć zemsty również gra tu rolę. Chciałbym, żeby morderca mojego ojca poniósł zasłużoną karę. Jeżeli twój ojciec jest niewinny, a ty pomożesz mi odkryć prawdę, może wspólnymi siłami oczyścimy jego nazwisko.

- Przyznałeś się tamtym dwóm, że twój ojciec zginął w wybuchu? - spytała.

- Nie. Udawałem, że nie mam ze sprawą nic wspólnego, że interesuje mnie z czysto dziennikarskiego punktu widzenia. Gdyby pamiętali nazwiska ofiar, może by sami coś powiedzieli. Ale nic nie mówili, więc pewnie nie pamiętali.

Próbowała uporządkować myśli. Nie miała pojęcia, czy może zaufać temu facetowi, a wobec tego czy jest sens, aby wspominała o nim ojcu? Może się zdarzyć, że ojciec zgodzi się na rozmowę. I co wtedy? Co jeśli Paul okaże się jednak agentem federalnym? Jeśli na podstawie czegoś, co ojciec powie, domyśli się, gdzie rodzice mieszkają? Aż bała się wyobrazić sobie, czym by to się mogło skończyć.

Nawet jeśli jej nie okłamuje, nawet jeśli autentycznie dąży do prawdy, to czy po tylu latach jest jakakolwiek szansa odkrycia tożsamości prawdziwego zamachowca?

Rozważając różne za i przeciw, uświadomiła sobie, że powinna wstać od stolika, pożegnać się i odejść. Póki jednak istnieje cień szansy, że Paulowi zależy na znalezieniu prawdziwego Napalmowca, nie potrafiła zdobyć się na ten krok.

- Wybacz, ale wciąż mam pewne wątpliwości - powiedziała w końcu.

- Przez tyle lat wierzyłeś w winę mojego ojca, a potem nagle zmieniłeś zdanie? Tylko dlatego, że Walker przyznał się do kłamstwa?

- Nie tylko. Po rozmowie z Walkerem rozpocząłem własne śledztwo. Okazało się, że poza oświadczeniem Walkera i Gutteridge'a FBI nie dysponowało żadnymi dowodami. Oskarżenie opierało się głównie na

poszlakach, a te były dość wątpliwe. I na tym, że twoi rodzice zeszli do podziemia, co zarówno federalni, jak i dziennikarze potraktowali jako przyznanie się do winy.

- Niesłusznie. To był akt desperacji. Akt samoobrony. Paul pokiwał głową.

- Rozumiem. W każdym razie nabierałem coraz większego przekonania, że podczas naszego drugiego spotkania Walker mówił prawdę: że przed śmiercią postanowił ulżyć swemu sumieniu.

- Ale Ken Gutteridge upiera się, że Walker łże.

- Jeden z nich na pewno łże. Intuicja podpowiada mi, że to Gutteridge.

Intuicja? Chciałabyś móc polegać na swojej. Może wtedy wiedziałabyś, jak postąpić. Tak bardzo pragnęła wierzyć w szczerą i dobre intencje Paula Gardinera.

- Chętnie bym wysłuchała taśmy z nagraniem Walkera i przeczytała oświadczenie, które podpisał.

- Jasne. Podejrzewałem, że może cię zainteresować, więc na wszelki wypadek zrobiłem kopie. Mam je w samochodzie.

- Świetnie. - Zastanawiała się, czy jest to kopia autentycznego nagrania, czy też wszystko od początku do końca spreparował.

- Ile zostało ci czasu do odlotu? - spytał, spoglądając na zegarek.

- Mam otwarty bilet.

Gardiner wyciągnął z kieszeni kilka banknotów jednodolarowych, położył je na stoliku i wstał. Wyszli z kawiarni i ruszyli w stronę drzwi prowadzących na parking. Nagle ktoś zawołał:

- April?

Nie zwolniła kroku, chociaż żołądek podszedł jej do gardła. W mieście tak wielkim jak Nowy Jork człowiek prawie nigdy nie natyka się na znajomych. Więc dlaczego dzisiaj? Dlaczego tutaj? Dlaczego teraz?

- April? April Kelly?

Nie obejrzała się. Brett Carlson zajmował się sprawami prawnymi firmy; modliła się w duchu, aby jej nie rozpoznał, aby uznał, że się pomylił i odszedł w przeciwną stronę, lecz czuła, że nie ma co na to liczyć.

No i faktycznie. Gdy podbiegł do niej, nie mogła go zignorować.

- Wydawało mi się, że to ty! - zawołał uradowany. - Jak się masz?

- Doskonale. A ty?

Spojrzała z ukosa na Paula. Całe jej knucie, udawanie, że przyleciała na spotkanie z innej części kraju, wszystko na nic! Teraz, gdy usłyszał, jakiego używa imienia i nazwiska, może się o niej dowiedzieć, czego tylko zechce.

- Ja? Świetnie - oznajmił Brett. - Jakiś miesiąc temu awansowałem na młodszego wspólnika.

- Gratuluję.

Brett Carlson popatrzył na Paula. Nie miała wyjścia; musiała ich sobie przedstawić.

- A co u ciebie? - dopytywał dalej, kiedy wymienili z Paulem uścisk dłoni. - Firma prosperuje?

- Latem zawsze interesy idą trochę gorzej - odrzekła. - Ale we wrześnieu wszystko znów powinno ruszyć z kopyta.

- Tak, wszyscy narzekają na letnie miesiące. Słuchaj, muszę już lecieć, ale wiesz co? Moi szefowie zastanawiają się nad przeprowadzką do innego biurowca. Jeżeli się w końcu zdecydują, zadzwonię do ciebie. Wciąż mieszkasz przy Zachodniej Siedemdziesiątej Piątej? Nie wyniosłaś się cichaczem, nic nie mówiąc swojemu doradcy prawnemu?

- Nie, stary adres jest nadal aktualny. - April uśmiechnęła się, mimo że czuła jeszcze większy ucisk w gardle niż na początku.

- Miło było cię poznać, Paul. Do zobaczenia, April. - Po chwili Brett Carlson zniknął z pola widzenia.

- Nie przejmuj się - powiedział cicho Paul. Podniosła wzrok; nie odezwała się.

- Nie przejmuj się - powtórzył. - To zupełnie naturalne, że wolałaś, żebym nic o tobie nie wiedział. Wcale ci się nie dziwię. Ale przysięgam, że nie próbuję cię nabrać ani Wykiwać. Wszystko, co ci powiedziałem o sobie, jest prawdą.

Kiedy wciąż milczała, podniósł do góry dwa palce.

- Słowo harcerza.

Skinęła głową. Dobrze jednak Wiedziała, że nie wszyscy harcerze są honorowi.

Kiedy wsiedli do stojącego na parkingu jeepa cherokee, Paul wydobył ze schowka na mapy kasetę z taśmą i wsunął ją do magnetofonu. April poczuła, jak serce zaczyna jej bić przyśpieszonym rytmem. Zamiast jednak włączyć magnetofon, Paul przekręcił kluczyk w stacyjce.

- Zaraz puszczę, najpierw wyjedźmy z parkingu.

- Nie musisz mnie odwozić.

- To mi po drodze.

Podejrzewała, że kłamie, że gdziekolwiek jedzie, Zachodnia Siedemdziesiąta Piąta na pewno nie jest mu po drodze, ale nie zaprotestowała. Liczyła na to, że im więcej czasu spędzą razem, tym lepiej go pozna i tym większą będzie miała szansę przekonać się, o co mu naprawdę chodzi.

Zapłacił za parking i wyjechali na autostradę.

- Przepraszam - powiedział, zerkając w jej stronę. - Nie powinienem był z góry zakładać, że chcesz jechać do domu. Podrzucić cię do pracy?

- Pracuję w domu - odparła, uznawszy, że nie ma sensu, aby dłużej bawiła się w Matę Hari.

- Czym się zajmujesz?

- Przeprowadzkami.

- Aha, i dlatego twój prawnik obiecał, że się z tobą skontaktuje, gdyby jego firma przenosiła się w nowe miejsce.

Potwierdziła, zastanawiając się, czy cokolwiek uchodzi jego uwagi.

- Ale co konkretnie robisz? Bo chyba nie pakujesz rzeczy do kartonów...

- Różnie bywa. Czasem wyszukuję dla klienta nowe lokum i negocjuję warunki umowy najmu. Kiedy indziej klient zleca mi samą przeprowadzkę.

- I co? Wtedy wynajmujesz przewoźnika i starasz się dopilnować, żeby nic się w drodze nie potłukło?

- Tak, choć na ogół jest to trochę bardziej skomplikowane.

Najczęściej moimi klientami są firmy skomputeryzowane, mające

własnych klientów, toteż ważne jest, aby została zachowana ciągłość w telekomunikacji.

Zamilkła. Widział, że zżera ją ciekawość, więc pochylił się do magnetofonu. Przez moment czuł delikatny zapach jej perfum, ciepły, zmysłowy, przywodzący na myśl gorące letnie noce i namiętny seks.

Zbeształ się w myśli, bo przecież miał ważniejsze sprawy na głowie, i wcisnął przycisk.

Usiadła prosto, wsłuchując się w jego głos, który najpierw podał datę i godzinę rozmowy, a potem przedstawił z imienia i nazwiska osoby biorące udział w nagraniu. Wpatrywała się intensywnie w magnetofon, jakby dzięki temu lepiej wszystko słyszała.

Kiedy Walker odpowiadał na pytania dotyczące wysadzenia fabryki w powietrze, Paul od czasu do czasu spoglądał z ukosa na swą pasażerkę. Jillian, czy też April, jest jeszcze ładniejsza niż młoda Mary Birmingham, którą widział na filmach z archiwum. Ale równie poważna i spięta. Odkąd się poznali, prawie ani razu się nie uśmiechnęła.

Ale może nie powinien się dziwić, może za wiele od niej wymaga? Gdyby to jego ojciec był poszukiwanym przestępcą, on sam też miałby się na baczności, rozmawiając z nie znanym sobie człowiekiem. Pewnie każdego obcego, który tylko poruszyłby temat rodziców, traktowałby z dużą podejrzliwością.

- Tak więc Ken i ja - mówił Walker - przystaliśmy na to. Zgodziliśmy się zrzucić winę na Colina, żeby chronić... pana Iksa.

- Mówiąc o Kenie, ma pan na myśli Kena Gutteridge'a, a mówiąc o Colinie, ma pan na myśli Colina Birminghama, czy tak? - spytał Paul, żeby nie było żadnych wątpliwości.

- Tak.

- I pan Des jest tym człowiekiem, który podłożył ładunek wybuchowy, a także nastawił mechanizm zegarowy na określoną godzinę?

- Tak.

- Dlaczego panowie postanowiliście skłamać i obciążyć Colina Birminghama? Dla pieniędzy? Czy wam za to zapłacono?

- Jak panu wcześniej wspomniałem - odparł po chwili Walker - nie zamierzam ujawniać, kim jest pan Iks. Gdybym odpowiedział na pańskie pytanie, niewykluczone, że zdołałby pan rozszyfrować jego tożsamość.

- No dobrze. A zatem wbrew temu, co mówił pan przed laty agentom prowadzącym dochodzenie i wbrew temu, co mnie pan powiedział podczas naszego pierwszego spotkania w dniu czwartego marca, twierdzi pan, iż bomby w fabryce napalmu nie podłożył Colin Birmingham?

- Tak. Colin nie miał z tym nic wspólnego. Nic a nic.

- Dlaczego po tylu latach postanowił pan zmienić swoje zeznanie? - zapytał Paul.

- Już panu tłumaczyłem.

- Wiem. Proszę mi wytłumaczyć jeszcze raz.

- Ponieważ jestem śmiertelnie chory. - Głos Walkera był ledwo słyszalny. - Ponieważ wkrótce umrę i najwyższy czas, żeby prawda wyszła na jaw.

- Dziękuję - rzekł Paul niemal równie cichym głosem.

Uświadomiwszy sobie, że nagranie dobiegło końca, April odwróciła się twarzą do Gardinera.

- Skąd mogę mieć pewność, że to naprawdę był Tom Walker? - spytała.

- Musisz mi wierzyć na słowo. Ale tak jak powiedziałem, ta taśma jest kopią. Możesz ją wziąć. Puść ją swoim rodzicom, jeżeli oczywiście postanowisz się z nimi skontaktować. Może pomimo tylu lat rozpoznają głos Walkera.

April wyjęła kasetę z magnetofonu i wrzuciła do torebki. Wydawało jej się mało prawdopodobne, aby po blisko trzydziestu latach można było rozpoznać jakikolwiek głos. Przyszło, jej jednak na myśl, że może przeoczyła coś, jakiś drobiazg, na który ojciec zwróci uwagę.

- Weź również kopię oświadczenia. Jest w teczce na tylnym siedzeniu.

Rzuciła pobieżnie okiem na dwie zadrukowane strony. Zawierały takie same informacje, jakie znajdowały się na taśmie; na dole drugiej strony widniał własnoręczny podpis Thomasa Walkera - chwiejny podpis wykonany drżącą ręką umierającego człowieka albo sprytnie wymyślona podróbka.

Wsunęła oświadczenie z powrotem do teczki, żeby się nie pogniotło.

- Ten informator, o którym ci wspomniałem...

- Tak?

- Jeżeli porozmawiasz z ojcem, a on zgodzi się udzielić mi paru wyjaśnień, które mogłyby doprowadzić do ujawnienia tożsamości prawdziwego Napalmowca... W każdym razie wtedy, z pomocą tego

informatora, o którym ci wspomniałem, moglibyśmy zacząć przecierać szlak.

- To znaczy?

- To znaczy, że jeśli znajdę dowody świadczące o niewinności twojego ojca, Oskarżenie o spowodowanie śmierci siedmiu osób zostanie oczywiście wycofane. Ale nie tylko o to jest oskarżony.

- Wiem. Również o ukrywanie się mające na celu uniknięcie odpowiedzialności karnej oraz o odmowę składania zeznań. O to drugie oskarżona jest też moja mama - oznajmiła April. - Oprócz tego mamie jeszcze zarzuca się współudział w zbrodni i pomaganie przestępcy. - Doskonale orientowała się we wszystkich aspektach prawnych.

- No właśnie. Ale istnieje przecież szansa, że można by zawrzeć układ z federalnymi, skłonić ich do odstąpienia od reszty zarzutów. Zakładając oczywiście, że miałbym jakieś dowody...

- Nie za wiele zakładasz?

- Nie, sądzę, że naprawdę mogą odzyskać wolność - dokończył cicho.

Dojechali do mostu Queensboro. Patrzyła w dół na szare wody East River; z całej duszy pragnęła wierzyć w szczerą intencję Paula, ale skąd mogła wiedzieć, że jej nie oszukuje? Kiedy zerknęła w jego stronę, spoglądał we wsteczne lusterko. Widząc jego zaciśnięte zęby, poczuła dreszcz grozy.

- Co? Ktoś nas śledzi?

- Nie jestem pewien - odparł.

Obróciła głowę i spojrzała przez tylną szybę na sznur pojazdów sunących mostem.

- Nie odwracaj się! - rozkazał tak ostrym tonem, że natychmiast usiadła prosto.

Jej niepokój wzrastał z sekundy na sekundę.

- Więc jednak nas śledzą?

- Może. Opuszczając parking na lotnisku, zauważyłem zielonego taurusa. Od tej pory cały czas jedzie jakieś dwa wozy za nami. Przekonamy się, co robi, kiedy zjedziemy z mostu.

Nie obejrzała się, chociaż bardzo ją korciło. Chciała na własne oczy zobaczyć zielonego taurusa. Przecież równie dobrze Paul Gardiner mógł go wymyślić. Po co? Aby udowodnić, że nie jest czarnym charakterem. A jeśli jest? Czują w głowie mętlik.

- Trzymaj się - powiedział, naciskając pedał gazu.

Po chwili z piskiem opon zjechali z mostu i przecinając drogę taksówkarzowi, który otrąbił ich, a potem na migi pokazał, co o nich myśli, włączyli się w ruch na Manhattanie. Często skręcając i ciągle zmieniając pasy ruchu, kierowali się w stronę zachodniej części miasta. Paul bez przerwy spoglądał w lusterko. Przez Park Avenue przejechał na żółtym świetle, o mało nie potrącając przechodnia. Potem skręcił w Madison, kawałek dalej w Piątą Aleję i przy Sześćdziesiątej Szóstej Ulicy wjechał do Parku Centralnego.

- Jeśli nas śledził, to go zgubiliśmy - oznajmił, sprawdzając jeszcze raz w lusterku, czy się przypadkiem nie myli, po czym zwolnił. Jechali już tylko kilka kilometrów powyżej dozwolonej prędkości.

April puściła uchwyt, którego trzymała się kurczowo od samego zjazdu z mostu.

- Chyba brałaś lekcje jazdy u Michaela Andrettiego.

- Przestraszyłem cię? - spytał z uśmiechem.

- Trochę - przyznała, odwzajemniając uśmiech. - Ale bardziej wystraszyła mnie myśl, że mamy ogon.

Natychmiast spowaźniał.

- Może mam lekką paranoję - ciągnęła April - ale ostrożność stała się moją drugą naturą. Po prostu tak mnie wychowano. Swoją drogą chciałabym wiedzieć, czy nas śledzono, czy tylko ci się wydawało.

Mówiłeś komuś, że się ze mną umówiłeś?

- Nie. Absolutnie nikomu.

- Więc może to kwestia ogłoszenia...

- Nie rozumiem.

- Kiedy je zauważyłam, od razu zaczęłam się zastanawiać, ile osób rozpozna moje nazwisko. I ile będzie chciało sprawdzić, kto próbuje się ze mną skontaktować.

Dojechawszy na drugą stronę parku, stanęli na światłach przy Central Park West.

- Pomyślałem o tym - przyznał Paul. - Dlatego osobiście wybrałem się do biura ogłoszeń, podałem fałszywe nazwisko i zapłaciłem gotówką.

- Ale podałeś prawdziwy numer telefonu. Gdyby komuś zależało, mógłby bez trudu dojść po nitce do kłębka.

- Podałem numer komórki. Trochę trudniej wtedy zdobyć dane abonenta.

- Może trudniej, ale co z tego? Natomiast dostrojenie się do częstotliwości komórki jest dziecinnie proste. Jeżeli federalni monitorowali twoją okolicę, z łatwością mogli podsłuchać, gdzie się umawiamy.

Skręcili w Central Park West.

- Albo - kontynuowała - jeśli postanowili mieć cię na oku i pojechali za tobą na lotnisko, to wiedzą, z kim się spotkałeś. I gdybyś w porę nie spostrzegł taurusa, odkryliby, gdzie mieszkam i znów musiałabym zaczynać wszystko od nowa.

- Nie dam głowy, że ten taurus nas śledził.

- Tak mówiłeś...

- Wiem. Na szczęście go zgubiliśmy.

Tak, tym razem się udało, pomyślała. A jeżeli FBI wpadnie na to, że April Kelly to w rzeczywistości Jillian Birmingham? Wtedy ona, April, znajdzie się pod ścisłą obserwacją tajniaków, którzy tylko będą czekać, aż ich doprowadzi do Colina i Mary Birminghamów.

Paul włączył drukarkę, po czym spojrział na zegarek. Widząc, że ma dziesięć minut do wieczornych wiadomości, zaczął odkładać z powrotem na półki książki, których stos wyrósł mu na biurku.

Kiedy wsuwał ostatnią na miejsce, jego wzrok spoczął na oprawionych w ramki zdjęciach, które matka dała mu przed kilkoma laty. Było wśród nich zdjęcie ślubne rodziców, a także jedno, na którym on, w wieku trzech lub czterech lat, siedzi na ramionach ojca. Wpatrując się w nie, przypomniał sobie wyraz zaniepokojenia, jaki pojawił się na twarzy

April, kiedy powiedział, iż pragnie, aby zabójcę ojca spotkała zasłużona kara.

Była to prawda, choć wybrał dość niefortunny moment, aby ją wyjawić. Całe życie uważał, że ojciec zginął brutalnie zamordowany przez okrutnego, bezdusznego bandytę.

Zdawał sobie sprawę, że nie wszyscy się z nim zgadzają; spora część społeczeństwa była zdania, że fakt, iż w fabryce produkowano napalm, stawia wszystko w innym świetle. Ale łatwo to mówić z perspektywy czasu. Wtedy, w latach sześćdziesiątych, większość ludzi, w tym ojciec Paula, wierzyli w zapewnienia rządu, że napalmu używa się wyłącznie po to, by zniszczyć dżunglę, w której ukrywają się partyzanci z Wietnamu Północnego.

Paul wrócił myślami do rzeczywistości. Całe życie marzył o tym, aby któregoś dnia odnaleźć zabójcę ojca, dlatego zaczął szukać jakichś wskazówek, które naprowadziłyby go na ślad Colina Birminghama.

Jednakże po drugiej rozmowie z Tomem Walkerem naszyły go wątpliwości, czy Birmingham istotnie jest Napalmowcem. Tak jak powiedział April, intuicyjnie czuł, że to Walker mówi prawdę - a Gutteridge kłamie.

Ale oczywiście, intuicja mogła go mylić. O ile April wierzyła, iż jej rodzice całe życie byli przeciwni przemocy i gwałtownym formom protestu, z zeznań Walkera wynikało coś zupełnie innego.

Nie wszystko, co Walker powiedział podczas drugiej rozmowy, jaką Paul z nim przeprowadził, zostało nagrane na taśmę lub spisane na papierze. Wspomnił zaś, iż Colin Birmingham często powtarzał, że cel

uświęca środki, a zatem uświęca również wszelkiego rodzaju protesty i demonstracje. To samo twierdził o Colinie Ken Gutteridge.

Tak więc, mimo iż FBI miało przeciwko niemu wyłącznie dowody poszlakowe, niewykluczone, że Birmingham rzeczywiście popełnił zbrodnię, jaką mu się zarzuca, a Toma Walkera do zmiany zeznań bynajmniej nie skłoniły wyrzuty sumienia, tylko jakiś inny powód. Schorowany, umierający facet... Kto wie, może czuł się samotny, może pragnął towarzystwa choćby dziennikarza...

Paul pokręcił głową. Za mało miał informacji, żeby wyciągać jakiegokolwiek wnioski. Ale jeżeli Walker wyssał sobie z palca historyjkę o panu Iksie, jeżeli Colin Birmingham naprawdę jest Napalmowcem, to ciekawe, jak zareaguje, kiedy usłyszy od córki, że Walker twierdzi teraz co innego?

Najpierw, zdziwiony, będzie próbował odgadnąć, o co Walkerowi może chodzić. A potem? Potem może nic nie zrobi. Albo uzna, że ma szansę „pomóc” reporterowi znaleźć dowody winy wskazujące na innego człowieka.

A to oznacza, że jeśli Birmingham zdecyduje się z nim porozmawiać, Paul będzie musiał podejrzliwie traktować wszystko, co mu facet powie.

Wyłączył komputer, odcinając dopływ prądu. Za bardzo wybiegał myślą naprzód. Przecież nawet nie wiedział, czy April da znać rodzicom, że pojawił się taki dziwny facet, który chce się z nimi zobaczyć, nie mówiąc już o tym, czy oni będą zainteresowani rozmową z nim.

Biorąc wydrukowane kartki, przeszedł do salonu, wyciągnął się na kanapie i zaczął przeglądać materiał.

Chociaż różne elektroniczne wynalazki i udogodnienia traktował jako rzecz normalną, wciąż napawało go zdumieniem, jak łatwo można zdobyć informacje o ludziach - nawet o takich, którzy starają się nie ujawniać o sobie niczego więcej, niż to jest absolutnie konieczne. Na przykład, Jillian Birmingham vel April Kelly, właścicielka firmy „W Drodze”. Uśmiechnął się w duchu; tak, ona też od dzieciństwa ciągle była w drodze.

Dowiedział się, że mieszka sama, że należy do fitness klubu mieszczącego się kilka przecznic od domu, że ma prawo jazdy, ale nie posiada samochodu.

Sięgnąwszy po pilota, włączył telewizor. Na ekranie pojawiła się reklama kosmetyków. Występująca w niej modelka przypominała wyglądem April; obie miały idealnie gładką cerę, ogromne piwne oczy, pełne usta. Wpatrując się w twarz kobiety, powtarzał sobie w myślach, że April interesuje go wyłącznie jako córka człowieka, z którym chciałby nawiązać kontakt. To, że zebrał o niej informacje, o niczym nie świadczy. Zbierał informacje o wszystkich bohaterach swych reportaży i artykułów.

Tyle że nie pisał o April, lecz o jej ojcu. No nic, nadmiar wiadomości jeszcze nikomu nie zaszkodził. Poza tym on, Paul, zawsze był dociekliwym człowiekiem. Wprawdzie w jej wypadku bardziej dociekliwym niż zazwyczaj, ale...

Tak, podobała mu się. Od chwili, kiedy ujrzał ją w hali lotniska, nie mógł oderwać od niej oczu. Zważywszy jednak na okoliczności, lepiej by było, aby nie wzbudzała w nim tak silnych uczuć.

Cóż miał robić? Postanowił je zignorować, nie zwracać na nie uwagi. Żadne inne rozwiązanie nie wchodzi teraz w grę.

Jeżeli bowiem April postanowi nie kontaktować go ze swym ojcem, sama również nie będzie chciała mieć z nim jakichkolwiek dalszych kontaktów. Jeżeli zaś umówi go z Colinem na rozmowę i sprawa ruszy z miejsca, wtedy stosunki między nimi także powinny mieć charakter ściśle zawodowy.

Ostatnia rzecz, jakiej potrzebował, to zakochać się w kobiecie, której ojciec podejrzany jest o zabicie jego ojca.

Nazajutrz był ciepły, słoneczny dzień, wprost idealna pogoda na wycieczkę za miasto. April jednak była zbyt spięta i zdenerwowana, aby cieszyć się pięknym, bezchmurnym niebem czy krajobrazem za oknem.

Po długich wahaniach postanowiła w końcu powiedzieć rodzicom o Paulu Gardinerze. Bądź co bądź wiadomość, jaką przekazał, dotyczyła ich życia i ich przyszłości, a zatem to oni powinni zdecydować, czy chcą z nim porozmawiać, czy nie. Mimo wszystko nie była przekonana, czy postępuje słusznie i pewnie dlatego ruszyła w drogę, nie zawiadamiając ich o swoim przyjeździe. Zawsze mogła zmienić zdanie i zawrócić.

Zerkając na drogomierz wynajętego samochodu, zobaczyła, że pokonała już trzysta dwadzieścia z trzystu siedemdziesięciu kilometrów dzielących ją od celu. Na szczęście ani razu nie widziała, by ktokolwiek ją śledził.

Ale nic dziwnego. Wielu ojców, ucząc swe dzieci prowadzić auto, uczy je ostrożnej, bezpiecznej jazdy, natomiast Colin Birmingham uczył córkę, jak najszybciej i najskuteczniej pozbyć się ogona. A ponieważ jadąc

w odwiedziny do rodziców, zawsze przyśpieszała, zwalniała, kluczyła, skręcała, słowem jechała tak, jakby miała ogon, po paru minutach gubiła każdego, kto liczył, iż wskaże mu miejsce pobytu Napalmowca.

Mimo to dziś była wyjątkowo czujna. Odkąd wpadła na lotnisku na Brettę Carlsona, który zdradził Paulowi jej adres i tożsamość, nieustannie miała się na baczności - jak mysz, która wyczuwa w powietrzu zapach kota. Nie lubiła, aby ktokolwiek wiedział, kim jest, a już zwłaszcza taki podejrzany typ jak Paul Gardiner, ó którym ona sama nic nie wie.

Uśmiechnęła się cierpko do swoich myśli; większość kobiet nigdy nie określiłaby Paula mianem „podejrzanego typu”. Należał do mężczyzn, którzy od pierwszego spotkania wzbudzają zarówno sympatię, jak i zaufanie. Był przystojny, inteligentny, o ujmującym uśmiechu, obdarzony zmysłem humoru, swobodą, pewnością siebie.

Ale nawet gdyby się poznali w innych okolicznościach, po jednym spotkaniu April nie nabrałaby do Paula sympatii i zaufania. Już jako dziecko nauczyła się trzymać z daleka od ludzi, nie angażować się uczuciowo, aby łatwiej jej było się z nimi rozstać. Teraz też nikt z przyjaciół nie znał jej na wylot. Jeśli zaś chodzi o mężczyzn... Spotykała się z kilkoma, ale w żadnym nie była zakochana po uszy.

I nie wierzyła, że kiedykolwiek przeżyje wielką, szaloną miłość. Nie potrzebowała psychiatry, by wiedzieć, że takie a nie inne wychowanie sprawiło, iż bała się stracić dla kogoś głowę.

Ale dlaczego, do licha, akurat teraz naszyły ją takie myśli? Co ma z tym wszystkim wspólnego Paul Gardiner? Człowiek, którego właściwie nie zna, a który może stanowić zagrożenie dla niej i jej bliskich...

Zjechała z autostrady; dalszą trasę musiała pokonać mniejszymi drogami. Przyglądała się domom, które mijała, usiłując sobie przypomnieć, w ilu różnych miejscach mieszkała, dopóki nie wyprowadziła się od rodziców. Chyba w dwudziestu. Nigdy nie mieli własnego domu, zawsze wynajmowali - po to, by móc szybko zniknąć, gdyby zobaczyli coś podejrzanego albo gdyby ktoś z siatki uprzedził ich, że federalni zaczynają węszyć.

Kilka razy pakowali się i opuszczali dom w środku nocy. Do dziś miewa sny, że ktoś ją budzi i każe natychmiast biec do samochodu, nie pozwalając się nawet ubrać.

Po każdej zmianie adresu następowała całkowita zmiana tożsamości; musieli na nowo wymyślać imiona, nazwiska, przeszłość. Odkąd zeszli do podziemia, rodzice ani razu nie przedstawiali się nikomu jako Colin i Mary Birminghamowie. W ciągu prawie trzydziestu lat, jakie upłynęły od wybuchu, używali tak wielu nazwisk, że April pewnie nawet nie byłaby w stanie ich wszystkich odtworzyć. Niełatwe to było życie, stale w biegu, stale w drodze, ale przynajmniej nie tkwili za kratkami.

Wciąż rozmyślała o przeszłości, kiedy niepostrzeżenie dotarła do wąskiej drogi, która prowadziła do Ludlow Pond - małej, spokojnej miejsciny, o której nikt nie słyszał, chociaż leżała w pobliżu Ithaki, gdzie oboje rodzice pracowali.

Podjazd zasłonięty był drzewami, więc zwolniła, by go nie przegapić. Zastanawiała się, czy rodzice wrócili już z pracy. Jeśli nie, przestraszą się, widząc obcy samochód zaparkowany przed domem.

Skręciwszy w podjazd, zobaczyła starego forda, czyli jednak są w domu. Nie zdążyła nawet wyłączyć silnika, kiedy kuchenne drzwi uchyliły się i na dwór wyrzwał Colin Birmingham.

- Myszka! - zawołał uradowany. - Mary! Myszka przyjechała!

Uśmiechając się od ucha do ucha, April wyjęła kluczyk ze stacyjki. Myszka. Śmieszne przydomkowe, które do niej przyłgnęło. Na początku była za mała, żeby reagować na coraz to inne imię, więc żeby dziecku nie mieszało się w głowie, rodzice po prostu zaczęli mówić do niej Myszka. I mówili tak do dziś.

- Czy coś się stało? - spytał, idąc pośpiesznie w stronę samochodu.

- Nie, wszystko w porządku, tato - odparła.

Ojciec pochwycił ją w ramiona i uściśnął tak mocno, że ledwo mogła oddychać. Matka, która na wieść o przyjeździe jedynaczki wybiegła z domu, stała obok, czekając na swoją kolej.

- Co tu robisz? - spytała, tuląc córkę do piersi. - Nie zrozum mnie źle, ogromnie się z ojcem cieszymy, że przyjechałaś, ale...

- Kochanie, pozwól jej chwilę odsapnąć - przerwał żonie Colin Birmingham. - Chodźmy na werandę. Napijemy się mrożonej herbaty.

Idąc z rodzicami przez trawnik, April przyglądała im się ukradkiem, tak jak zawsze po dłuższej nieobecności, szukając jakichś niepokojących objawów, oznak starości, choroby. Na szczęście ojciec wciąż był tym samym sprawnym, wysportowanym mężczyzną co dawniej; matce przybyło siwych włosów, ale poza tym też się nie zmieniła.

Usatysfakcjonowana, April odetchnęła z ulgą. Zważywszy na sytuację, nie mogła się z nimi widywać tak często, jak by chciała. Odkąd

się usamodzielniała i przeniosła do Nowego Jorku, zdani byli wyłącznie na siebie. Gdyby cokolwiek przydarzyło się jednemu...

Odsunęła od siebie ponure myśli. Przecież są młodzi, mają zaledwie po pięćdziesiąt parę lat. Cóż złego może ich spotkać? Nic. Chyba że zaufają Paulowi Gardinerowi, a on ich oszuka...

Przeszył ją dreszcz. Starając się go zignorować, ruszyła za matką do kuchni.

- Pomogę ci z herbatą - powiedziała.

- Nie trzeba, kochanie. Zostań tu z ojcem. Porozmawiajcie sobie...

- Jak tam praca? - spytał Colin. - Wzięłaś sobie wolny dzień?

Uśmiechnęła się. Ojciec ogromnie się martwił, że jego ukochana córka mieszka w dużym mieście, gdzie na każdym kroku czyhają niebezpieczeństwa i gdzie panuje straszliwa konkurencja, ale nigdy o tym nie mówił. Pytał ogólnie: Jak tam praca? zamiast zapytać wprost: Czy interesy idą dobrze? Czy firma wciąż prosperuje? Czy nie potrzebujesz pieniędzy na czynsz?

- Wiesz, tato, w lipcu i sierpniu zwykle ruch w interesach zamiera. Mało kto się latem przeprowadza. Niby mam parę spraw w toku, ale dopiero we wrześniu robota ruszy z kopyta.

- No tak. Może to dobrze, bo chyba przyjemnie mieć latem trochę wolnego czasu, móc wyrwać się z miasta...

Popatrzył na nią zaintrygowany, wyraźnie czekając, by wyjaśniła cel swojej wizyty. Ona jednak milczała; nie było sensu zaczynać, dopóki matka nie pojawi się z herbatą.

Po chwili Mary Birmingham wyłoniła się z domu, usiadła obok męża i popatrzyła na córkę takim samym pytającym wzrokiem.

- Na zdrowie - powiedziała April, chcąc jeszcze parę sekund opóźnić to, co musi nastąpić.

- Na zdrowie.

Wypiła łyk, po czym sięgnęła do torebki po wyrwane z gazety ogłoszenie.

- Przeczytajcie - rzekła. - Ukazało się to w niedzielnym wydaniu „Timesa”.

RS

Miała wrażenie, że upłynęły całe wieki, zanim rodzice przeczytali ogłoszenie i ojciec w końcu podniósł głowę.

- I co, zrobiłaś jakiś krok? - zapytał.

- Tak - odparła. - Spotkałam się z nim wczoraj.

- Kim on jest?

- Nazywa się Paul Gardiner i jest pisarzem, a raczej reporterem, który bada sprawę wybuchu w fabryce napalmu.

- Po co?

- Po pierwsze dlatego, że podczas tego wybuchu zginął jego ojciec.

- O Boże! - szepnęła matka.

- Czyli pragnie zemsty - stwierdził ojciec.

- Owszem, sam to przyznał. A po drugie, rozmawiał z Tomem Walkerem i Kenem Gutteridge'em. - Umilkła, patrząc, jak rodzice zareagują na fakt, iż zdołała poznać nazwiska dwóch mężczyzn, którzy złożyli fałszywe zeznania.

Matka usiadła odrobinę prościej, ojciec chrząknął; to było wszystko.

- Podobno Walker powiedział, że obydwaj kłamali, mówiąc, że to ty podłożyłaś ładunek - ciągnęła April. - Paul Gardiner wziął od Walkera podpisane oświadczenie, w którym ten przyznaje się do kłamstwa, a także nagrał rozmowę na taśmę. Ale nie wiem, czy nagranie jest autentyczne. Oto kopie. - Wyjęła z torby kasetę oraz kartkę papieru. - Wystarczy kasetę włożyć do magnetofonu.

Pochylili się nad pisemnym oświadczeniem; kiedy je studiowali, April czekała zdenerwowana, czując, jak wszystko się w niej skręca.

- Wiecie, jak wygląda podpis Walkera?-spytała wreszcie. - Czy to może być autentyk?

- Nawet podróbka wyglądałaby jak autentyk.

- Tak, oczywiście. Po prostu liczyłam na to, że...

- Dlaczego Tom miałby po tylu latach zmieniać zeznanie? Jakie wytłumaczenie podał ci ten Gardiner?

- Tato, to chwilę potrwa, zanim opowiem wam wszystko po kolei. Może powinniście najpierw posłuchać taśmy, sprawdzić, czy rozpoznajecie głos Walkera, może jakieś charakterystyczne powiedzonka, cokolwiek.

Colin Birmingham włączył magnetofon. April wstrzymała oddech, słuchając, jak Paul zadaje swemu rozmówcy pierwsze pytanie. Kiedy Walker zaczął na nie odpowiadać, spojrzała wyczekująco na rodziców. Z ich twarzy nie sposób było odczytać, czy rozpoznają nagrany na taśmę lekko ochrypły głos. Po tylu latach byli mistrzami w ukrywaniu emocji.

Kiedy nagranie dobiegło końca i ojciec wyłączył magnetofon, April siedziała jak na szpilkach.

- No i co? - spytała.

Colin i Mary Birminghamowie wymienili między sobą spojrzenia.

- Nie wiem, Myszko - odparł w końcu ojciec. - Może to istotnie głos Walkera. Brzmi podobnie. Ale szczegóły, które podaje, były znane wielu osobom.

- I ktoś, kto bada tę sprawę, bez trudu mógłby wejść w ich posiadanie.

- Więc sądzicie, że to podróbka - oznajmiła April, nie wiedząc, czy odetchnąć z ulgą, czy nie.

Z jednej strony, przez całe dzieciństwo marzyła o tym, że pewnego pięknego dnia pojawi się tajemniczy nieznajomy, który będzie miał dowody na niewinność jej ojca. Gdyby rodzice uwierzyli, że głos na taśmie jest głosem Walkera, gdyby podjęli ryzyko, porozmawiali z Paulem...

Z drugiej strony, jeżeli Paul ją okłamał, wołała, żeby rodzice trzymali się od niego jak najdalej.

- Nie, nie twierdzę, że podróbka - sprzeciwił się Colin. - Po prostu nie wiem. Ale opowiedz nam wszystko od początku. Zobaczyłaś ogłoszenie i... ?

April wzięła głęboki oddech, po czym zgodnie z prośbą ojca, zaczęła od samego początku. Kiedy doszła do momentu, gdy Paul stwierdził, że pragnie porozmawiać z Colinem Birminghamem, ojciec przerwał jej:

- Facet ma rację. Lista z nazwiskami jest pomocna, ale znacznie więcej skorzystałby na rozmowie ze mną.

- Colin! Nie możesz! - zaproponowała matka. - Chyba nie mówisz tego poważnie?

- Jeszcze nie. Musiałbym się dobrze zastanowić. Ale najpierw dajmy April dokończyć.

Więcej nie przerywali; słuchali w skupieniu, dopóki nie opowiedziała im wszystkiego w najdrobniejszych szczegółach.

- Ale federalni nie zdołali odkryć, że posługujesz się nazwiskiem April Kelly, prawda? - powiedział ojciec, kiedy wreszcie zamilkła. - Jeżeli Gardinerowi udało się zgubić ogon...

- Tato, nie mam żadnej pewności, czy ktoś naprawdę za nami jechał. A jeżeli jechał, czy nie robił tego na polecenie Paula, żeby mnie przekonać, że Paul nie jest agentem. Bo jeżeli nim jest, to w FBI na pewno już mnie rozpracowali.

- Czy twój przyjazd do nas nie był więc ryzykowny? - spytała matka.

- Może. Ale byłam bardzo ostrożna. Drugi raz nie przyjadę, dopóki nie dowiemy się, co jest grane.

- No dobra - rzekł ojciec. - Poprosimy kogoś z naszej siatki, żeby sprawdził Gardinera.

April skinęła głową, choć nie bardzo wierzyła w skuteczność takiego działania. Grupa osób pomagających tym, którzy nadal pozostają w podziemiu, była mniej liczna niż przed laty, mniej zapalona, mniej skora do poświęceń.

- Dziś rano sama posprawdzałam niektóre informacje, jakie od niego otrzymałam. A więc nie kłamał, mówiąc, że pracuje przy tworzeniu programu „Dzisiejszy świat”. W Bridgeport w stanie Connecticut naprawdę mieszka niejaki Tom Walker, a w Port Credit w Ontario mieszka niejaki Ken Gutteridge. Oczywiście mówił wiele innych rzeczy, których nie jestem w stanie sprawdzić.

- Dzielnie się spisałaś - pochwalił ją ojciec. - Przynajmniej nie przyłapałaś Gardinera na kłamstwie. To obiecujący początek.

Niekoniecznie, pomyślała. Równie dobrze Paul Gardiner może być doskonałym łgarzem, który potrafi się tak zabezpieczyć, aby nie zostać przyłapanym.

- Jeśli zaś chodzi o pomysł naszej, czyli mojej z nim rozmowy - ciągnął ojciec - uważam...

- Moim zdaniem - wtrąciła matka - najlepiej będzie, jak April mu powie, że nie zdołała się z nami skontaktować. Nie powinniśmy się w to mieszać.

- A jeżeli facet istotnie chce dotrzeć do prawdy?

- Colin, to zbyt ryzykowne. Boję się.

- Ja też - przyznał jej mąż. - Pomyśl jednak. Jeżeli gość naprawdę jest reporterem, to zarabia na życie, starając się dotrzeć tam, gdzie inni nie dotarli.

- Jeśli faktycznie jest reporterem, a nie agentem. Colin wstał, przeszedł na drugi koniec werandy i oparłszy się o balustradę, utkwiał wzrok w jeziorze.

- Słuchaj, gdyby było nam źle, może wtedy byłabym bardziej skłonna rozważyć propozycję tego Gardinera - oznajmiła po chwili Mary.

- Ale zważywszy na okoliczności, żyje nam się całkiem dobrze. Na pewno lepiej niż wielu innym, którzy też zeszli do podziemia. Nie zmieniamy niczego.

April odetchnęła głęboko. Przypomniała sobie ten nerwowy pośpiech i straszne przeprowadzki, w środku nocy. Wiedziała jednak, że matka ma rację, że mimo ciągłych przeprowadzek żyje im się znacznie lepiej niż innym ukrywającym się. Jej dziadek budował domy, więc ojciec jako mały

chłopiec sporo się od niego nauczył o stolarce i murarce. Dzięki temu zawsze bez trudu znajdował pracę. Matce na ogół też szczęście sprzyjało.

Oczywiście, było to całkiem inne życie niż to, o jakim marzyli, kiedy studiowali. Wtedy, przed laty, ojciec zamierzał zostać prawnikiem, matka nauczycielką. Ale przynajmniej sobie radzili, zarabiali, a poza tym mieli siebie.

Colin Birmingham odwrócił się wreszcie od balustrady.

- O jednej rzeczy powinniśmy stale pamiętać - rzekł, patrząc na żonę i córkę. - Mianowicie, że któregoś dnia tak i tak możemy wpaść w ręce FBI. Tego nie sposób wykluczyć. Ryzyko wpadki zawsze będzie istniało, dopóki nie znajdzie się ktoś, kto udowodni, że to nie ja podłożyłem ładunek.

- To mało realne - powiedziała Mary.

- Wiem, ale...

- Colin, jeśli ten facet jest agentem, możemy trafić za kratki. Ty do końca swojego życia. Moim zdaniem, to zbyt duże ryzyko.

Gdyby ktoś obcy przysłuchiwał się tej rozmowie, zdziwiłby się, słysząc chłodny, rzeczowy ton Mary Birmingham. Nie wiedziała, że po trzydziestu kilku latach małżeństwa Mary uwielbiała swojego męża równie mocno jak na początku ich znajomości. Prędzej by umarła, niż pozwoliła, by spotkała go jakakolwiek krzywda.

Przez moment April zastanawiała się, jak to jest, kiedy tak mocno kocha się mężczyznę. Czując, jak łzy podchodzą jej do oczu, odsunęła od siebie te myśli.

- Rozumiem, kochanie. Rozumiem, dlaczego się martwisz. Ale myślę, że powinienem z facetem porozmawiać. Im szybciej, tym lepiej.

- Przynajmniej się nie spiesz, Colin. Poczekaj, aż nasi czegoś się o nim dowiedzą.

- Nie, Mary. Jeżeli Gardiner jest tym, za kogo się podaje, to nie ma czasu do stracenia. Trzeba działać szybko, zanim Gutteridge powiadomi prawdziwego Napalmowca, że ktoś się sprawą interesuje. I zanim zniszczą dowody, jeżeli jakieś są jeszcze do zdobycia.

- Ale...

- Słuchaj, Mary. Nawet gdyby Gardiner okazał się agentem, psia krew! nawet gdyby okazał się najlepszym agentem w całym cholernym FBI, to niczym bym nie ryzykował, rozmawiając z nim przez telefon. Przecież nie zamierzam się z gościem spotykać twarzą w twarz. A rozmowę odbyłbym na własnych warunkach... Z drugiej strony, może masz rację? Może nie warto tego rozgrzebywać? Myszko, jak sądzisz? - zwrócił się do April. - Co ci mówi intuicja? Żeby zaufać facetowi czy nie?

Serce waliło jej młotem. Nie miała pojęcia, co poradzić ojcu.

- Stawiasz ją w bardzo niezręcznej sytuacji, Colin. April popatrzyła na matkę z wdzięcznością. Nie tyle w niezręcznej, pomyślała w duchu, co piekielnie trudnej.

- Ależ, Mary, ona jedna widziała tego faceta, ona jedna z nim rozmawiała - powiedział Colin Birmingham, po czym ponownie wbił wzrok w córkę. - Wiesz, Myszko, co mi właśnie przyszło do głowy? Że chyba podświadomie uznałaś, że można mu zaufać, inaczej byś tu do nas nie przyjechała.

- To znaczy, że się zdecydowałaś? - spytała Mary. - Że zamierzasz z nim pogadać?

- Tak, chyba zamierzam.

April znów poczuła, jak serce jej łomocze. Wprawdzie ojciec sam podjął decyzję, wiedziała jednak, że jeśli okaże się błędna, wówczas ona, April, nigdy sobie tego nie wybaczy.

- To szaleństwo - oznajmiła Mary Birmingham.

- Nie, mamo. - Wprawdzie pomysł przyprawiał April o dreszcz grozy, ale nie był szalony.

- Colin, nie możemy jej na to pozwolić.

Korciło ją, by przypomnieć matce, że nie jest już dzieckiem, któremu można cokolwiek zakazywać, lecz ugryzła się w język.

- Mamo, jak się nie jest pewnym, czy można komuś zaufać, lepiej mieć tego kogoś na oku. Skąd możemy wiedzieć, co Paul zrobi po rozmowie z tatą, jeżeli mnie przy nim nie będzie?

- Nie, kochanie, to zbyt niebezpieczne - upierała się matka. - Słyszałaś, co powiedział ojciec? Że Ken Gutteridge przypuszczalnie zawiadomi prawdziwego Napalmowca, że ktoś znów węszy wokół sprawy wybuchu. A człowiek, który z zimną krwią popełnił zbrodnię... aż boję się pomyśleć, co mógłby zrobić, żeby prawda nie wyszła na jaw.

- Myszko, mama ma rację. W pierwszej chwili pomysł, żebyś towarzyszyła Gardinerowi, wydawał mi się rozsądny, jednak po namyśle wcale nie wydaje mi się tak dobry. Doceniam twoje dobre chęci, ale nie wiadomo, czym to się może skończyć. Nie chcę, żebyś ryzykowała...

- Tato, gdyby nie ja, nie wiedziałbyś, że ktoś taki jak Paul Gardiner w ogóle istnieje. Wyobrażasz sobie, jak się będę czuła, jeżeli facet okaże się draniem? A to, czy się nim okaże, poznamy częściowo po tym, jak się zachowa po rozmowie telefonicznej z tobą.

- Może poprosimy kogoś z naszych o pomoc? - podsunęła matka.

- Mamo, nikomu bardziej ode mnie nie zależy na waszym bezpieczeństwie. Mnie się nic złego nie stanie, a po prostu chcę przypilnować, żeby wam też się nie stało.

Zanim rodzice zdążyli zareagować, zadzwonił telefon. Mary Birmingham weszła do domu, by sprawdzić, kto dzwoni, i po chwili zawołała męża do środka.

Przez kilka minut April siedziała samotnie na werandzie, spoglądając na jezioro. Potem, czując, jak przenika ją wieczorny chłód, wstała i skierowała się do środka. Zbliżywszy się do osiatkowanych drzwi, zobaczyła, że rodzice skończyli już rozmawiać przez telefon. Stali obok siebie i matka cicho, lecz usilnie coś ojcu tłumaczyła. April zawahała się; intuicja podpowiadała jej, żeby zostać na werandzie i podsłuchać, o czym mówią.

- Zastanów się, Colin! To może być dla April niebezpieczne! Poza tym czy chcesz, żeby poznała prawdę?

Prawdę? Jaką prawdę? April stała bez ruchu, jak skamieniała, nawet nie oddychając.

- Może nikt nic nie powie - odparł ojciec.

- Tak. I może słońce wzejdzie na zachodzie.

- No dobrze, masz rację. Jest ryzyko, że się dowie...

- Skoro uparła się, żeby być przy Gardinerze w trakcie rozmowy i nie daje sobie wybić tego z głowy, może lepiej, żebyśmy jej sami powiedzieli?

- Nie. Zostawmy wszystko, jak jest. Sprawa może nigdy nie wypłynąć...

- A jeśli wypłynie, to co wtedy?

- Wtedy... Psiakość, Mary, myślę, że gdyby doszło co do czego, to nasza córka zrozumie. Chyba jej nie doceniasz.

April zaczęła się powoli, cichutko, cofać od drzwi. Kiedy poczuła za plecami balustradę, odwróciła się i ponownie wbiła wzrok w lśniącą taflę jeziora. O czym oni, na Boga, mówili? — zastanawiała się. O czym mi nie powiedzieli? Wciąż stała zadumana, kiedy parę minut później pojawili się na werandzie.

- Słuchaj, Myszko - zaczął ojciec. — Im dłużej o tym myślę, tym bardziej mi się ten pomysł nie podoba. Więc...

- Nie, tato. Nie zrezygnuję. Chcę być obecna. A wydaje mi się, że byłoby o wiele prościej, gdyby Paul sądził, że to wyszło od ciebie.

- Rany boskie, ale ty jesteś uparta!

- Ciekawe, po kim odziedziczyła upór? - mruknęła Mary, wpatrując się znacząco w męża, po czym zdjęła z szyi duży, srebrny medalion. - Trzymaj, Myszko. To dla ciebie - powiedziała, wręczając go córce.

- Nie, mamó, nie mogę. Zawsze nosisz go przy sobie. Należał do babci.

- Wiesz, kiedy mi go dała?

- Oczywiście. Tuż zanim zeszliście do podziemia. -April słyszała tę historię tysiące razy. - Pojechaliście do dziadków, żeby się z nimi pożegnać, i wtedy babcia podarowała ci ten medalion. Na szczęście.

Matka pokiwała głową.

- No właśnie. I szczęście mi dopisało. Mam kochającego męża, wspaniałą córkę, jesteśmy zdrowi... Jeżeli koniecznie obstajesz przy swoim pomysle, Myszko, chcę, żebyś wzięła medalion i go nosiła.

Siedząc w taksówce, która powoli sunęła Ósmą Aleją, Paul rozmyślał o czekającej go rozmowie telefonicznej z Co-linem Birminghamem, oskarżonym przez FBI o spowodowanie przed wielu laty eksplozji w fabryce napalmu. Niecodziennie miał okazję przeprowadzać takie rozmowy, choć jako reporter telewizyjny przyzwyczajony był do zasięgania informacji wszędzie, gdzie tylko się dało.

Zapisał w notesie kolejne pytanie do Birminghama. Taksówka skręciła w Zachodnią Dwudziestą Drugą i dojechała do Siódmej Alei. Tam Paul zapłacił za kurs i wysiadł, wciągając w płuca duszne, parne powietrze.

Zazwyczaj, nawet w najgorętsze dni, do siódmej wieczorem skwar już mijał. Dzisiejszy sobotni wieczór należał do wyjątków; mimo późnej pory upał wciąż dawał się we znaki, a na ulicach Chelsea było gęsto od ludzi. Wiele osób nic nie robiło, po prostu stało, opierając się o mury, najwyraźniej woląc nagrzaną powietrze na dworze od nagrzaną mieszkań na piętrze.

Zważywszy na temperaturę, cieszył się, że April kazała mu włożyć szorty i bawełnianą koszulkę.

W pierwszej chwili zdziwiło go, że wypowiada się w kwestii jego ubioru, lecz gdy upomniała go, aby przypadkiem nie próbował ukryć na sobie nadajnika, zrozumiał, o co jej chodzi: im mniej ma na sobie, tym trudniej coś schować tak, aby było niewidoczne.

Nie potrafił odgadnąć, które z „warunków” wymyśliła sama, a które wyszły od jej ojca. Tak czy inaczej, wszystko bardzo dokładnie zaplanowali. Żeby umówić się z nim na dzisiejsze spotkanie, zatelefonowała do niego do pracy i poleciła mu, aby oddzwonił do niej z budki. Na wszelki wypadek, gdyby ktoś podsłuchiwał, część informacji podała mu przy pierwszej rozmowie, część przy drugiej. Narzuciła kilka warunków, między innymi, że wolno mu mieć przy sobie jedynie długopis i notes, nic poza tym, żadnego telefonu, przenośnego komputera, nic. Ostrzegła też, żeby nie próbował żadnych sztuczek, bo zamierza go zrewidować.

Myśląc o tym, uśmiechnął się w duchu. Nie wiedział, czy mówiła serio, czy żartowała. Jeżeli jednak serio...

No cóż, jeśli ktoś go ma rewidować... Tak, wolałby, aby to była April niż ktokolwiek inny.

Ganiąc się w duchu za tego rodzaju dywagacje, spojrzął na zegarek. Spóźniała się. Zaczął rozglądać się dookoła, wystraszony, że może jednak Colin Birmingham zmienił zdanie. I nagle ją dostrzegł; wyłoniła się zza ciężarówki na Zachodniej Dwudziestej Drugiej.

Od razu poczuł się lepiej - nie tylko dlatego, iż jej obecność oznacza, że rozmowa z Colinem się odbędzie zgodnie z planem, ale również dlatego, że najzwyczajniej w świecie miło było ją znów zobaczyć.

Miała na sobie jasnożółtą sukienkę i była jeszcze bardziej pociągająca niż podczas pierwszego spotkania na lotnisku. Wyglądała rozkosznie, przepysznie - jak mrożona lemoniada albo cytrynowy sorbet.

Mógłbym ją schrupać! - pomyślał i znów zganił się za niepoprawne myśli. Wciąż sam z sobą prowadził w duchu ożywioną dyskusję, kiedy April stanęła obok.

- Cześć.

- Cześć.

Uśmiechnął się. Uśmiech, którym obdarzyła go w zamian, sprawiał wrażenie nieco wymuszonego.

- Ładny medalion - powiedział, starając się rozładować jej napięcie.

- Należał do mojej babci. Uważała, że przynosi szczęście temu, kto go nosi.

- Więc nigdy go nie zdejmujesz? Uśmiechnęła się, tym razem swobodniej.

- Prawdę mówiąc, mama dała mi go dopiero wczoraj. Ale pomyślałam sobie, że lepiej nie kusić losu, więc szybko włożyłam go na szyję i uznałam, że będę zdejmować jedynie na noc i do kąpieli. W środku są zdjęcia dziadków; nie chciałam, żeby zamokły.

Skinął głową. Poprzednim razem prawie nic o sobie nie mówiła, a teraz trajkotała jak najęta, co oznacza, że jest zdenerwowana, przejęta rozmową, której ma być świadkiem. Zapewne żyła w ciągłym stresie, stale martwiąc się o bezpieczeństwo rodziców.

- Zaparkowałam kilkanaście metrów dalej - oznajmiła, ruszając w kierunku, z którego przyszła.

- Tak? - Po chwili zrównał się z nią. Kazała mu przybyć na umówione miejsce metrem albo taksówką, nie wspomniała jednak, że będą gdzieś dalej jechać. A o ile się orientował, nie miała samochodu. -

Większość niezamężnych kobiet na Manhattanie nie ma auta - dodał.

- Wypożyczyłam samochód. I nie przypominam sobie, żebym ci mówiła, że jestem niezamężna.

Z jej tonu jasno wynikało, o co go podejrzewa, mianowicie o to, że usiłował zdobyć o niej informacje. Wzruszył ramionami.

- Nie nosisz obrączki, więc uznałem, że nie masz męża. Zgadłem?

- Tak, ale chyba reporter powinien sprawdzać fakty, a nie zgadywać. To ten - powiedziała, zatrzymując się przy niebieskim cavalierze.

Zrobił krok do tyłu, udając, że podziwia pojazd, w rzeczywistości zaś zerkając na tablicę rejestracyjną.

- Mówiłam ci, że jest wynajęty. Sprawdzanie tablic nic nie da.

Przez ułamek sekundy kusiło go, by oburzyć się, zaprotestować, że wcale nie miał takiego zamiaru, ale uznał, że April się na to nie nabierze.

- Przepraszam - rzekł. - Głupie przyzwyczajenie. Wolno spytać, gdzie jedziemy?

- Nigdzie. Pokrążymy trochę bez celu. Po prostu doszliśmy z ojcem do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli zadzwoni na moją komórkę, kiedy samochód będzie w ruchu.

Tak, musi przyznać, że starannie wszystko obmyślili. Zmienna częstotliwość uniemożliwia podsłuchanie rozmowy. Już wiedział, dlaczego kazała mu zostawić cherokee pod domem; bała się, że zamocuje

przełącznik impulsów, a wtedy ktoś jadący z tyłu, wyposażony w mikrofon dalekiego zasięgu, będzie w stanie słyszeć przynajmniej połowę rozmowy.

- Zanim wsiądziemy, czy mógłbyś mi pokazać swój długopis? - poprosiła.

Odczepił go od notesu i podał do inspekcji. Obejrzała go ze wszystkich stron, zdjęła nakrętkę, sprawdziła, czy w środku nie ma ukrytego aparatu do robienia zdjęć lub mikrofonu, po czym otworzyła drzwi od strony pasażera.

- Mógłbyś opróżnić kieszenie, a ich zawartość położyć tu na siedzeniu?

Wyjął portfel i klucze do mieszkania.

- To wszystko? - spytała.

- Lubię podróżować bez ciężarów. A jeśli masz ochotę na rewizję... - Oparł ręce na dachu, sądząc, że to rozśmieszy April. Tymczasem z poważną miną stanęła za nim - tak blisko, że poczuł w nozdrzach subtelny zapach jej perfum, a także dotyk jej piersi na swych plecach.

Wstrzymał oddech, gdy zaczęła przesuwając ręce po jego żebrach. Dokładnie obszukała tors, potem biodra i uda. Serce mu waliło, krew dudniła w skroniach, napięcie w kroczu rosło. Wyobrażał sobie, co by było, gdyby znajdowali się gdzie indziej, a nie przy ruchliwej ulicy.

- Hej, lala! - zawołał jakiś typek, który obserwował ich z odległości paru metrów. - Mogę być następny?

Ignorując go, Paul obrócił się tyłem do samochodu. April miała speszoną minę.

- Chciałam być pewna - rzekła. - W dzisiejszych czasach robią już potwornie małe nadajniki.

Schował rzeczy do kieszeni i zajął miejsce pasażera. April obeszła samochód i również wsiadła. Sam się zdumiał, że tak bardzo złości go jej podejrzliwość. Przecież był przyzwyczajony, że ludzie mu nie ufają. Po prostu taką miał pracę. Poza tym, racjonalnie rzecz biorąc, byłaby głupia, gdyby wierzyła każdemu obcemu facetowi. Ale z irracjonalnego punktu widzenia przeszkadzało mu, że traktuje go jak oszusta.

- Słuchaj - powiedział, kiedy przekręciła kluczyk w stacyjce. - Wiem, że chodzi ci o bezpieczeństwo rodziców i zapewniam cię, że nikomu słowem nie wspomniałem o tej całej sprawie. Nie przyszedłbym na to spotkanie okablowany...

- Nawet gdybyś był czarnym charakterem? - spytała z uśmiechem, ale wiedział, że wcale nie ma ochoty na żarty.

Jakie to ma znaczenie, czy mi ufa, czy nie? - pomyślał. Owszem, podobała mu się, ale była to wyłącznie kwestia chemii, hormonów, feromonów czy innych tam monów. Za słabo ją znał, by mogło mu na niej naprawdę zależeć. I wcale nie chciał jej lepiej poznawać. Przynajmniej dopóki się nie przekona, że Colin Birmingham nie jest Napalmowcem.

Tak, dopóki nie nabierze tej pewności, musi traktować ją wyłącznie jak osobę, dzięki której zdoła nawiązać kontakt z poszukiwanym przez siebie człowiekiem. A zatem nie powinno go obchodzić, co ona o nim myśli i czy ma do niego zaufanie, czy nie. To nie jest istotne.

A jednak obchodzi go. Sam nie wiedział dlaczego, ale po prostu straszliwie go złościło, że mu nie ufa.

April nastawiła klimatyzację w samochodzie na maksimum i, nie potrafiąc ukryć zaniepokojenia, włączyła się w ruch uliczny.

Wczesnym popołudniem umówiła się ze znajomą na lunch, nie była jednak w stanie skupić się ani na konwersacji, ani na jedzeniu, bo cały czas myślała o rozmowie, jaką wieczorem odbędzie z Pauliem jej ojciec. Od telefonu dzieliło ich już tylko kilka minut.

- Kiedy widziałas się z rodzicami, czy w końcu ci się zwierzyli? - spytał.

Popatrzyła na niego, niepewna, co dokładnie ma na myśli. Natychmiast przypomniało jej się, jak stojąc na werandzie, usłyszała, że jest coś, jakaś „prawda”, o której nigdy jej wcześniej nie mówili. Wciąż nie dawało jej to spokoju.

- To znaczy, czy powiedzieli ci, kogo podejrzewają o podłożenie ładunku? - dodał.

Przyszło jej do głowy, że przypuszczalnie Paul Gardiner nie bardzo wierzy, iż jej ojciec zadzwoni i dlatego usiłuje z niej wydobyć jakieś informacje. Tak na wszelki wypadek.

- Nie - odparła. - Rozmawialiśmy krótko. I wyłącznie o tym, czy ojciec powinien się zgodzić na rozmowę z tobą.

Spojrzał na nią tak, jakby jej nie dowierzał. Ale przecież nie skłamała, rozmowa dotyczyła jednego tematu, a „krótko” czy „długo” jest pojęciem względnym. Może gdyby nie musiała wracać na noc do miasta... W każdym razie liczyła na to, że lada moment ojciec zdradzi Paulowi, kogo podejrzewa o spowodowanie wybuchu, a wtedy ona się również dowie. Oby tylko Paul nie nawalił.

Przyglądając mu się z ukosa, zastanawiała się po raz tysięczny, czy aby na pewno chodzi mu tylko o prawdę. Bo jeżeli nie...

Zerknęła do lusterka, by sprawdzić, czy nikt ich nie śledzi, potem skręciła w ruchliwą Ósmą Aleję i ponownie popatrzyła na Paula, jakby chciała przeniknąć wszystkie jego głęboko skrywane, mroczne tajemnice.

Ale jedyne, co widziała, to smagłą, ujmującą twarz, włosy opadające na kark, szerokie ramiona. A także gołe, muskularne nogi oraz koszulkę przysłaniającą silny, atletycznie zbudowany tors. Na samo wspomnienie jego twardych mięśni, które czuła, kiedy szukała na nim ukrytego nadajnika, zrobiło jej się gorąco. Biorąc się w garść, skupiła się na ruchu ulicznym.

Zdawała sobie sprawę, że człowiek, który koło niej siedzi, może okazać się wrogiem, a to znaczy, że lepiej nie interesować się nim jako mężczyzną. Tak, będzie musiała pamiętać o tym podczas kolejnych spotkań - jeśli oczywiście dojdzie do kolejnych spotkań. A dojdzie, jeśli Paul zgodzi się na warunki ojca i nie powie ani nie zrobi nic, co by wzbudziło jej podejrzliwość.

Myśląc z niepokojem o przyszłości, wyjęła z torebki telefon komórkowy i, pełna obaw, podała go Paulowi.

Sięgając po słuchawkę, Paul czuł narastające napięcie.

- Jak się mam do niego zwracać? - spytał. - Jakiego obecnie używa nazwiska?

- Dla ciebie ojciec jest Colinem Birminghamem - odparła. - I tak się do niego zwracaj.

- W porządku.

Próbował się rozluźnić, uspokoić. Powtarzał w myślach, że jest to kolejna sprawa w jego reporterskiej karierze, ale wiedział, że sam siebie oszukuje. Nie jest to jakaś tam kolejna sprawa. Tym razem rzecz dotyczy wybuchu w fabryce, gdzie zginął jego ojciec. Jeżeli Colin Birmingham nie podłożył ładunku, zapewne domyśla się, kto to zrobił. Inaczej po co by się zgadzał na rozmowę?

Dobrze wiesz dlaczego, znasz odpowiedź na to pytanie. Może facet jest winny, może to on spowodował wybuch, ale może w oświadczeniu Walkera widzi szansę zrzucenia winy na kogoś innego.

Bądź co bądź dla reportera to prawdziwa gratka: udowodnić, że FBI przez niemal trzydzieści lat szukało nie tego człowieka, co trzeba. Takie odkrycie wyrabia reporterowi nazwisko na całe życie. Niektórzy byliby skłonni ponaciągać fakty tak, aby samemu na tym skorzystać.

Cholera, gdyby jeszcze mogli zdobyć nagrodę Pulitzera, pewnie gotowi byliby sfabrykować dowody! Może Colin Birmingham liczy na to, że właśnie do takich dziennikarzy należy on, Paul Gardiner?

Spoglądając na April, zastanawiał się, czy kiedykolwiek wątpiła w niewinność ojca? Czy kiedykolwiek miała rozterki, wahania? Podejrzewał, że raczej nie. Że całym sercem i duszą wierzyła w wersję, którą rodzice jej opowiedzieli.

Zbliżali się do Columbus Circle. Akurat wjeżdżali na rondo, kiedy zadzwonił telefon.

- Odbierz - poleciała April. Wcisnął odpowiedni przycisk.

- Paul Gardiner - powiedział do słuchawki. Po chwili męski głos odpowiedział:

- Tu Colin Birmingham.

Paul poczuł, jak mięśnie brzucha mu się napinają. Do tego momentu nie był pewny, czy Birmingham rzeczywiście zadzwoni.

- Dziękuję, że zechciał pan się ze mną skontaktować.

- Dziękuję, że chce pan się dowiedzieć, kto naprawdę jest odpowiedzialny za wybuch w fabryce napalmu. Ale przejdźmy do rzeczy.

Innymi słowy, nie bawmy się w uprzejmości? W porządku. Paulowi to odpowiadało; przecież wprost nie mógł się doczekać, kiedy będzie mógł zadać pierwsze pytanie.

- Dobrze - oznajmił, otwierając notes. — Od czego zaczynamy? Może od tego, kogo pan podejrzewa o dokonanie zamachu...

- Zaraz do tego dojdziemy, ale zanim cokolwiek panu powiem, musi pan przystać na kilka warunków.

- Słucham.

- Chcę, żeby dopuścił pan moją córkę do współpracy. Chcę, żeby znała wszystkie pana posunięcia, żeby była obecna, kiedy pan przesłuchuje różnych ludzi, żeby...

- To niezbyt fortunny pomysł, panie Birmingham. Ja...

- Może ją pan przedstawiać jako swoją asystentkę.

- Nic by z tego nie wyszło. Czasem umawiam się z kimś w locie, z minuty na minutę, albo o różnych dziwnych porach dnia i nocy...

- Dostosuję się... - wtrąciła cicho April, a kiedy na nią popatrzył, dodała: - Nie mam teraz dużo pracy. W każdej chwili mogę wszystko rzucić i o dowolnej porze być do twojej dyspozycji.

Aha, pomyślał Paul; czyli córka z ojcem zawczasu wpadli na ten pomysł. Ale co innego było przystanie na „warunki” dotyczące jednej rozmowy telefonicznej z Birminghamem, a co innego zgoda na stałą obecność April, śledzącą każdy jego ruch. Na coś takiego po prostu nie miał zamiaru się zgodzić. Nie spuszczać z April wzroku, powiedział do słuchawki:

- Proszę mnie posłuchać. W tej sprawie chodzi o odnalezienie dowodów przeciwko człowiekowi, który ma na sumieniu śmierć siedmiu niewinnych osób. Przyparty do muru, nie wiadomo, jak może zareagować. Chyba nie chciałby narażać pan córki na niebezpieczeństwo?

- Moja córka potrafi doskonale sobie radzić w różnych sytuacjach, panie Gardiner. Podejrzewam, że pan też, więc nie sądzę, żeby sprawy wymknęły się panu spod kontroli.

- Ale...

- Tak albo nie? To jest mój warunek. Chcę, żeby córka była dokładnie zorientowana we wszystkim, co pan robi. Żeby znała każdy szczegół pańskiego dochodzenia.

Rozumiem, pomyślał Paul; po prostu chcesz, żeby mnie szpiegowała. Ponownie spojrzął na April. Z różnych powodów nie miał ochoty, żeby łąziła za nim jak cień. Po pierwsze, nie chciał jej narażać, po drugie zaś nie

mógł wykluczyć, że to jednak Colin Birmingham był odpowiedzialny za wybuch.

Nie wyobrażał sobie, co by było, gdyby dowody wskazujące na winę Birminghama wyszły na jaw w obecności jego córki. Jak by zareagowała? Co by zrobiła? Czy z miłości do rodziców i chęci, aby ich za wszelką cenę chronić, nie wyciągnęłaby spluwy i nie zabiła jego, Paula? Dopuszczenie jej do wszystkich tajemnic, do wszystkich jego poczynań - to był zdecydowanie zły pomysł. Podejrzewał jednak, że Birmingham nie blefuje.

- Więc jak brzmi pańska odpowiedź?

Paul jeszcze przez moment się wahał, ale zabrnął już za daleko, żeby teraz się ze wszystkiego wycofywać.

- W porządku. Zgadzam się - odparł.

Na obliczu April nie dostrzegł żadnej zmiany. Przynajmniej potrafi kontrolować emocje, pocieszył się w myślach; a to znaczy, że wyraz twarzy jej nie zdradzi.

- To dobrze - rzekł Birmingham. - W takim razie możemy przejść do sedna. April, jak mniemam, powiedziała panu, że nigdy tak naprawdę nie uważałem, aby to Walker i Gutteridge obmyślili i zaplanowali całą akcję prowadzącą do wysadzenia w powietrze fabryki?

- Tak.

- Muszę jednak przyznać, że czasem nachodziły mnie wątpliwości. Bo jaki inny miałiby powód, żeby mnie oskarżać o tę zbrodnię? Ale z nimi już pan rozmawiał, więc skupię się na ludziach, których Mary i ja

podejrzewamy. Oczywiście, możemy się mylić, ale gdybym był na pańskim miejscu, na pewno bym ich sprawdził.

- Świetnie. Właśnie na to liczyłem. Na jakieś wskazówki, jakiś trop...

- Dobra. Po pierwsze, John Bellavia. - Przeliterował nazwisko, żeby Paul mógł je prawidłowo zapisać. - Nie mam pojęcia, gdzie się facet obecnie podziewa, ale nie zdziwiłbym się, gdyby tkwił w zakładzie psychiatrycznym. W latach sześćdziesiątych mieszkał w Nowym Jorku i był członkiem AWW. A co ważniejsze, podkochał się w Mary. Wodził za nią maślanym wzrokiem, zanim ja pojawiłem się na horyzoncie. Dziwny człowiek. Piekielnie inteligentny, ale... Nie wiem, czy naprawdę był psychopata, czy po prostu inaczej myślał i zachowywał się od nas wszystkich. W każdym razie nie ulega wątpliwości, że nie pasował do otoczenia. Odstawał. Organizacje takie jak AWW przyciągały różnych ludzi, w tym sporo pomyleńców. Mary było żal Johna. Chciała być dla niego miła, więc raz czy drugi poszła z nim na kawę i na jakąś manifestację. Niestety, on niewłaściwie odczytał jej intencje; uznał, że ona też do niego coś czuje. Kiedy ją poznałem, Mary była na etapie tłumaczenia Johnowi, że go nie kocha, że traktuje go jak przyjaciela i nic więcej. Wie pan, nigdy nie wierzyłem w miłość od pierwszego wejrzenia, ale Mary i ja... to właśnie było to.

Paul odruchowo zerknął na April, po czym - powtarzając w myślach, że on również nie wierzy - utkwiał wzrok w notesie, który trzymał na kolanach.

- Johnowi przeszkadzała moja obecność - kontynuował Birmingham.

- Stale wydzwaniał do Mary; jeśli wiedział, że gdzieś będziemy, zawsze

się tam pojawiał. Miał obsesję na jej punkcie. Proszę nie myśleć, że przesadzam. On ją naprawdę prześladował. W dzisiejszych czasach Mary mogłaby prosić sąd, żeby prawnie zakazał Johnowi zbliżania się do niej. Za złamanie zakazu trafiłby za kratki. Wtedy jednak były inne czasy, staraliśmy się jakoś sami radzić sobie z takimi problemami. Do mnie oczywiście John pałał nienawiścią. Winił mnie za to, że zabrałem mu ukochaną dziewczynę. Wierzył, że prędzej czy później Mary przejrzy na oczy i wróci do niego. Ta jego obsesja trwała latami. Nawet kiedy już byliśmy małżeństwem i przyszła na świat nasza córka, on wciąż kręcił się w pobliżu. Często zastanawialiśmy się, czy nie wmówił w siebie, że gdybym ja nagle zniknął z pola widzenia, Mary u niego szukałaby pocieszenia.

- Zniknął z pola widzenia? To znaczy, gdyby pana oskarżono o podłożenie ładunku i osadzono w więzieniu? - spytał Paul, zapisując coś szybko.

- No właśnie.

- Czy John Bellavia potrafiłby skonstruować bombę?

- Tak jak wspomniałem, był piekielnie inteligentny. I bardzo sprawny manualnie. Moim zdaniem skonstruowanie bomby to dla niego pestka. Tym bardziej że bomby, jakie wtedy robiliśmy, były dość prymitywne.

Robiliśmy. Paul natychmiast zwrócił uwagę na liczbę mnogą. Bardziej pasowało to do obrazu, jaki przedstawił

Walker, który twierdził, że Birmingham uważał, iż „cel uświęca środki”, niż do obrazu, jaki przedstawiła April, która wierzyła, że rodzice brali udział wyłącznie w pokojowych manifestacjach.

Ale nie miał czasu dłużej nad tym dumać, bo Birmingham właśnie zaczął rozwijać temat bomb.

- W owym czasie każdy szanujący się anarchista wiedział, że do produkcji bomby potrzebna jest odrobina kwasu azotowego i siarkowego; z tego powstaje piroksylina, inaczej bawełna strzelnicza. Potem wystarczy dodać parafiny i parę innych składników. Więc tak, jestem przekonany, że John potrafiłby skonstruować bombę. Jeśli chodzi o pobudki... no cóż, człowiek przy zdrowych zmysłach dawno by się poddał, pogodził ze stratą. John jednak... to porządnie rąbnięty gość.

Paulowi wydawało się mało prawdopodobne, aby jeden facet próbował umieścić drugiego za kratkami, licząc na to, że dzięki temu odzyska ukochaną kobietę. Ale jeżeli Birmingham podejrzewa Bellavię, należy go sprawdzić.

- Czy Bellavia miał jakieś kontakty z Walkerem i Gutteridge'em?

- Znali się.

- Ale gdyby był winien, czy tamci dwaj mieliby jakiś powód, żeby go chronić? Żeby zrzucić winę na pana?

- Z tego, co mi wiadomo, nie byli blisko zaprzyjaźnieni. To znaczy, Walker przyjaźnił się z Gutteridge'em, John jednak zawsze trzymał się na uboczu. Był typem samotnika. Ale mógł im zapłacić, żeby skłamali. Pochodzi z bardzo zamożnej rodziny.

- Czyli miał motyw, a bez trudu mógł zdobyć narzędzie... Powiedział pan, że nie wie, gdzie Bellavia obecnie przebywa?

- Nie. Właściwie nic więcej nie wiem na jego temat.

- A inni, których mógłby pan ewentualnie wskazać? -spytał Paul.

- Drugie miejsce na mojej liście podejrzanych zajmuje człowiek o nazwisku Wayne Resdoe.

Ręka Paula zawisła bez ruchu nad kartką papieru.

- Co się stało? - zapytała April.

Zauważył, że bacznie mu się przygląda; nagle uświadomił sobie, że cały czas obserwowała go ukradkiem, analizując wszystkie jego reakcje.

- Co się stało? — powtórzyła.

Nie wiedział, czy słusznie zamierza postąpić, podejrzewał jednak, że w tej sytuacji prawda będzie najlepszym wyjściem. Zasłaniając ręką mikrofon, szepnął:

- Znam jednego z ludzi, których twój ojciec podejrzewa.

- Powiedz mu o tym. Skinął głową.

- Panie Birmingham...

- Skończmy z tym pan. Mów mi Colin.

- Dobrze. A zatem, Colin, znam Wayne'a Resdoe. Nastąpiła chwila ciszy. Wreszcie Colin Birmingham spytał:

- To nie jest ten twój informator z FBI?

- Nie. Zresztą znam go dość słabo.

- Myszka wspomniała, że masz paru znajomych w Biurze, ale uznałem, że szansa, aby jednym z nich był akurat Resdoe, jest minimalna.

- Myszka? - Paul spojrział na April. Ta wzruszyła ramionami.

- Moja córka - wyjaśnił Colin Birmingham.

- Tak, przepraszam. Po chwili się domyśliłem. Myszka? Co za dziwny przydomek. April była najmniej szarą, myszkowatą kobietą, jaką w życiu widział.

- Co o nim sądzisz? - zapytał Colin.

- O Resdoe? - Oderwał wzrok od April i ponownie skupił się na rozmowie. - Słabo się znamy, ale gdybym miał go krótko określić, powiedziałbym, że to samolubny drań.

- Widzę, że jesteś dobrym znawcą ludzkich charakterów - oznajmił ze śmiechem Colin Birmingham. - I że Resdoe nie zmienił się przez te wszystkie lata. Wtedy, w latach sześćdziesiątych... Zresztą, może sam to wiesz: o wszystkim, co się działo, donosił FBI; był ich wtyczką.

- Nie, nie wiedziałem.

- W Biurze powstał specjalny program, specjalna komórka do zwalczania ruchów antywojennych. Kierowano do niej najmłodszych agentów, takich, którzy mogliby uchodzić za studentów.

- Akcja Kontratak - mruknął Paul, przypominając sobie nazwę programu, na którą trafił, zbierając materiały do swojej książki.

- Zgadza się. Resdoe brał w niej czynny udział. Oczywiście w tamtym czasie myśleliśmy, że jest jednym z nas. Prawdę poznaliśmy dopiero dziesięć czy piętnaście lat później. Ktoś z naszych przypadkiem usłyszał, że Resdoe jest agentem. Kiedy ludzie z siatki zaczęli sprawdzać tę informację, okazało się, że był etatowym pracownikiem FBI już wtedy, gdy zapisywał się do AWW. W każdym razie, tuż po wybuchu w fabryce,

chodziły słuchy, że to robota Resdoe. Potem Walker i Gutteridge złożyli zeznania, które obciążły mnie, i jakoś ludzie o nim zapomnieli.

- A wcześniej uważali, że to on podłożył ładunek? - spytał Paul. I zabił mojego ojca? - dodał w myślach.

- Nie że podłożył. Podłożyć można było w ciągu ściśle określonego czasu. Znasz szczegóły, prawda?

Znał. Bombę umieszczono w szatni, w szafce jednego z robotników. Nie było jej tam, kiedy facet kończył swoją zmianę; wybuchła cztery godziny później.

- W tych godzinach Resdoe miał alibi - kontynuował Colin Birmingham - ale mógł wszystko zaplanować i prosić kogoś, żeby umieścił ładunek w szafce.

- Jeśli tak było istotnie, to by znaczyło, że winę za wybuch ponosi FBI? - Paul czuł, jak serce mu wali.

- To już spekulacje. Ja ci podaję fakty. Faktem jest, że John Bellavia miał nie po kolei w głowie i faktem jest, że Wayne Resdoe był wtyczką FBI. A jakie z tego płyną wnioski? Nie wiem, mogę tylko zgadywać.

- Pozgaduj. Na użytek tej rozmowy. Powiedz, czy twoim zdaniem FBI maczało w tym palce?

- Jeżeli Resdoe jest winien, na pewno nie działał na polecenie FBI. Nie żeby FBI nie wydawało poleceń sprzecznych z prawem, w to akurat nie wierzę. Po prostu Resdoe zawsze wydawał mi się facetem o ogromnych ambicjach. Poza tym był, jak go określiłeś, samolubnym draniem. A zatem jeżeli on wszystko obmyślił, musiał mieć jakiś cel, na coś liczyć.

- Na przykład na co?

- Mógł specjalnie nastawić mechanizm zegarowy tak, żeby ładunek wybuchł, kiedy w fabryce byli jeszcze robotnicy. W ten sposób uwaga całego społeczeństwa skupiłaby się na eksplozji.

- Co by mu to dało?

- Nawet jeśli działał w pojedynkę, z własnej nieprzymuszonej woli, to nie zapominaj, że był pracownikiem FBI, a federalni uwielbiali wszelkie incydenty, które świadczyły na niekorzyść protestujących. Widzisz, społeczeństwo było podzielone, jedni popierali wojnę w Wietnamie, inni byli jej przeciwni. FBI wykorzystało tragedię w fabryce napalmu, żeby pokazać wszystkim, że członkowie AWW to lubujący się w przemocy wywrotowcy, którzy mordują swych rodaków. Ale wracając do Wayne'a Resdoe. Zapewne przed wybuchem opłacił Walkera i Gutteridge'a, żeby wskazali na mnie palcem. I oczywiście polecił im, żeby sami mieli na ten czas niepodważalne alibi.

Paulowi przemknęło przez myśl, że mógł ich opłacić z tajnej kasy, z której, w uzasadnionych przypadkach, agenci specjalni mają prawo pobierać fundusze. Zamierzał spytać swego rozmówcę, dlaczego Resdoe akurat jego, Colina, postanowił wybrać na kozła ofiarnego, ale po chwili przerwy ojciec April znów podjął wątek.

- Na końcu, oczywiście, zamierzał podać moje zamiary swoim kolegom z biura. Sam, rzecz jasna, nie mógł mnie aresztować, bo nie chciał się z niczym zdradzić. To, że doprowadziłby do ujęcia sprawcy wybuchu, ogromnie pomogłoby mu w karierze. I właśnie na to liczył. Ale niestety, stało się inaczej. Albo zbyt późno przekazał mój adres, albo jego

koledzy działali opieszale, nie wiem; tak czy owak, kiedy federalni wreszcie po mnie przyjechali, Mary, mnie i Myszki już dawno nie było.

Paul powoli zakreślił w notesie nazwisko Wayne'a Resdoe, zastanawiając się, czy to możliwe, by jego ojciec i sześcioro innych ludzi zginęło dlatego, że jeden nadgorliwy agent cierpiący na przerost ambicji zawodowych postanowił w dość niekonwencjonalny, acz skuteczny sposób zwrócić na siebie uwagę zwierzchników. Czy naprawdę niewinni ludzie musieli umrzeć, bo jakiś szaleniec chciał dostać awans?

Próbował oczyścić umysł, pozbyć się wszelkich tego typu refleksji. Trudno mu było pogodzić się z myślą, że ktoś zabija z tak miałych, bezsensownych powodów. Na razie musiał się skupić nie na pojedynczych ludziach, lecz na ogólnym obrazie.

Jeżeli agent FBI świadomie powoduje śmierć swych współrodaków... Psiakrew, jeśli istotnie tak było, należy wszystko opisać, nadać sprawie rozgłos!

- Uważasz, że to interesująca możliwość? - spytał Colin Birmingham.

- Tak. Bardzo - przyznał Paul.

- To poczekaj, aż usłyszysz trzecie nazwisko z mojej listy podejrzanych. Nelson Harmidarrow.

- Senator Nelson Harmidarrow?

- Tak.

April ogromnie żałowała, że telefon nie ma drugiej słuchawki, bo chętnie posłuchałaby, co ojciec mówi. Z samej reakcji Paula domyślała się, że ułożona przez rodziców lista podejrzanych musi być niezwykle ciekawa.

Kiedy usłyszała, jak Paul pyta, czy winą za wybuch można obciążyć FBI, o mało nie huknęła w zderzak samochodu jadącego przed nią. A kiedy w rozmowie padło nazwisko senatora Nelsona Harmidarrowsa... Z tego, co się orientowała, Harmidarrows - nie przebijający w słowach przywódca ruchu studenckiego, który później został politykiem - był nowojorskim odpowiednikiem Toma Haydena. Jeżeli jego nazwisko figuruje na liście ojca...

Właściwie sama nie wiedziała, czego się spodziewać, ale na pewno nie spodziewała się, że wśród podejrzanych znajdzie się agent FBI oraz senator amerykański. Poczula, jak po krzyżu przechodzą jej ciarki.

Zanim dojechała do końca Central Park North i skręciła w Piątą Aleję, rozmowa zeszała na sprawy nieco ogólniejsze. Paul zadawał pytania na temat ruchu AWW i słuchając odpowiedzi swego interlokutora, szybko coś zapisywał.

Zbliżała się do wjazdu do parku przy Dziewięćdziesiątej Siódmej Ulicy, kiedy w końcu oznajmił:

- Dzięki, Colin, na razie to by było wszystko. Jestem ci ogromnie wdzięczny. Mam nadzieję, że obydwaj na tym skorzystamy... Oczywiście - dodał po chwili. - Twój ojciec chciałby z tobą zamienić słowo - powiedział, przekazując April słuchawkę.

- No i co? - spytał Colin Birmingham, ledwo w słuchawce rozległ się głos April. - Widziałas coś w jego twarzy, jakiś grymas, gest, skrzywienie, które by ci się nie podobało?

- Nie. - Kusilo ją, by uzmysłowić ojcu, że z łatwością mogła coś przegapić; prowadzenie pojazdu na Manhattanie oraz jednocześnie

obserwowanie reakcji osoby, która siedzi obok, nie należy do prostych zadań. Ale ze względu na Paula ugryzła się w język.

- To dobrze. Co do reszty... nie rozmyślałaś się?

- Nie.

- Bądź ostrożna, Myszko. Jeżeli coś ci się stanie.

- Nic mi się nie stanie - rzekła z większym przekonaniem, niż czuła.

Gdyby jakikolwiek senator chciał powstrzymać Paula od dowiedzenia się czegoś więcej na temat wybuchu w fabryce napalmu, mógł to zrobić bez trudu. Miałby dziesiątki sposobów, aby osiągnąć swój cel. Aż strach pomyśleć, iloma sposobami mogłoby dysponować FBI.

- No dobrze, uważaj na siebie. I koniecznie mnie o wszystkim informuj.

- Dobrze, tato. Do usłyszenia.

- Pa, kochanie.

Wyłączyła telefon i zaparkowała przy krawężniku.

- No dobra, mów. Paul uśmiechnął się.

- Widzę, że nie lubisz tracić czasu.

- Nie lubię. A to, że się słyszy tylko jednego rozmówcę, jest straszliwie irytujące.

Uśmiechnął się ponownie, po czym napotkał wzrok April. Serce zabiło jej mocniej, żar rozszedł się po jej ciele. Uśmiech, który błąkał się po jego wargach, miał w sobie coś zniewalającego. Ciasne wnętrze auta wypełniał zdecydowanie męski zapach o lekko korzennej nucie. Niby nie był intensywny, mimo to czuła, jak powoli wciska się przez każdy jej por, wnika w nią...

Oderwała od Paula spojrzenie, mówiąc sobie, że musi skoncentrować się na czymś innym, że owszem, na wszystko jest czas i miejsce, ale teraz na pewno nie jest ku temu odpowiednia pora, zaś Paul nie jest odpowiednim mężczyzną.

- No dobra - rzekł. - Na liście podejrzanych twojego ojca znajduje się facet z bogatej rodziny, który miał obsesję na punkcie twojej matki, agent specjalny, który przypuszczalnie działał na własną rękę, oraz Nelson Harmidarow. Od kogo mam zacząć?

Agent specjalny. Przynajmniej pojedyncza osoba, a nie akcja wymyślona i przeprowadzona przez FBI. Najbardziej zaintrygowała ją osoba senatora.

- Od Harmidarowa - odparła.

- W porządku. Nelson Harmidarow był ważną postacią w ruchu AWW, chyba najbardziej wpływową. W tamtym czasie twoi rodzice podejrzewali, że miał coś wspólnego z wybuchem.

- Dlaczego? Na jakiej podstawie?

- Na podstawie różnych rzeczy, które wiedzieli i o których słyszeli. Oczywiście, dowodów nie mieli żadnych, ale przeczucie im mówiło, że Harmidarow jakoś był w tę sprawę zamieszany.

- Dlaczego? - powtórzyła.

- Tego twój ojciec nie potrafił jasno sprecyzować. Może dlatego, że Harmidarow zawsze o wszystkim z góry wiedział; że nic się nie działo bez jego zgody. Poza tym Walker i Gutteridge mieli go za boga. Twój ojciec uważa, że gdyby Harmidarow poprosił ich o pomoc, zrobiliby dla niego absolutnie wszystko.

- Obciążyliby niewinnego człowieka tylko dlatego, że Harmidarrowskich o to poprosił?

Paul skinął głową.

- W dodatku Harmidarrowski miał motyw. On i twój ojciec kilka razy się starli.

- O co?

- Nie jestem pewien. Ale gdyby senator chciał chronić własną skórę, czy nie wskazałby jako winnego człowieka, z którym ciągle miał na pieńku? Aha, i jeszcze jedno. Wkrótce po wybuchu odszedł z AWW. Naturalnie wystąpienie z organizacji nie musi nic oznaczać, ale twój ojciec uważa, iż fakt ten nie jest bez znaczenia.

- A inni podejrzani?

Opowiedział jej o pozostałych dwóch. Kiedy skończył, w głowie miała mętlik. Nigdy dotąd nie słyszała o facecie z obsesją na punkcie jej matki. A ten trzeci podejrzany, agent specjalny FBI, podesłany jako wtyczka...

Patrząc na siedzącego obok mężczyznę, nagle przypomniała sobie, że Napalmowiec zabił jego ojca.

- A ty jak się czujesz? - spytała cicho, zanim zdążyła pomyśleć. - Chyba musiało ci być ciężko, kiedy słuchałeś, jak mój ojciec mówi o wybuchu, o tym, kto mógł się go dopuścić? Wprawdzie od tamtej pory minęło wiele lat, ale... masz powody, żeby...

Urwała, świadoma, że się rumieni. Nigdy nie zadawała ludziom pytań natury osobistej, bo nie chciała, by jej takie zadawano. Żałowała, że złamała swoje zasady.

- To prawda, nie było lekko - przyznał po chwili. - Zawsze jednak wiedziałem, że kiedyś taka rozmowa mnie nie ominie.

Przez moment próbowała sobie wyobrazić go jako dziecko, małego chłopczyka, który postanawia, że pewnego dnia odnajdzie zabójcę ojca.

- Hej... Obraz zniknął.

- Sprawiałaś wrażenie nieobecnej myślami.

- Naprawdę? - Speszyla się. - Po prostu zastanawiałam się, czy znajdziesz tyle wolnego czasu, żeby z wszystkimi porozmawiać - skłamała.

Paul wzruszył ramionami.

- Jakoś sobie poradzę. Mam kilka dni zaległego urlopu i sympatycznego szefa, który przypuszczalnie pójdzie mi na rękę. Tak czy inaczej, na pewno coś wymyślę.

- Od którego zaczniemy?

- Hm, Wayne Resdoe pracuje tu na Manhattanie. Może z nim nas najpierw umówię?

April przygryzła wargi.

- Masz coś przeciwko temu? - spytał.

- Nie, tylko się tak zastanawiam... Skoro facet jest agentem FBI...

- Słuchaj, nie musisz iść ze mną. Znasz moje zdanie; wcale nie uważam twojej obecności za rzecz pożądaną ani chwalebna. Jeżeli masz ochotę się wycofać, to śmiało.

- Nie mam zamiaru się wycofywać. Po prostu zastanawiałam się, czy spośród wymienionej trójki Resdoe nie jest najgroźniejszy.

- Najgroźniejszy jest człowiek odpowiedzialny za wybuch, a jeszcze nie wiemy, kim on jest.

- Zwracasz dziś samochód? - spytał, kiedy wyjeżdżali z parku.

- Tak, odwiozę cię do domu i...

- Nie warto. Pojadę z tobą do agencji wynajmu. Pewnie mieści się gdzieś w pobliżu twojego mieszkania?

- Tak, na Amsterdam. Ale mogę cię podzucić, to naprawdę żaden kłopot.

- Nie. Bo wtedy zrobi się ciemno, zanim sama wrócisz do domu.

Zawahała się, nie wiedząc, jak zareagować. Nowy Jork może nie jest najbezpieczniejszym miastem na świecie, ale nie bała się chodzić wieczorami po ulicach. Na wszelki wypadek zawsze miała przy sobie pojemnik z gazem łzawiącym, którego - odpukać! - nigdy dotąd nie musiała używać.

- Kiedy zwrócimy samochód, chętnie zaproszę cię gdzieś na kawę - powiedział Paul.

Ledwo zatrzymała na nim wzrok, serce znów zaczęło jej bić w przyśpieszonym rytmie. Z twarzy Paula nie była w stanie nic wyczytać, ale coś w jego oczach mówiło jej, że on też czuje to dziwne iskrzenie, ten prąd, który między nimi przepływa.

- Powinniśmy porozmawiać - dodał. - Zastanowić się, co robić.

Go robić? Nic. Zamierzała udawać, że nie czuje żadnego iskrzenia, żadnego przyśpieszonego bicia serca. Nie ma się nad czym zastanawiać. Powinien wziąć z niej przykład i...

- W jaki sposób podejść tych facetów - dokończył, widząc jej lekko zdumioną minę.

- Tak, oczywiście - odparła szybko. - Moim zdaniem, powinniśmy ich podejść... bardzo ostrożnie.

Przez chwilę wpatrywał się w nią uważnie, potem odrzucił w tył głowę i ryknął śmiechem.

Pierwszy raz słyszała śmiech Paula; brzmiał tak swobodnie, tak wesoło, że chcąc nie chcąc sama też się uśmiechnęła.

- Masz rację - rzekł, poważniejąc. - Trzeba ich podejść ostrożnie. Myślę, że powinniśmy posłuchać rady twojego ojca i przedstawiać cię jako moją asystentkę. Możemy posłużyć się tym samym kłamstwem, które użyłem wobec Walkera i Gutteridge'a, że dla programu „Dzisiejszy świat” przygotowujemy retrospektywny odcinek o ruchach antywojennych. Potem wystarczy zręcznie przejść na temat wybuchu w fabryce napalmu.

Skręciła w Zachodnią Siedemdziesiątą Siódmą Ulicę.

- A jeśli senator albo Wayne Resdoe dowiedzą się własnymi kanałami, że stacja wcale niczego takiego nie przygotowuje? Nie będziesz wtedy miał nieprzyjemności?

- Nie. Zawsze mogę powiedzieć, że mnie źle zrozumieli; że robiłem wstępne rozeznanie, aby się zorientować, czy taki odcinek miałby ręce i nogi. Więc co? Umówię nas z Resdoe, a potem postaram się zdobyć adres Johna Bellavii i dowiedzieć się, gdzie akurat przebywa senator Harmidarow. Kto wie, może jest w Nowym Jorku, skoro w lipcu senat nie pracuje.

Dojechali do Amsterdam; ostatnią przecznicę pokonali w milczeniu. Po chwili April zatrzymała się przy agencji wynajmu samochodów. Paul zerknął na zegarek.

- Mógłbym skorzystać z twojego telefonu? - spytał. - Prosiłaś, żebym swój zostawił w domu, a chciałbym sprawdzić, czy nie ma dla mnie wiadomości.

Wydobyła z torebki komórkę i podała mu ją. Następnie weszła do agencji, aby zwrócić kluczyki.

Podczas gdy urzędnik wypisywał rachunek, April wyjrzała przez okno i zobaczyła, że Paul zawzięcie peroruje. Ciekawe... W tak krótkim czasie zdążył odsłuchać wiadomości i wykręcić drugi numer?

- Proszę, panno Kelly. - Urzędnik podał jej kwit.

- Dzięki. - Schowała go do torebki i wyszła na ulicę.

Paul akurat skończył rozmowę.

- Odprowadzę cię do domu - powiedział, oddając jej telefon - ale niestety, kawę musimy przelożyć na inny dzień. Właśnie rozmawiałem z producentem „Dzisiejszego świata”. Zarezerwował mi bilet na nocny lot do Bogoty.

- Do Bogoty? - powtórzyła zdumiona.

Pierwsza myśl, jaka przyszła jej do głowy, to to, że Bogota jest bardzo niebezpiecznym miastem, druga - to, że może Paul wcale się tam nie wybiera.

Dziwny zbieg okoliczności; ledwo skończył rozmawiać z jej ojcem i od razu musi lecieć na inny kontynent? Bardziej prawdopodobne wydało jej się, że uzyskawszy od Colina Birminghama informacje, jakich potrzebował, zamierzał ją, April, wykiwać. Tak, na pewno chce porozmawiać z trzema podejrzanymi mężczyznami na osobności, w cztery oczy...

Psiakość! Nie wiedziała, co Paul Gardiner knuje, ale nie zamierzała mu pozwolić działać w pojedynkę.

- Tak, przygotowujemy odcinek o kolumbijskich bossach karteli narkotykowych - wyjaśnił, gdy ruszyli w stronę jej domu. - Właśnie dostaliśmy cynk, że za dzień lub dwa ma nastąpić jakiś duży przerzut.

- I musisz być na miejscu? - Tak, razem z fotografem.

- Często ci się to zdarza? Taka sytuacja jak dziś? Jest sobota wieczór, zapraszasz kogoś na kawę, a już po chwili okazuje się, że musisz pędzić na lotnisko?

Obdarzył ją promiennym uśmiechem, a ona zdała sobie sprawę, że zaczyna się jej podobać to ciepélko, jakie jego uśmiech w niej wzbudza.

Po chwili skarciła się w duchu: przecież facet próbuje cię wykiwać!
Ciepłko wystygło.

- Na szczęście niezbyt często, ale na wszelki wypadek zawsze trzymam w domu spakowaną torbę. Ostatnim razem, kiedy szef kazał mi rzucić wszystko, musiałem lecieć do Kalifornii, gdzie członkowie jakiejś sekty popełnili zbiorowe samobójstwo. Gdy dzieje się coś ważnego, każdy szanujący się dziennikarz usiłuje dotrzeć na miejsce przed konkurencją z innych stacji.

Rozwijał dalej ten temat, ale ona słuchała tylko jednym uchem. Cały czas starała się wydumać, dlaczego tak bardzo zależy mu na tym, aby z ludźmi z listy podejrzanych jej ojca porozmawiać bez świadków.

A może wcale nie o to mu chodzi? Może o coś całkiem innego, na co jeszcze nie wpadła?

Oczywiście, jeśli był agentem, a nie - jak twierdził - dziennikarzem, wówczas wszystko, co robił, mogło być częścią zawilego planu mającego na celu usidlenie Colina i Mary Birminghamów. Nie wolno jej było ani na chwilę o tym zapominać.

- Będę w Bogocie krótko, zaledwie dzień czy dwa -ciągnął. - Jak tylko wrócę, od razu bierzemy się do roboty.

Zresztą po czterdziestu ośmiu godzinach morderczej pracy łatwiej będzie mi dostać parę dni wolnego.

- Tak, ale ta zwłoka może mieć niepożądane skutki.

- To znaczy?

- Ojciec jest zdania, że po tym, jak powiedziałaś Gutteridge'owi o zmianie zeznań Walkera, ten powiadomi o wszystkim prawdziwego winowajcę.

- Rozmawiając z nim po raz drugi, wiedziałem, że ryzykuję - przyznał Paul. - Miałem nadzieję, że kiedy usłyszy o Walkerze, to sam również zmieni zeznania. Nawet liczyłem na to, że zdradzi mi tożsamość człowieka, który podłożył ładunek.

- Ale nie zdradził?

- Niestety. Co zaś się tyczy twoich obaw, niekoniecznie musiał komuś mówić o naszej rozmowie. Staralem się go przekonać, że za mało mam informacji i w tej sytuacji rezygnuję z odcinka.

- Uwierzył ci?

- Nie mam pojęcia. Ale kiedy oświadczył, że w nowej wersji Walkera nie ma ani słowa prawdy, natychmiast przyznałem mu rację; powiedziałem, że wcale się nie dałem nabrać, tylko byłem ciekaw, po co Walker to wszystko wymyślił, i że liczyłem, iż on, Gutteridge, pomoże mi to jakoś zrozumieć.

- Jeżeli ci jednak nie uwierzył... Paul, zastanów się. Jeśli jest jeszcze ktoś, kto mógłby potwierdzić wersję Walkera, to im więcej czasu ma tajemniczy pan Iks, aby dotrzeć do tej osoby i zmusić ją do milczenia...

Zmusić do milczenia? W jaki sposób? April poczuła, jak przeszywa ją dreszcz.

- Tak czy inaczej twój wyjazd spowoduje kilkudniową zwłokę - kontynuowała po chwili. - A jeżeli Gutteridge skontaktował się jednak z prawdziwym Napalmowcem...

Doszedłszy do budynku, w którym mieszkała, stanęli przy schodach prowadzących do holu.

- Moim zdaniem nie powinniśmy marnować więcej czasu. Może kiedy będziesz w Bogocie, ja powinnam wybrać się na rozmowę do Resdoe. I do senatora, jeżeli okaże się, że przebywa akurat w Nowym Jorku.

- Co? Sama? Beze mnie?

Skinęła głową, starając się zignorować wyraz zdumienia i przerażenia, jaki odmalował się na twarzy Paula.

- Mówiłabym dokładnie to samo co ty - ciągnęła, uważnie obserwując jego reakcję. - Że jestem twoją asystentką i że „Dzisiejszy świat” przygotowuje odcinek retrospektywny o ruchach antywojennych. Mam wystarczająco dużo informacji o AWW, żeby zadawać w miarę inteligentne pytania.

- Nie, nie, to naprawdę bardzo zły pomysł. Nie wątpię, że świetnie byś sobie poradziła z pytaniami, nie w tym rzecz. Tu chodzi o...

Oczami wyobraźni widziała, jak Paul szuka jakiegoś wytłumaczenia, które brzmiałoby przekonująco.

- ...o status rozmówców. O wagę sprawy. Pamiętaj, że mamy do czynienia z senatorem oraz agentem specjalnym. Na rozmowę z kimś takim nigdy nie wysłałbym asystentki, a już na pewno nie na pierwszą rozmowę. Potraktowaliby to jak zniewagę. Jeden i drugi. Nawet gdyby umówili się z tobą na spotkanie, wiedzieliby, że coś jest nie tak.

- Aha. Może masz rację... - przyznała. W jego oczach pojawiła się ulga.

- Tak jak powiedziałaś, trzeba podchodzić do wszystkiego bardzo ostrożnie. Gdybyś sama wybrała się do nich na rozmowę, na pewno obudziłoby to ich czujność. Może nabraliby jakichś podejrzeń?

- Nie pomyślałam o tym. Dobrze, poczekam, aż wrócisz od swoich bossów narkotykowych.

- To nie potrwa długo - zapewnił. - W Bogocie będę rano, a do Stanów wrócę pojutrze wieczorem. Najpóźniej we wtorek po południu. Jak tylko wejść do mieszkania, natychmiast do ciebie zadzwonię.

A ja tymczasem znajdę sobie jakieś pożyteczne zajęcie, pomyślała April.

Z bijącym sercem obudziła się w środku nocy. W sypialni panowały nieprzeniknione ciemności. Wydawało jej się, że z salonu dobiegły ją jakieś podejrzane szmery. Jakby ktoś unosił lub opuszczał okno.

Leżała nieruchomo, wsłuchując się w odgłosy nocy. To nie może być okno, powtarzała sobie.

Wprawdzie nie zawsze je zamykała. Nie lubiła spać z włączoną klimatyzacją, więc czasem w nocy zostawiała okno otwarte, żeby do środka wpadało świeże powietrze. Ale na drugie piętro zdołałby się wdrapać jedynie człowiek pajak, zaś to jedno okno w pobliżu schodów przeciwpożarowych, które rzeczywiście mógłby się dostać do mieszkania złodziej, było dniem i nocą zamknięte na cztery spusty. W dodatku miało specjalnie wzmocnioną szybę.

Spojrzała na zegarek; dochodziło wpół do piątej. Usiadła na łóżku i cały czas wyteżając słuch, sięgnęła po telefon komórkowy.

Szmer się nie powtórzył. Słyszała jedynie odgłosy miasta, które nigdy nie śpi, dźwięki dochodzące z Amsterdam i Columbus.

Jeszcze przez minutę siedziała zasluchana, tłumacząc sobie, że szmer musiał się jej przyśnić. Przecież człowiek pajak to postać fikcyjna, bohater komiksów, a nie ktoś z krwi i kości. Natomiast samo mieszkanie jest równie bezpieczne jak Fort Knox.

Przynajmniej tak ją przekonywał gospodarz, zanim podpisała z nim umowę najmu, i nigdy do tej pory nie miała powodów do narzekań. Mimo to wiedziała, że nie zdoła ponownie zasnąć, dopóki nie sprawdzi, czy wszystko jest w porządku, więc wstała, włączyła światło i wyjęła z torebki pojemnik z gazem. Z pojemnikiem w jednej ręce, z telefonem w drugiej, ruszyła na obchód mieszkania. Dopiero gdy się upewniła, że poza nią nie ma w środku nikogo, wróciła do sypialni.

A jednak nie mogła już zasnąć i o wpół do siódmej poddała się. Wzięła prysznic, zaparzyła kawę, chwilę popracowała, czekając, kiedy wreszcie będzie mogła zadzwonić w parę miejsc, bo na razie wciąż było za wcześnie. Wyjęła z torebki wizytówkę Paula. Jeżeli nie wyjechał do Bogoty, to pewnie ma na tyle rozumu w głowie, żeby nie odbierać telefonów, ale i tak postanowiła spróbować.

Pod numerem domowym odezwała się sekretarka automatyczna. April rozłączyła się. Pod numerem komórki mogła zostawić wiadomość na poczcie głosowej; również się rozłączyła. Pozostał jej numer do jego pracy w NBS. Po paru próbach usłyszała nagrany na taśmę głos Paula: „Przykro mi, nie ma mnie w tej chwili w biurze. Albo zostaw wiadomość, albo wciśnij zero, aby porozmawiać z kimś innym”.

Wcisnęła zero; odezwało się kolejne nagranie.

Odłożyła słuchawkę. Niepotrzebnie traci czas; mogłaby robić coś pożytecznego. Ale co?

Spotkanie z Resdoe lub senatorem nie wchodzi w grę. Po pierwsze, nie wiedziałyby, gdzie ich w niedzielę szukać, a po drugie, czy jej się to podoba, czy nie, Paul miał rację. Rozmowa z asystentką mogłaby wzbudzić ich podejrzenia. Ale przecież było wiele innych osób, z którymi mogłaby porozmawiać.

Parę dni temu, kiedy sprawdzała w komputerze informacje, których Paul udzielił jej o sobie, przy okazji sprawdziła, gdzie mieszkają Ken Gutteridge i Tom Walker. Przy nazwisku Walkera pojawił się adres i numer telefonu w Bridgeport, zaś przy nazwisku Gutteridge'a zobaczyła nazwę motelu -Port's View - w Port Credit w Ontario, którego Gutteridge był właścicielem. Ponieważ żadnego innego adresu nie znalazła, uznała, że facet jest nie tylko właścicielem i zarządcą Port's View, ale również tam mieszka.

Oczywiście nie miała pewności, czy to są ci sami Walker i Gutteridge, którzy należeli kiedyś do AWW. Może Paul po prostu zajrzał do Internetu i tam znalazł dwa identyczne nazwiska. .. Jeśli tak, to całą jego opowieść o tym, jak do nich pojechał na rozmowę, można między bajki włożyć. A taśmę i oświadczenie mógł sam nagrać i podpisać.

- Jeden błąd - szepnęła. Jeśli popełni choć jeden błąd, a ona go na tym przyłapie, wówczas będzie wiedziała, że albo jest agentem FBI, albo synem człowieka zabitego w wybuchu, który bardzo pragnie pomścić śmierć ojca.

Zadzwoiła do wypożyczalni samochodów i zarezerwowała auto. Była wdzięczna, że przynajmniej Walker mieszka stosunkowo niedaleko. Niecałe dwie godziny później zajechała na stację benzynową na przedmieściu Bridgeport i kupiła plan miasta. Odszukawszy Lincoln Avenue, włączyła się ponownie do ruchu.

Bridgeport, jak stwierdziła jadąc główną ulicą, jest miastem, które szczęście opuściło. Przed wieloma budynkami stały tablice z napisem DO WYNAJĘCIA, wiele innych domów stało pustych, o oknach i drzwiach zabitych deskami. Miało się wrażenie, że miasteczko wyraźnie chyli się ku upadkowi.

Skręciwszy w lewo w Lincoln Avenue, zaczęła szukać domu Walkera; okazała się nim parterowa chałupa z zarośniętym chwastami ogrodem. Na ulicy przed domem gromada dzieciaków grała w hokeja.

Bojąc się, aby krążkiem lub kijami nie uszkodzili jej samochodu, zaparkowała przy końcu ulicy i zawróciła na piechotę, powtarzając sobie w myślach, że wszystko będzie dobrze. Jeżeli Tom Walker zdziwi się, słysząc nazwisko Paula Gardinera, to jej to w zupełności wystarczy. A jeżeli się nie zdziwi, jeżeli się okaże Tomem Walkerem z AWW, może czegoś się od niego dowie.

Naturalnie musi uważać, pilnować się. Jeżeli taśma i oświadczenie są autentyczne, to wiadomości, które zawierają, Walker przekazał Paulowi w zaufaniu. Na pewno nie spodobałoby mu się, gdyby wiedział, że ona zna ich treść. A skoro odmówił podania Paulowi tożsamości prawdziwego zamachowca, było mało prawdopodobne, aby jej to zdradził. Zatem,

uznała, że nie powinna nawet poruszać sprawy wybuchu, lecz trzymać się pytań, które przygotowała, i liczyć na łut szczęścia.

Dotarłszy pod właściwy numer, nacisnęła dzwonek u drzwi. Ponieważ nie była pewna, czy dzwonek działa, więc po chwili, kiedy nie usłyszała zbliżających się kroków, zastukała mocno w osiatkowane zewnętrzne drzwi. Z każdą sekundą czuła się coraz bardziej nieswojo. Może i potrafiła świetnie kłamać, ale - chyba że to było konieczne dla jej bezpieczeństwa - nie lubiła tego robić; zawsze ogarniały ją wtedy wyrzuty sumienia.

Próbowała dodać sobie otuchy: przecież Tom Walker jest jednym z dwóch ludzi, którzy oskarżyli jej ojca. A zatem w rozmowie z nim, ona, April, nie ma wyjścia - musi uciec się do kłamstwa i podstępu. Prawdą niczego nie osiągnie.

Przekonywała samą siebie, że zamierza postąpić słusznie, kiedy nagle usłyszała zgrzyt odsuwanej zasuwki. Wstrzymała oddech. Wewnętrzne drzwi uchyliły się, ukazując mężczyznę w piżamie i pasiastym szlafroku.

- Tak? - spytał przez siatkę.

- Pan Thomas Walker?

- Tak.

Powoli wypuściła z płuc powietrze. Głos brzmiał lekko ochryple, tak jak na taśmie, facet zaś wysuszony, przygarbiony, o ziemistej cerze, rzeczywiście wyglądał jak ktoś, kto umiera na raka.

- Panie Walker, nazywam się April Kelly i jestem asystentką Paula Gardinera.

W jego oczach pojawił się wyraz zaniepokojenia.

- Paul prosił, żebym od razu wyjaśniła panu jedną rzecz - dodała szybko. - Wiem, że nagrał z panem rozmowę, ale nie wiem, czego ta rozmowa dotyczy. Paul powiedział mi, że taśma nie ma związku z odcinkiem, który przygotowujemy.

Przez długą chwilę przyglądał się jej w milczeniu, po czym wolno skinął głową.

Odetchnęła z ulgą. Zobaczyła, że facet nie zamierza jej zatrzasnąć przed nosem drzwi. Ponadto zdołała ustalić, że przynajmniej część tego, co Paul mówił, pokrywa się z prawdą. Na razie była z siebie zadowolona.

- Mam nadzieję, że nie przyszedłam nie w porę. Widzi pan, kiedy zaczęliśmy montować materiały, okazało się, że jest jeszcze parę spraw, które powinniśmy poruszyć. Paul uznał, że nie będzie miał pan nic przeciwko rozmowie ze mną, więc jeżeli zbytnio panu teraz nie przeszkadzam...

- Nie, nie jestem zajęty.

Walker otworzył osiatkowane drzwi, po czym odwrócił się i ruszył korytarzem, powłócząc nogami jak dziewięćdziesięcioletni starzec, a nie mężczyzna w wieku pięćdziesięciu kilku lat.

April skierowała się za nim do salonu. Kanapa zavalona była gazetami. Na pierwszy rzut oka pokój sprawiał takie samo ponure i żałosne wrażenie, jak reszta domu, ogród i gospodarz.

Mężczyzna zgarnął na bok część bałaganu, wskazał April puste miejsce, sam zaś usiadł w fotelu stojącym naprzeciw telewizora. Wyłączył telewizor, a April wyjęła z torebki długopis i notes.

- Wie pani... - powiedział. - Kogoś mi pani przypomina, ale nie pamiętam kogo.

Zamarła. Nie sądziła, że jest aż tak bardzo podobna do matki.

- Gdybyśmy byli w barze, uznałabym, że próbuje mnie pan poderwać - rzekła, siląc się na uśmiech, a po chwili dodała: - A wracając do programu... Chcieliśmy powiedzieć coś o ludziach, których organizacje antywojenne przyciągały. Wyodrębniliśmy trzy podstawowe typy, ale zależy nam na pańskiej opinii. Pan tam wtedy był, widział wszystko na własne oczy...

- Słucham.

Ponownie obdarzyła go uśmiechem.

- A więc wydaje nam się, że niektórzy traktowali udział w demonstracjach i ruchu anty wojennym jako krok na przyszłej drodze politycznej. Do tej grupy zaliczilibyśmy takich ludzi jak Tom Hayden i Nelson Harmidarow, którzy zaczęli jako kontestatorzy, a teraz są we władzach politycznych kraju.

Walker nawet nie drgnął, słysząc nazwisko senatora.

- Pan pewnie znał senatora Harmidarowa, prawda? - spytała. - Obydwaj należeliście do AWW.

- Mnóstwo ludzi należało do AWW. Ale tak, znałem Nelsona. Niezbyt dobrze, ale znałem go.

Korciło ją, aby zadać to samo pytanie, które zadał jej ojciec, mianowicie, czy Walker i Gutteridge byliby skłonni okłamać FBI, żeby chronić Harmidarowa. Powstrzymała się jednak.

- Czy można zatem powiedzieć, że z jednej strony ruch antywojenny przyciągał ludzi odpowiedzialnych, trzeźwo myślących, jak Hayden i Harmidarrow, a z drugiej strony świrów i zapaleńców?

- Tak, chyba można tak powiedzieć - odparł Walker. - W każdej organizacji trafiają się narwańcy.

- Pamięta pan jakichś narwańców należących do AWV? - spytała, licząc na to, że może wymieni nazwisko Johna Bellavii.

- Nie bardzo. Minęło już tyle lat. Zresztą większość osób, z którymi się zadawałem, to byli studenci. Studenci, którzy podobnie jak ja uważali, że Ameryka nie powinna brać udziału w wojnie. To pewnie trzecia grupa, którą państwo wyodrębnili, prawda? Z jednej strony wariaci, z drugiej przyszli politycy, a pośrodku szerokie rzesze przeciętnych Amerykanów, którym najnormalniej w świecie nie podobała się wojna.

- Zgadza się.

Starając się ukryć rozczarowanie, dla zachowania pozorów zapisała coś w notesie. Walker nie miał nic do powiedzenia ani o senatorze, ani o Bellavii; jeżeli również nie zająknie się na temat Resdoe...

- Jest jeszcze coś, co chcielibyśmy poruszyć - rzekła, spoglądając na niego. - Dziś wiemy, że w największych organizacjach antywojennych FBI miało swoje wtyczki, ale czy w owym czasie ludzie zdawali sobie z tego sprawę? To znaczy, czy byliście ostrożni? Czy pilnowaliście się, co mówicie i do kogo?

- Ostrożni? Jasne! Można powiedzieć, że mieliśmy na tym punkcie paranoję. Oczywiście nie byliśmy pewni, czy AWV została zinfiltrowana przez FBI, czy też FBI polega na zwykłych donosicielach i kapusiach, ale

wiedzieliśmy, że cały czas musimy mieć się na baczności. Granica między tym, na co prawo zezwalało, a tym, czego zabraniało, była dość mętna. W każdej chwili można było popełnić błąd i trafić za kratki.

- Czy byli tacy, których konkretnie podejrzewaliście o to, że donoszą? Albo że są agentami?

Czekała niecierpliwie na jego odpowiedź. Walker przez chwilę dumał, po czym pokręcił głową. Ponownie starała się ukryć rozczarowanie.

- Nie, chyba nikt nikogo konkretnie nie podejrzewał - odparł. - Ale ogólnie było takie poczucie, że trzeba uważać na to, co się mówi.

April znów coś zapisała. Kiedy oderwała wzrok od kartki, Walker podnosił się z fotela, przyciskając rękę do ust.

- Przepraszam - wymamrotał niewyraźnie. - Muszę wziąć tabletkę.

Z mieszanymi uczuciami patrzyła, jak kuśtykając niezdarnie, drepcze w stronę korytarza. Całe życie pałała nienawiścią do dwóch bezimiennych mężczyzn, którzy oskarżyli jej ojca o podłożenie ładunku wybuchowego. Teraz jednak, widząc, w jakim stanie znajduje się jeden z nich... Cóż, nawet wroga szkoda, gdy od śmierci dzieli go już krok.

Rozejrzała się wolno po pokoju; nagle jej wzrok padł na stolik przy fotelu, w którym Walker przed chwilą siedział. Zauważyła telefon, a obok niego otwarty notes z numerami telefonów. Przez ułamek sekundy wahała się, ale gdzieś z głębi domu dobiegł ją szum lejącej się z kranu wody, uznała więc, że zdąży.

Podeszła szybko do stolika. Notes otwarty był na literze G; na stronie figurowały tylko trzy wpisy. Grant (mechanik samochodowy) i numer do

jego warsztatu, George's Pizza i numer pizzerii oraz Ken Gutteridge, a dalej adres i numer telefonu, który wcześniej sama zdobyła, do motelu Port's View w Port Credit.

Serce zamarło jej w piersi. Walker nie wygląda na faceta, który przed chwilą zostawił wóz w warsztacie lub zamówił pizzę. Ciekawe, czy w ostatnim czasie dzwonił do Gutteridge'a? A jeśli tak, to w jakim celu?

Po wyjściu od Walkera April postanowiła zadzwonić do motelu Port's View i poprosić do telefonu Kena Gutteridge'a. Musiała sprawdzić, czy faktycznie tam mieszka i czy przypadkiem nigdzie nie wyjechał. Po usłyszeniu jego głosu zamierzała się rozłączyć.

Pomysł, by lecieć do Kanady, aby się z nim zobaczyć, był dość szalony. Nie chciała wylądować na miejscu i dowiedzieć się, że Gutteridge akurat przebywa gdzieś daleko na urlopie albo że w niedzielę nigdy nie zagląda do motelu.

Telefon odebrała kobieta.

- Mogę panią przełączyć do jego mieszkania - rzekła, kiedy April spytała o właściciela motelu - ale to nic nie da, ponieważ widziałam, jak wychodził. Powinien jednak być z powrotem około czwartej, pracuje na wieczornej zmianie. Czy coś mu przekazać?

- Nie, dziękuję, zadzwonię później.

Wcisnęła przycisk kończący rozmowę, odłożyła komórkę i zaczęła szukać na mapie najbliższego lotniska. Z Nowego Jorku do Bridgeport było stosunkowo blisko, ale Paul mówił, że Port Credit to podmiejska dzielnica Toronto - trochę za daleko jak na wycieczkę samochodem.

Ruszyła spod domu Walkera, przekonując samą siebie, że nie zwariowała. Notes otwarty na stronie z nazwiskiem Gutteridge'a potraktowała jako zły omen. No trudno. Tylko dlatego, że nigdy dotąd nie robiła nic spontanicznie, pod wpływem impulsu, nie znaczy, że zawsze musi kierować się rozumem i chłodną kalkulacją.

Zanim dotarła na lotnisko, zaczęły ją dręczyć wątpliwości, jednakże znikły jak ręką odjął, kiedy usłyszała, że za chwilę odlatuje samolot z przesiadką do Toronto.

To z kolei potraktowała jako dobry omen. Trochę zmartwiła się, że dopiero jutro rano mogłaby wrócić do Bridge-port, by odebrać zostawiony na lotnisku samochód, ale w sumie uznała to za drobną niedogodność, którą nie warto się zbytnio przejmować.

- Życzę miłego lotu - powiedział przedstawiciel USAir, wręczając April bilet. - Z nami polecą pani do Baltimore, a dalej Unią Air Ontario do Toronto. Na miejscu będzie pani przed piątą po południu.

Skinęła głową, starając się nie myśleć o tym, ile ją ta przyjemność kosztuje.

- Proszę się pośpieszyć - dodał mężczyzna. - Zaczęła się już odprawa pasażerów.

April podziękowała mu i skierowała się do wyjścia. Po chwili siedziała już w samolocie. Wsłuchując się w warkot silników, miała nadzieję, że słusznie postąpiła. Intuicja mówiła jej, że tak i że zdobędzie od Gutteridge'a jakieś cenne informacje. Bardzo na to liczyła, bo od Walkera nie dowiedziała się nic.

Nie, to nieprawda, uświadomiła sobie, kiedy samolot zaczął kołować. Może Walker nie powiedział nic użytecznego o trzech facetach, których nazwiska ojciec podał Paulowi, ale przynajmniej teraz mogła mieć już pewność, iż Paul jej nie okłamał.

A raczej że nie wyssał sobie z palca Opowieści o tym, iż spotkał się z Walkerem i Gutteridge'em. To, że w tej kwestii jej nie oszukał, wcale jeszcze nie znaczy, że ona, April, może mieć do niego pełne zaufanie. Tym bardziej że wciąż nie wiedziała, czy faktycznie poleciał do Bogoty, czy może knuje coś na miejscu, w Stanach.

Łudziła się, że jest w Kolumbii, że gra z nią uczciwie. Gdyby rzeczywiście okazał się porządnym człowiekiem, którego interesuje, dotarcie do prawdy...

Niemal wbrew sobie pozwoliła, aby jej myśli powędrowały dalej w tym kierunku. Nie miała cienia wątpliwości, że jako kobieta podoba się Paulowi. Coś między nimi się rodziło, wyraźnie to czuła. W oczach Paula widziała pożądanie. Oczywiście, on też jej się ogromnie podobał, nawet nie próbowała tego przed sobą ukrywać.

Kiedy byli razem, miała trudności z oderwaniem od niego wzroku. Kiedy był z dala od niej... No cóż, jeszcze nigdy w życiu nie знаła mężczyzny, o którym nie potrafiła przestać myśleć. Jeśli więc okaże się czarnym charakterem, draniem...

Oby nie; gorąco się o to modliła. Po prostu by tego nie zniosła. Na samą myśl o tym, że mógłby być łajdakiem, robiło się jej niedobrze.

- Proszę państwa, zaczynamy schodzić do lądowania -oznajmił kapitan. - W Toronto jest ciepło, parno i duszno, niebo zamglone...

Zamglone? Skromnie powiedziane, pomyślała April. Nie bała się latania samolotami, ale kiedy wyjrzała przez okno i dookoła zobaczyła zwały gęstych, ołowianych chmur, natychmiast zaczęła się zastanawiać, kiedy ostatnio system radarowy był poddany kontroli.

- Temperatura wynosi trzydzieści osiem stopni w cieniu, wilgotność powietrza dziewięćdziesiąt procent...

- Trzydzieści osiem stopni? - zdziwiła się, przyzwyczajona do pomiarów temperatury w skali Fahrenheita.

- W Kanadzie używamy Celsjusza - oświadczyła siedząca obok mieszkanka Toronto, z którą April rozmawiała podczas lotu. - W skali Fahrenheita byłoby to około stu stopni. Znosi się na potężną burzę...

Istotnie, burza wisiała w powietrzu. April miała jedynie nadzieję, że zdąży się wcześniej spotkać z Gutteridge'em.

Kobieta wyjaśniła, że Port Credit leży niezbyt daleko od lotniska, więc po wylądowaniu April skierowała się do postoju taksówek zamiast do biura wynajmu samochodów. Okazało się, że dokonała słusznego wyboru. Jazda w Toronto w godzinach popołudniowego szczytu była takim samym koszmarem jak w Nowym Jorku.

Kiedy taksówka sunęła wolno autostradą na południe, potem drugą autostradą na zachód, a licznik cykał bezlitośnie, April pocieszała się, że przynajmniej ma teraz czas, aby się zastanowić, przemyśleć dokładnie, o co powinna spytać Gutteridge'a.

Oczywiście, zamierzała trzymać się wersji, że jest asystentką Paula Gardinera. Skoro Walker w to uwierzył, nie było powodu sądzić, że

Gutteridge nie uwierzy. Powie, że Paul prosił, aby uściśliła pewne informacje i że już odbyła rozmowę z Walkerem...

Tak, to dobry pomysł. Ponieważ Gutteridge wiedział o zmianie zeznań Walkera, będzie się głowił, co jego dawny przyjaciel jeszcze nagadał i czy nie wyjawiał jej więcej szczegółów. Może wtedy sam nieopatrznie coś zdradzi...

Taksówka skręciła w Lakeshore Boulevard i wkrótce dotarli na miejsce. Port's View był ładnym, nowoczesnym motelem z widokiem na klub jachtowy.

- Ma pani rezerwację? - spytał kierowca, wskazując na napis informujący, że wolnych pokoi brak.

Gdyby nie była tak zdenerwowana, pewnie wybuchnęła-by śmiechem. Owszem, nie ma gdzie spać, ale wolałaby spędzić noc w motelu ze słynnej „Psychozy” Hitchcocka niż w motelu Kena Gutteridge'a.

- A może chce pani, żebym poczekał?

- Nie, dziękuję. Dam sobie radę.

Zapłaciwszy za kurs, wysiadła z klimatyzowanego wnętrza i nagle znalazła się w dusznym, parnym świecie. Poprawiła sukienkę, wzięła głęboki oddech.

Przez szybę widziała stojącego za ladą mężczyznę w średnim wieku. Ponieważ było po piątej, uznała, że musi to być Gutteridge we własnej osobie.

Dobłą minutę przyglądała się człowiekowi, którego całe życie, odkąd tylko pamiętała, nienawidziła sercem i duszą za to, co zrobił jej ojcu. Był średniego wzrostu, lekko łysiejący, w okularach, z dużym brzuchem.

Myśląc o tym, że facet ma zbyt przeciętny wygląd jak na kogoś, kto zrujnował życie jej rodziców, pchnęła drzwi i weszła do środka.

Mężczyzna spojrział na nią i nagle zbladł, jakby zobaczył ducha.

- Boże! - szepnął. - To ty.

Patrzyła na niego bez słowa. Nie miała pojęcia, za kogo ją wziął, ale na jego twarzy malowało się tak wielkie przerażenie, że ją samą również ogarnął strach. Po chwili odzyskał równowagę i spytał:

- Czego chcesz?

Przez kilka ciągnących się w nieskończoność sekund nie potrafiła wydobyć z siebie głosu, wreszcie wydusiła:

- Jestem asystentką Paula Gardinera. Przyjechałam...

- Nie kłam. Jesteś Jillian Birmingham. Czego chcesz? Zaschło jej w gardle. Gutteridge nie zgaduje. Wie, kim ona jest, nie ma więc sensu zaprzeczać.

Ale jak na to wpadł? I na miłość boską, co ją skłoniło, żeby do niego przyjeżdżać?

Przypomniała sobie co: omeny. Nigdy więcej nie będzie się kierowała żadnymi omenami, to pewne!

- Gardiner cię przysłał? Co wy, do diabła, knujecie? Co chcecie zdziałać?

- Panie Gutteridge, przepraszam, ale... Ale skąd pan wie, kim jestem?

- Nieważne. Po coś przyjechała?

- Nie, proszę, niech mi pan najpierw powie... Albo inaczej. Może kolejno będziemy odpowiadać na swoje pytania?

- W porządku - odparł. - Panie mają pierwszeństwo. Więc po coś tu przyjechała?

- Chwileczkę. W latach dziewięćdziesiątych panuje równouprawnienie. Niech rzut monety zdecyduje o kolejności zadawania pytań.

Przez chwilę mierzył ją wzrokiem, po czym wyciągnął z kieszeni dwudziestopięciocentówkę i cisnął w jej stronę.

Podrzuciła monetę, złapała ją w locie i zakrywszy ręką, spytała:

- Orzeł czy reszka?

- Orzeł. Sprawdziła.

- Reszka. - Wyciągnęła rękę, aby przekonać się, że go nie okłamuje. -

Więc skąd pan wie, kim jestem?

- Joey! - zawołał przez ramię mężczyzna.

Z pokoju za kontuarem wyłonił się młody człowiek.

- Popilnuj interesu, dopóki nie wrócę - poprosił Gutteridge, po czym zwrócił się do April: - Chodźmy. Coś ci pokażę. Po co mam sobie strzepić język?

Wciąż roztrzęsiona, przejęta tym, że Gutteridge natychmiast ją rozpoznał, przeszła z nim na koniec budynku, gdzie kilka ostatnich pokoi przerobiono na duże mieszkanie.

- Siadaj - powiedział. - Mam taśmę, która cię pewnie zainteresuje.

Zachodząc w głowę, cóż takiego Gutteridge zamierza jej pokazać, usiadła zdenerwowana na brzeжку kanapy, podczas gdy on włączył telewizor i wsunął kasetę w otwór magnetowidu. Po chwili na ekranie ukazał się Paul.

Była tak zaskoczona, że w pierwszej chwili nawet nie zauważyła, że stoi na lotnisku, tam gdzie się umówili, przy wypożyczalni samochodów Budget. Kiedy zdała sobie z tego sprawę, w tym momencie sama pojawiła się na ekranie.

- Boże... - szepnęła, nerwowo miętosząc w palcach należący do babci medalion, który matka podarowała jej kilka dni temu. Tak, teraz już nie miała wątpliwości. Taśmę nakręcono podczas jej pierwszego spotkania z Paulem na lotnisku La Guardia.

- To bardzo ciekawe, nie sądzisz? - spytał Gutteridge. - Żałuję jedynie, że nie ma dźwięku.

Siedząc na kanapie, obserwowała siebie na ekranie, jak podchodzi do Paula. Jego usta poruszyły się bezgłośnie, ale wiedziała, co powiedział: „Jillian?” Wtedy ona skinęła głową. Wymienili parę zdań, po czym on uśmiechnął się do niej.

Tym razem na widok jego uśmiechu wcale nie poczuła żadnego miłego dreszczyku podniecenia. Poczowała dreszcz grozy. Dlaczego kazał nagrać ich spotkanie? W jakim celu? Czy dlatego, że był agentem FBI?

Wydawało się, że to jedyna logiczna odpowiedź. Z jakiegoś dziwnego powodu FBI zależało na tym, aby spotkanie zostało zarejestrowane na taśmie.

Połykając łzy upokorzenia, siedziała nieszczęśliwa, wściekła na Paula, że okazał się takim wrednym draniem, i na siebie, że jest taką łatwowierną idiotką. Ale nie miała czasu roztkliwiać się nad sobą ani złorzeczyć na Paula. Musiała coś wymyślić, postarać się naprawić szkody, bo nie miała najmniejszych wątpliwości, że przyjazd do Port Credit w Ontario to był duży błąd.

Jeżeli Gutteridge jeszcze nie skontaktował się z prawdziwym zamachowcem, teraz, po odwiedzinach córki Colina Birminghama, na pewno to uczyni - chyba, że ona poda mu jakiś niewinny, lecz wiarygodny powód swej obecności w jego motelu.

Skupiwszy wzrok na telewizorze, usiłowała wymyślić coś, w co Gutteridge byłby skłonny uwierzyć, a jednocześnie próbowała śledzić wydarzenia na ekranie. Akurat siedziała z Paulem w kawiarence na lotnisku, a on opowiadał jej o tym, jak odnalazł dwóch mężczyzn, którzy twierdzili, że Colin Birmingham jest Napalmowcem.

- Teraz patrz uważnie - rzekł Gutteridge. - Montażysta odwalił kawał dobrej roboty.

Spojrzała na niego, po czym znów utkwiała wzrok w ekranie. Paul uśmiechnął się i coś powiedział. Poczowała się tak, jakby ktoś wbił jej nóż w

serce. Nagle ekran pociemniał, a potem ostatni fragment pojawił się ponownie, tym razem w zwolnionym tempie.

- Po ruchach warg spróbuj odczytać, co twój przyjaciel mówi - polecił Gutteridge. - Mnie to chwilę zajęło, ale w końcu mi się udało: „Nazywają się Tom Walker i Ken Gutteridge”. - Wcisnął przycisk na pilocie, zatrzymując obraz. - O czym ci opowiadał, kiedy wymienił te nazwiska?

Myśląc nerwowo, co zrobić, doszła do wniosku, że pytanie jest retoryczne, że Gutteridge sam doskonale zna odpowiedź, a zatem nie ma sensu kłamać.

- O wybuchu w fabryce napalmu - odparła. - Powiedziałam mu, że nie znam nazwisk ludzi, którzy twierdzili, że to mój ojciec podłożył ładunek, a wtedy on podał mi wasze. Ale skąd ma pan tę taśmę? - spytała, usiłując zmienić temat.

- Dostałem pocztą kilka dni temu.

- Od kogo? Musiał być jakiś nadawca, adres zwrotny...

- Owszem, był. Jak się okazało, fałszywy. Ale teraz moja kolej, żeby zadawać pytania. Tym bardziej że wciąż nie znam odpowiedzi na pierwsze. Czego tu szukasz? Czego chcesz?

- Ja... - Urwała, nie mając żadnego pomysłu, co Gutteridge'owi powiedzieć. Nie mogła upierać się, że jest asystentką Paula, która przyjechała po dodatkowe informacje, bo to mijało się z celem.

- Jeżeli powiesz mi całą prawdę, pokażę ci list, który nadawca dołączył do taśmy.

O Chryste, jest jeszcze list?! Wiedziała, że jeżeli chce go przeczytać, musi szybko wymyślić jakąś wiarygodną bajeczkę. Niestety, żadne kłamstwo, które choć w minimalnym stopniu brzmiałoby wiarygodnie, nie przychodziło jej do głowy. Musiała trzymać się prawdy.

- No dobrze. Chciałam z panem porozmawiać, bo Paul powiedział mi, że Tom Walker zmienił zeznania. Podobno twierdzi, że to wcale nie mój ojciec podłożył bombę.

- I dlatego postanowiłaś się do mnie wybrać? Dlaczego akurat do mnie? Dlaczego nie do Toma Walkera?

- U niego też byłam - rzekła. - Dziś rano. Ale... Nie wiem, czy pan wie... on jest bardzo chory.

Gutteridge skinął głową.

- Wyglądał tak żałośnie, że nie miałam serca go o cokolwiek pytać. Wiedziałałam, że się zdenerwuje, bo wszystko, co mówił Paulowi, mówił w zaufaniu. W każdym razie postanowiłam przyjechać do pana...

- Gardiner nie mówił ci, że rozmawialiśmy po raz drugi? Powiedziałem mu, że Walker łąze jak najęty, i to jest święta prawda.

- Po prostu musiałam to sama od pana usłyszeć - oznajmiła. - Nie potrafię zrozumieć, dlaczego Walker wymyśliłby coś takiego.

- Cholera, ja też nie potrafię. Od paru dni się zastanawiam i wciąż nie mam zielonego pojęcia. Może nowotwór wyjada mu komórki mózgowe? Nic innego nie przychodzi mi do głowy. W ostatnim czasie nawet dzwonił tu do mnie parę razy, ale gadał bez ładu i składu. Nic nie mogłem zrozumieć.

A zatem, pomyślała April, to, że notes z telefonami Walkera otwarty był na stronie z literą G, o niczym jeszcze nie świadczy. Po prostu chory, umierający facet raz na jakiś czas dzwoni do starego przyjaciela, żeby uciąć sobie z nim pogawędkę. Starając się ukryć swoje prawdziwe uczucia, rzekła:

- W głębi duszy wiedziałam, że taka totalna zmiana zeznań nie ma najmniejszego sensu, ale łudziłam się, że może jednak...

- No tak - powiedział cicho. - Wcale ci się nie dziwię. Każdy wolałby, żeby jego ojciec był niewinny, ale niestety, to właśnie twój dokonał tamtego zamachu. Pomyśl tylko. Gdyby ktoś inny podłożył bombę, dlaczego Walker miałby zatajać przed Gardinerem jego nazwisko?

- Nie wiem.

Wiedziała jednak ponad wszelką wątpliwość, że to nie jej ojciec spowodował śmierć siedmiu ludzi. Całe życie była o tym głęboko przekonana. Jednak rzeczywiście nie potrafiła zrozumieć, dlaczego Walker odwołał w rozmowie z Paulem swoje wcześniejsze zeznania, a nie podał nazwiska prawdziwego winowajcy.

- Chciałbym cię o coś spytać - powiedział Gutteridge. - Skąd znasz Gardinera? Co was łączy?

Co nas łączy? - pomyślała April. I sama sobie odpowiedziała: Nic. Ale nie wiadomo, co by połączyło, gdyby dzięki taśmie, którą Gutteridge jej pokazał, przypadkiem nie odkryła o nim prawdy.

- Nic - odparła. - Dał ogłoszenie do prasy, że usiłuje się ze mną skontaktować. Ja je przeczytałam i zadzwoniłam do niego. Poprosił,

żebym się z nim spotkała. I jak widzi pan na taśmie, spotkaliśmy się na lotnisku.

- Czego chciał?

- Porozmawiać z moim ojcem. Przedstawić mu zmienioną wersję Walkera, sprawdzić jego reakcję. Sądził, że mu to umożliwię.

- I co?

- Nie wiem, gdzie się ukrywają rodzice.

Z miny Gutteridge'a wynikało, że nie bardzo w to wierzy. Wyjął taśmę z magnetowidu.

- Chyba nie wiedziałaś, że jesteście filmowani? - spytał.

- Oczywiście, że nie.

- Nie domyślasz się, kto to mógł zrobić? Pokręciła przecząco głową.

- Czy od tamtego dnia widziałaś się z Gardinerem?

- Nie - skłamała, nie chcąc ujawniać więcej niż konieczne. -

Powiedziałam, że nie mogę mu pomóc i się rozstaliśmy. Odniosłam wrażenie, że nie zamierza dalej się tą sprawą zajmować - dodała po chwili.

Podejrzewała, że w to również Gutteridge nie uwierzy, ale co jej szkodzi podzielić się z nim swoimi przypuszczeniami? Już chciała wstać i się pożegnać, kiedy nagle przypomniała sobie, że do taśmy dołączony był list.

- Wspomniał pan o liście...

- Tak. - Otworzył szufladę i wydobył kartkę papieru, na której widniał jeden wystukany na maszynie akapit.

Treść listu brzmiała następująco: „Mężczyzna na taśmie to Paul Gardiner, reporter zatrudniony przez NBS. Kobieta używa nazwiska April

Kelly i prowadzi na Manhattanie własną firmę „W drodze”, specjalizującą się w organizowaniu przeprowadzek. W rzeczywistości nazywa się Jillian Birmingham i jest córką Colina Birminghama. Tych dwoje, Gardner i Kelly, będzie starało się dobrać ci do skóry”.

Ręce jej drżały. Przez chwilę siedziała bez ruchu, wpatrując się w słowa, które miała przed sobą, i usiłując logicznie przeanalizować sytuację. Oprócz rodziców jedyną osobą, która знаła jej tożsamość, był Paul. Ale bez względu na to, kim on sam był i do czego zmierzał, ostatnią rzeczą, jakiej by chciał, to zrazić do siebie Gutteridge'a lub zrobić cokolwiek, aby Gutteridge poczuł się z jego powodu zagrożony.

Oczywiście, jeżeli faktycznie jest agentem FBI, to do dziś całe biuro wie, kim ona jest. Ale po jakie licha inny agent miałby przysyłać Gutteridge'owi zarejestrowane na taśmie spotkanie Paula z córką Birminghama?

Kiedy rozmyślała nad tym, próbując znaleźć jakiś rozsądny powód, nagle coś innego przyszło jej do głowy. Może ktoś, kogo nie zna, wpadł na jej trop, ktoś zupełnie nie związany z FBI?

Nie miała pojęcia, kto to mógł być ani jaki przyświecałby mu cel, ale gdyby tak było, oznaczałoby to, że zbyt pochopnie wyciągnęła wnioski. Może niesłusznie obwinia Paula? Może nie on kazał nagrać ich spotkanie? Może będzie taśmą równie zdziwiony jak ona?

Tysiące najróżniejszych myśli krążyły jej po głowie, lecz uchwyciła się tej jednej. Natychmiast też poczuła znajomy ucisk w sercu. Jeżeli Paul nie jest jednym z czarnych charakterów, to może... może wtedy...

Aż się bała dalej o tym myśleć i ponownie skupiła się na liście. Tym razem zauważyła coś, co za pierwszym razem umknęło jej uwagi.

- Mężczyzna na taśmie to Paul Gardiner - przeczytała na głos, zerkając na Gutteridge'a. - Ale pan o tym wie. Sam by go pan rozpoznał.

- Zgadza się. Ten ktoś, kto przysłał mi kasetę, nie orientuje się, że Gardiner złożył mi wizytę. Ale co z resztą listu? Z tym fragmentem, że zamierzacie dobrać mi się do skóry. To prawda?

- Nie, już panu mówiłam. Paul chciał porozmawiać z moim ojcem, a ja mu powiedziałam, że nie wiem, gdzie ojciec przebywa. To wszystko.

- Kto jeszcze wiedział o waszym spotkaniu?- spytał.

- Nikt. Przynajmniej ja nikomu nie mówiłam.

- W takim razie Gardiner musiał to zrobić. Bo jakkolwiek by na to popatrzeć, ktoś wiedział, że się zamierzacie spotkać i gdzie to spotkanie ma się odbyć.

- Ale... - Nagle urwała, przypominając sobie, że to Gutteridge jest wrogiem i że nie powinna dzielić się z nim swoimi podejrzeniami.

- Ale co?

- Nie, nic. Po prostu nie mogę się w tym połapać - rzekła. - Ta taśma sama w sobie nic nie znaczy. Chociaż słabo mi się robi na myśl, że ktoś mnie śledził i filmował z ukrycia. Z drugiej strony w liście napisane jest, że ja i Paul chcemy się panu dobrać do skóry... Komu zależy na tym, aby pan myślał, że stanowimy dla pana zagrożenie, skoro to nieprawda?

Gutteridge wbił w nią oczy. Miała wrażenie, że przenika ją spojrzeniem na wylot i widzi, że łączy na potęgę. Bo przecież w głębi duszy istotnie o niczym bardziej nie marzyła niż o tym, aby dobrać mu się do

skóry, udowodnić, że kłamie, udowodnić, że Colin Birmingham jest niewinny.

- Nie mam pojęcia - oznajmił w końcu. - Nie mam pojęcia, komu na tym zależy.

Zanim wynajęła pokój w motelu przy lotnisku, padała na nos ze zmęczenia. Burza, na którą zanosilo się od wielu godzin, rozszalała się na dobre. Najchętniej April wyciągnęłaby się w tej chwili na łóżku i podziwiała błyskawice przecinające ciemne niebo, ale ojciec prosił ją, by zdawała mu relacje ze wszystkich swych poczynań. Zresztą nawet gdyby jej nie prosił, to i tak by do niego zadzwoniła, bo wiedziała, że sama nie upora się z kotłowaną myślą.

Popatrzyła tęsknie na telefon stojący na stoliku obok łóżka, świadoma, że niestety, nie może go użyć. Dzwonienie do rodziców z aparatu w pokoju hotelowym byłoby niemal równie ryzykowne jak dzwonienie z telefonu komórkowego lub z własnego mieszkania.

Nie chciała - nie mogła - zostawiać jakiegokolwiek śladu, który łączyłby ją z nimi, dlatego nie zważając na zmęczenie, zwlokła się z łóżka i podreptała na dół do holu. Tam znalazła telefon na żetony.

- Cześć, tato - powiedziała, kiedy podniósł słuchawkę.

- Myszka? - Z jego tonu wynikało, że oczekiwał od April rewelacji.

Rewelacji nie miała, choć co nieco zdołała się dowiedzieć. Nie były to jednak rzeczy, jakich oboje się spodziewali. Szybciutko opowiedziała ojcu o wszystkim, poczynając od rzekomego wyjazdu Paula do Bogoty, a kończąc na swej wizycie u Gutteridge'a w Port Credit.

- No i tak. O ile na początku sądziłam, że ta kasetka stanowi najlepszy dowód na to, że Paul jest agentem federalnym, o tyle później nie byłam już taka pewna. No bo jeśli faktycznie jest agentem, to jaki miałby powód, żeby filmować nasze spotkanie na lotnisku? A pomyśl, żeby wysłał nagranie do Gutteridge'a, zwłaszcza razem z tym listem, wydaje się już całkiem poroniony. Jak myślisz, tato?

Przez moment na drugim końcu linii panowała cisza.

- Myślę, kochanie, że nie powinnaś była jechać w odwiedziny do Gutteridge'a - odparł wreszcie ojciec. - Przebywanie z nim na osobności, w zamkniętym pokoju hotelowym, mogło się źle skończyć.

- Ależ, tato, to nie był żaden pokój hotelowy! - sprzeciwiła się April. - Mówiłam ci, że Gutteridge jest właścicielem motelu Port's View. To było jego własne mieszkanie. Poza tym różni ludzie widzieli nas razem. Nie mógłby mnie zakatrupić.

- Nigdy nie wiadomo, do czego kto jest zdolny.

- No dobrze, może masz rację. Nie powinnam była sama tu przyjeżdżać - oświadczyła, żeby zakończyć temat. - Ale powiedz mi, co myślisz o Paulu i tej kasecie? Miał z nią coś wspólnego?

- Nie wiem. Może. Bo ktokolwiek was nakręcił, wiedział, gdzie i o której się z nim umówiłaś. A skoro ty nikomu nie wspominałaś o tym spotkaniu, to znaczy, że on musiał.

- Niekoniecznie. Ktoś mógł sprawdzić, kto dał do prasy ogłoszenie, a potem śledzić Paula dwadzieścia cztery godziny na dobę. On do baru, oni też, on na lotnisko, oni z kamerą za nim...

- Pewnie mogło tak być - przyznał Colin Birmingham.

- Ale na wszelki wypadek lepiej być ostrożnym, przynajmniej dopóki się nie przekonamy, po czyjej Gardiner jest stronie. A co sądzi Gutteridge? Nie domyśla się, kto go chciał przed wami ostrzec?

- Jeśli się domyśla, mnie tego nie powiedział - odparła April. - Tato, co mam teraz robić? Nic? Po prostu czekać, aż Paul wróci z Bogoty?

- Zakładając, że tam oczywiście poleciał...

- Zakładając, że poleciał - powtórzyła smętnie.

- Moim zdaniem - rzekł po chwili namysłu ojciec - powinnaś się wycofać.

- Co? Mam nie towarzyszyć Paulowi, kiedy będzie rozmawiał z Harmidarowem i Resdoe? Przecież wtedy będziemy znali tylko jego wersję!

- Nie, Myszko. Uważam, że i ty, i ja powinniśmy zapomnieć o tej całej sprawie. Powiedz Gardinerowi, że się wszyscy wycofujemy. Że matka i ja uznaliśmy, że możemy dalej funkcjonować tak jak do tej pory. Że nie musimy nic w swoim życiu zmieniać. Aż tak bardzo nie zależy mi na udowodnieniu swojej niewinności.

- Tato, co ty mówisz! - oburzyła się April. - Dobrze wiem, że ci zależy.

- Ale mniej niż na twoim bezpieczeństwie. Słuchaj, nie wiem, po co ktoś miałby filmować twoje spotkanie z Gardinerem ani ostrzegać Gutteridge'a, że chcecie mu się dobrać do skóry. Wiem natomiast, że to mi się nie podoba. I myślę, że najrozsądniej będzie się wycofać.

- Ale...

- Posłuchaj, Myszko. To, że Gardiner wysyłał Gutteridge'owi taśmę, nie ma najmniejszego sensu. Podobnie jak to, że wysyłał ją jakiś inny agent. Zatem musiał to zrobić ktoś inny.

- Tak myślisz?

- Tak myślę.

- No dobrze. Ale w takim razie kto? - spytała, choć przeczuwała, jaka będzie odpowiedź.

- Ten, kto spowodował wybuch. Napalmowiec - odrzekł cicho ojciec.

Te słowa długo nie pozwalały jej zasnąć. Burza już dawno ustała, a ona wciąż miotła się na łóżku. Kiedy wreszcie się zdrzemnęła, słowa ojca nawiedzały ją we śnie. Obudziła się rano z takim uczuciem, jakby całą noc nie zmrużyła oka.

Miała nadzieję, że poczuje się lepiej, kiedy wpuści do pokoju odrobinę słońca, więc rozsunęła grube zasłony, ale za oknem ujrzała gęstą mgłę. Opary mlecznej, nieprzeniknionej mgły. Takiej, podczas której zamyka się lotniska i odwołuje wszystkie loty.

Włączyła telewizor i zmieniała kanały, aż na którymś znalazła prognozę pogody. No i faktycznie, żadne samoloty nie lądowały w Toronto, żadne też stąd nie wylatywały.

W ponurym nastroju przeszła do łazienki, żeby wziąć prysznic. Najbliższy samolot przez Baltimore do Bridgeport, gdzie zostawiła samochód, odlatuje dopiero o piątej po południu, a to znaczy, że do Nowego Jorku dotrze dopiero pod wieczór. Tyle zmarnowanego czasu!

Wszystkich dobrych reporterów cechuje doskonale rozwinięty szósty zmysł i Paul, coraz bardziej zaniepokojony, czuł, że jego próbuje mu właśnie coś powiedzieć.

Zmierzchało. Podniósł do góry głowę. W oknach na drugim piętrze, tam, gdzie mieszka April, wciąż jest ciemno.

Niby nie powinno go to dziwić. Nie mogła się dostać do budynku niepostrzeżenie, tak by on tego nie zauważył. Mimo to nie umiał się powstrzymać i co kilka minut sprawdzał, czy przypadkiem nie zapaliło się światło.

Zmuszając się do spuszczenia wzroku, przeszedł wzdłuż budynku, po raz tysięczny zastanawiając się, gdzie się April podziewa i dlaczego od swego wyjazdu z Nowego Jorku ani razu nie udało mu się z nią skontaktować.

Zadzwoił do niej wczoraj, od razu po przylocie do Bogoty, żeby upewnić się, czy na pewno go posłucha i nie wybierze się sama na rozmowę do Resdoe i Harmidarrowsa. Ale włączyła się automatyczna sekretarka, a w komórce - poczta głosowa. Zostawił wiadomość, że prosi o telefon; nie oddzwoniła. Kiedy w drodze powrotnej zatelefonował z samolotu i znów trafił na sekretarkę, zaczął się denerwować. Prawdę mówiąc, tak bardzo się zdenerwował, że przyjechał do niej prosto z lotniska.

Ponownie spojrzał na okna. Wyrzucał sobie, że był nie dość stanowczy. Powinien był uzmysłwić jej, że istnieje poważne niebezpieczeństwo i że jeśli wykona jakiś nierozważny krok...

Tłumacząc sobie, że niczego nie osiągnie, stercząc pod jej domem i zamartwiając się na śmierć, chwycił torbę, zawiesił na ramieniu miękką teczkę z laptopem i ruszył w kierunku Amsterdam Avenue.

Nie miał oczywiście pojęcia, gdzie się ukrywają Birminghamowie, podejrzewał jednak, że mieszkają niezbyt daleko od jedynej córki. Może po rozmowie telefonicznej, jaką odbył z jej ojcem, April uznała, że też chce z nim porozmawiać. Osobiście. W cztery oczy.

Jeżeli tak, to nie ma powodu do niepokoju. Liczył też na to, że jeśli wymyśli jakąś sprytną historyjkę, to może w agencji wynajmu samochodów zdoła się dowiedzieć, czy w ciągu ostatnich dwóch dni April brała od nich wóz.

Dotarłszy na róg, skręcił w Amsterdam i nagle, po przejściu paru kroków, odetchnął z ulgą, bo po drugiej stronie ulicy dojrzał April, która właśnie wychodziła z agencji.

Przyśpieszył kroku, zastanawiając się, czy zerknie w jego kierunku i go dostrzeże. Miała na sobie białą sukienkę o lekko rozkloszowanej spódnicy, która wirowała jej wokół kolan, oraz sandałki na wysokich obcasach, które jeszcze bardziej podkreślały długość jej szczupłych, kształtnych nóg. Po prostu patrząc na nie, można było...

Wtem zamarł w pół kroku; powietrzem wstrząsnął potworny huk.

Kiedy go zidentyfikował - był to odgłos strzałów z broni ręcznej - ludzie po drugiej stronie ulicy rzucili się na ziemię. April również. Z przerażenia włosy stanęły mu na głowie. Po chwili, czując niesamowity przypływ adrenaliny, rzucił się pędem przez jezdnię.

Samochody hamowały z piskiem opon. Kierowcy trąbili. Ktoś krzyknął, żeby zadzwonić po pogotowie.

Z walącym sercem dobiegł do April, która powoli zaczynała się podnosić. Żyje!

- Nic ci nie jest? - spytał, rzucił na ziemię torby i uklęknął przy niej.

W sztucznym świetle latarni twarz miała trupio bladą, oczy szeroko otwarte, wystraszone. Pokręciła głową.

- Nie. Uderzyłam się, upadając na chodnik, ale nic mi nie jest.

Wziął ją w ramiona i przez chwilę siedział tak, tuląc ją do siebie. Nie umarła; czuł jej ciepło, jej oddech. Ale wcześniej przez kilka sekund sądził, że April nie żyje. I były to najgorsze sekundy jego życia.

Wypuścił wolno powietrze, starając się uspokoić swe skołatane serce i wyregulować oddech. Zmysłowy zapach, jaki bił od niej, odurzał go, sprawiał, że nie miał ochoty jej puścić ani pozwolić jej wstać.

- Co tu robisz? - spytała szeptem.

Jej oddech połaskotał go w szyję, a wówczas po jego ciele przebiegł dreszcz.

- Szukałem cię.

- I znalazłeś.

Serce znów mu łomotało, już nie ze zdenerwowania, lecz ze szczęścia. Wiedział, że nie może się w niej zakochać. Nie w tej kobiecie, której ojciec być może zamordował jego ojca. A jednak od kilku dni myślał o niej nieustannie, teraz zaś, gdy trzymał ją w ramionach...

Zdawał sobie sprawę, że powinien pomóc jej wstać, ale ponieważ ona sama nie próbowała się podnieść ani nie wyrywała się, dalej siedział

na chodniku i trzymał ją w ramionach. Jak przez mgłę widział innych ludzi, słyszał wycie karetek i wozów policyjnych, trzaskanie zamykanych drzwi, wznoszące się i opadające głosy.

Po chwili kucnął obok nich policjant.

- Nic państwu nie jest? Paul odparł, że nie.

- A inni?- spytała April.- Nikomu nic się nie stało?

- Z tego, co się orientuję, to chyba nie.

- Złapaliście drania, który strzelał? - Paul wstał, po czym pomógł April się podnieść.

- Jeszcze nie. Czy któreś z państwa widziało samochód?

- Strzelał z samochodu?

- Tak. Więc nic państwo nie widzieli?

- Nie. Usłyszałam huk i rzuciłam się na chodnik - powiedziała April.

Policjant wyjął z kieszeni notes.

- No dobrze. Zapiszę sobie państwa nazwiska i adresy. I jeszcze chciałbym zadać parę pytań.

- A ktoś widział samochód? - zapytał Paul.

- Nie wiem, może tak. Ale na pewno żadna z osób, z którymi ja rozmawiałem.

Paul wiedział, że nawet jeśli ktoś widział auto, niewiele to w sumie da. Przypuszczalnie samochód został skradziony i albo już jest porzucony, albo wkrótce będzie.

Zastanawiał się jedynie, czy to była przypadkowa strzelanina, czy też strzelano do konkretnej osoby. Rozum mu mówił, że przypadkowa. Takie rzeczy zdarzają się czasem w Nowym Jorku.

Szósty zmysł mówił mu jednak co innego; że może kula była przeznaczona dla kogoś - na przykład dla April.

RS

- Dziękuję bardzo. Na razie to wszystko - rzekł policjant, zamykając notes.

- Przykro mi, że nie byłam bardziej pomocna - powiedziała April. - Dobranoc.

Wraz z Paulem ruszyła Amsterdam Avenue w kierunku swojego domu.

- Przestałaś już się trząść? - spytał Paul.

April skinęła głową, zdumiona, że istotnie już nie dygocze. Potwornie się wystraszyła, kiedy usłyszała strzały, ale wszystko trwało tak krótko, że bardziej przypominało zły sen niż jawę.

- Wiesz, to śmieszne. Kiedy mi powiedziałeś, że lecisz do Bogoty, pomyślałam sobie, że tam jest strasznie niebezpiecznie. No i proszę, ty wróciłeś cały i zdrowy, a mnie o mało nie trafiła kula, w dodatku kilka kroków od domu.

- O mało, ale na szczęście nie trafiła - powiedział.

Na widok jego uśmiechu znów poczuła, jak po jej ciele rozchodzi się żar. Paul wyłonił się z mroku, kiedy go potrzebowała. Po prostu cudownie się zmaterializował niczym jej prywatny anioł stróż. I chociaż była śmiertelnie przerażona, to kiedy wziął ją w ramiona i przytulił...

Nie chciała o tym myśleć, bała się o tym myśleć, nie umiała się jednak powstrzymać. Kiedy wziął ją w ramiona i przytulił, poczuła się bezpieczna... i kochana.

Toczyła z sobą zaciętą walkę, próbowała stłumić emocje. Wystarczy, że facet podoba jej się fizycznie, ale nie musi się przecież angażować uczuciowo! Jeżeli się odsłoni, opuści gardę, a on okaże się wrogiem, wówczas sytuacja się bardzo skomplikuje.

Spojrzała na torbę i teczkę, które niósł zawieszony na ramieniu; sprawiał wrażenie, jakby istotnie wyjeżdżał i dopiero przed chwilą wrócił z podróży. Ale jeżeli był wrogiem, to właśnie takie starałby się stwarzać pozory.

- Gdzie się podziewałaś przez ostatnie dwa dni? - spytał, kiedy skręcili w Zachodnią Siedemdziesiątą Piątą. - Dzwoniłem wczoraj i nagrałem się na sekretarce. Dziś też do ciebie wydzwaniałem.

Gdzie się podziewała? Nagle poczuła bolesny ucisk w sercu. Przygoda na Amsterdam Avenue i to, że się niemal otarła o śmierć, sprawiły, że zupełnie zapomniała o swojej wizycie w Port Credit. Teraz sobie przypominała. Wiedziała też, że prędzej czy później będzie musiała wyjawić Paulowi... może niekoniecznie całą prawdę, może lekko okrojoną wersję prawdy. Swoją drogą bardzo ją ciekawiło, jak zareaguje na wieść o taśmie i dołączonym do niej liście.

Na razie jednak postanowiła odłożyć to na później. Bała się, że kiedy Paul usłyszy, iż wybrała się najpierw do Bridgeport, a potem do Kanady, będzie miał ochotę ją udusić.

- Dzwoniłeś w jakiejś konkretnej sprawie - spytała - czy tak sobie?

- Co? Aha... Chciałem ci powiedzieć, że umówiłem nas na dwa spotkania - oznajmił zadowolony z siebie.

- Z kim?

- Kiedy byłem pewny, że do Nowego Jorku wrócę dziś przed wieczorem, najpierw zadzwoniłem do Resdoe, a potem rozmawiałem z asystentem Harmidarrowa. Jutro widzimy się z dwoma z naszych trzech głównych podejrzanych.

- Serio? Nie sądziłam, że senator tak szybko znajdzie dla nas czas.

- Nie doceniasz roli mediów. Każdy lubi pokazywać się w telewizji, a już zwłaszcza polityk.

- To wspaniale - powiedziała, po czym chcąc uniknąć pytań o to, gdzie spędziła ostatnie dwa dni, sama zapytała: - Jak twoja podróż? Wszystko poszło zgodnie z planem?

- Tak. Mamy świetne ujęcie na zakończenie naszego odcinka. Tombos, czyli gliniarze, przechwycili samolot z wielkim transportem kokainy. Jeden z szefów karteli narkotykowych był na miejscu. Wpadł w ręce policji, oczywiście po szalonym pościgu samochodowym i strzelaninie.

- Boże, więc jednak było niebezpiecznie - szepnęła, zdumiona tym, jak bardzo obchodzi ją los Paula.

- Bardziej narażony był kamerzysta niż ja. Cały czas sterczał za oknem wozu, z kamerą przy oku. Ja tylko prowadziłem.

- A prowadzisz wolno i spokojnie, prawda? Wiem coś na ten temat...

Wybuchnął śmiechem; miał głęboki i serdeczny śmiech, w dodatku tak piekielnie zaraźliwy, że April, niemal wbrew sobie, też się uśmiechnęła.

- Jechałaś ze mną tylko raz. A ja próbowałem zgubić ogon.

Uśmiech znikł jej z twarzy. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że jeśli ktoś za nimi wtedy jechał, to Paulowi -wbrew temu, co sądzili - nie udało się go zgubić. Człowiek, który napisał dołączony do kasety list, wiedział, że ona posługuje się nazwiskiem April Kelly. Aby się o tym przekonać, zapewne śledził ich do samego końca, dopóki nie weszła do domu.

- Wstąpisz na kawę? - spytała pod domem. Po chwili dodała: -
Opowiem ci, co porabiałam...

Weszli na drugie piętro. Paul postawił swoje rzeczy w przedpokoju, tuż za drzwiami, i rozejrzał się wkoło. Ona również, usiłując zobaczyć własne mieszkanie jego oczami.

Dawno temu, kiedy budynek zajmowała rodzina właścicieli, na drugim piętrze mieściły się cztery pokoje oraz łazienka z ubikacją. April połączyła dwa pokoje w salon z jadalnią, w trzecim miała sypialnię, czwarty służył jej za gabinet do pracy.

- Przestronnie tu.

- Tak. Ale kuchnia jest malutka. Pewnie kiedyś była szafą na miotły.

- Przynajmniej reszta mieszkania jest duża. I chyba wygodna, prawda? Chociaż współczuję facetom, którzy wnosili meble - powiedział, wskazując na ogromną kanapę i stojący za nią wielki, na oko antyczny, stół.

- Oj, tak. Biedacy potwornie się namęczyli. No cóż, lubię wielkie, solidne meble. Dzięki nim mieszkanie sprawia wrażenie bardziej zamieszkanego, ma się poczucie pewnej stałości, większej stabilizacji...

- Hm, te ciągle przeprowadzki musiały być męczące - zauważył.

- Przyzwyczaiłam się. Właściwie tylko raz było mi ciężko wyjeżdżać.

- Dlaczego akurat ten jeden raz?

Zawahała się; tak rzadko wyjawiała komuś coś o sobie, że dziwnie się z tym czuła.

- Miałam wtedy jakieś dziewięć lat - rzekła wreszcie.

- Mieszkaliśmy w starym domu na wsi. Nie pamiętam, co się stało, ale musieliśmy się wynieść bardzo szybko. W środku nocy. Miałam wielkiego kota ze wspaniałym, puszystym ogonem. Marmoladę...

- Miał rudawą sierść? Uśmiechnęła się.

- Tak. Jako dziecko nie przejawiałam jakiejś szczególnej inwencji. W każdym razie to było wspaniałe kocisko. Miał cudowne zielone oczy i był niesamowitą przylepą. Wszędzie za mną chodził, zawsze spał w nogach mojego łóżka. Ale tamtej nocy wyszedł z domu i nie było czasu, żeby go szukać. Musiałam Marmoladę zostawić. Później przez kilka tygodni płakałam, zasypiając.

Paulowi zrobiło się żal April. On sam po śmierci ojca przez rok nie mógł dojść do siebie, ale ona właściwie całe dzieciństwo miała zmarnowane.

- Dziwne, że wciąż myślę o tamtym kocie, prawda? - spytała cicho.

- Może powinnaś przygarnąć następnego?

- Może. Zastanawiałam się nad tym, ale... Sama nie wiem.

Skinął głową. Podejrzewał, że przeżycia z dzieciństwa sprawiły, że dorosła April boi się do kogokolwiek, nawet do kota, za bardzo przywiązywać z obawy, że będzie musiała się z nim rozstać.

- No dobrze. - Popatrzyła na swoje ręce. - Lepiej zmyję ten brud, zanim zacznę parzyć nam kawę.

Dotychczas jakoś nie zwrócił uwagi na to, że dłonie ma mocno poobcierane. Spojrzał na jej kolana; na nich również skóra była zdarta.

- Nie wystarczy zmyć brud, trzeba odkazić jodyną albo wodą utlenioną.

- Sprawdzę, ale chyba nic takiego nie mam.

Ruszyła w stronę łazienki, a on poszedł za nią. Po drodze zajrzał do sypialni - i natychmiast tego pożałował. Na widok łóżka naszyły go myśli i marzenia, jakich nie powinien mieć.

Łazienka znajdowała się na końcu korytarza. Wyglądało na to, że w całym mieszkaniu to jedno pomieszczenie przetrwało remont w nie zmienionym stanie. Podłogę pokrywały drobne czarno-białe kafelki, które dawno temu cieszyły się ogromną popularnością, a wanna... Wanna była staromodna, głęboka, na czterech dziwnie wygiętych nóżkach.

- Wychodząc z domu zostawiasz otwarte okno? - spytał Paul, widząc, jak zasłonka drży lekko od wiatru.

- Czasem.

- Czy to rozsądnie?

- Na drugie piętro nikt się nie będzie wdrapywał - odparła. -

Śmiesznie, że o tym akurat wspominasz, bo którejś nocy usłyszałam jakiś szmer i porządnie się wystraszyłam. - Zaczęła szperać w zawieszony na ścianie szafce. - Ale bez długiej, strażackiej drabiny nikt tu nie wejdzie, a mało kto chodzi po mieście z drabiną pod pachą.

- To prawda.

- Aha, miałam rację. Skończyła mi się jodyna. - April zaniknęła szafkę. - W zeszłym tygodniu, krojąc pomidora, chciałam sobie odkroić kawałek palca. Pewnie wtedy zużyłam jodynę do końca.

- Mam chyba coś w torbie. Zawsze wożę z sobą małą apteczkę.

- Słusznie - powiedziała, rzucając mu rozbawione spojrzenie. - Nigdy nie wiadomo, kiedy odrobinka wody utlenionej przyda się podczas pościgów i strzelaniny.

Uśmiechając się łobuzersko, poszedł do przedpokoju i po chwili wrócił do łazienki. April siedziała na brzegu wanny, ostrożnie przemywając kolana mokrą myjką.

Kucnąwszy obok, starał się nie myśleć o jej pięknych nogach. Było to jednak niemożliwe, gdyż miał je na wysokości oczu. Gdy otworzył buteleczkę, April patrzyła gdzieś w bok, starannie unikając jego wzroku. Łazienka, która zawsze dotąd wydawała jej się duża i w miarę przestronna, nagle jakby się skurczyła. Byli tak blisko siebie, że wyraźnie czuła jego zapach - aromatyczny, leśny zapach, który z każdą chwilą coraz bardziej ją odurzał.

- Daj, ja to zrobię - powiedział, biorąc od niej myjkę. Spojrzała mu w twarz, a gdy raz to uczyniła, to później, mimo swych najlepszych chęci, nie była już w stanie oderwać od niego oczu.

Delikatnie przemył oba kolana, po czym polał zadrapania odrobiną wody utlenionej. Leciutko zapiekło, lecz April wiedziała, że to nie dlatego w gardle nagle jej zaschło, a po ciele rozeszła się fala ciepła. Nie, zawiniła bliskość Paula, sposób, w jaki pochylał się nad jej kolanem, w jaki jego ciemne włosy opadały mu na czoło...

- No dobrze, a teraz ręce - rzekł, podnosząc spojrzenie.

Miała nieprzepartą ochotę, aby przysunąć twarz i pocałować go w usta. Ale nie mogła. To by jeszcze bardziej skomplikowało sytuację, która i tak już była dostatecznie skomplikowana.

- Z rękami sama sobie poradzę - powiedziała cicho. - Ale dziękuję. Prawie nie bolało.

- Jak sobie życzysz. - Wzruszywszy ramionami, wstał, wręczył jej buteleczkę i wyszedł z łazienki.

Siedziała wpatrując się w drzwi, za którymi zniknął. Nie wiedziała, czy szczerowość uprości sprawy pomiędzy nimi, czy je skomplikuje.

- Z kofeiną czy bez? - spytała, zerkając na Paula, który stał oparty o framugę.

- Lepiej bez - odparł. Niewiele spał w ciągu ostatnich dwóch nocy, więc ostatnia rzecz, jakiej potrzebował, to kawa z kofeiną.

Rozglądając się po małej kuchence, pomyślał sobie, że pewnie April wcale nie żartowała, mówiąc, że dawniej znajdowało się tu pomieszczenie na miotły. Kuchnia była tak ciasna, że nawet nie mieścił się w niej stolik, przy którym jedna osoba mogłaby zjeść śniadanie. Trudno mu zaś było wyobrazić sobie April zasiadającą samotnie do posiłku przy ogromnym stole w jadalni.

- Nie wolisz usiąść w salonie? - spytała, spoglądając na niego przez ramię. - Za chwilę przyjdę.

- Och, dość się nasiedziałem w samolocie - odparł. Zresztą nie miał ochoty tracić jej z oczu. Po opatrzeniu zadrapań przebrała się w dzinsy i bluzkę. Westchnął; nie wiedział, na co patrzeć: na kształtne biodra czy na

apetyczny karczek. Włosy miała krótko przycięte i wystająca spod nich szyja nęciła go...

Prawdę mówiąc, wszystko w April go nęciło. Była niesłychanie pociągająca. Dlatego tam w łazience, kiedy omywał jej rany, niewiele brakowało, by zapomniał o tym, że powinien trzymać się od niej na dystans.

Całe szczęście, pomyślał, że nie stracił nad sobą panowania. Za każdym razem, gdy się spotykali, coś się między nimi coraz silniej iskrzyło, ale trudno, nie zamierzał nic w tej sprawie robić. Przynajmniej dopóki nie będzie miał stuprocentowej pewności, że to nie jej ojciec podłożył bombę.

Czekając, aż dzbanek napelni się kawą, April obejrzała się przez ramię i zauważyła, że Paul na nią patrzy. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, powietrze natychmiast zgęstniało.

- Czarna, tak? - spytała po chwili, z trudem dobywając głos. - Na lotnisku piłeś chyba czarną...

- Tak.

Odwróciwszy się, wzięła dzbanek za uchwyt. Paul przeszedł do salonu i usiadł na kanapie. Podała mu kawę i również usiadła, nie obok niego, ale naprzeciwko, w jednym z dwóch dużych foteli.

- Chciałeś wiedzieć - rzekła, upiwszy łyk - gdzie spędziłam ostatnie dwa dni.

- No właśnie. - Prawdę mówiąc, całkiem zapomniał, że ją o to pytał. Oj, stary, zganił się w myślach, weź się w garść! Inaczej przez tę kobietę zupełnie stracisz głowę!

- Pojechałam do Bridgeport odwiedzić Toma Walkera. Starał się pohamować swoją reakcję, ale zdumiałby się w równym stopniu, gdyby oznajmiła, że była na kole podbiegunowym w odwiedzinach u świętego Mikołaja.

- Tak? - spytał, z trudem siląc się na neutralny ton. - A po co?

Tak długo wpatrywała się bez słowa w swoje sandałki, że już miał zamiar powtórzyć pytanie, lecz gdy otwierał usta, podniosła wzrok. W jej oczach malowało się zaniepokojenie.

- Powiem ci prawdę, Paul. Aż do tej chwili nie byłam pewna, czy się na nią zdobędę, i nadal nie jestem pewna, czy postępuję słusznie, ale...

-Ale co?

Pokręciła wolno głową.

- Sama nie wiem. Tyle razy musiałam w życiu kłamać, że może wreszcie mi się znudziło, a może chodzi o coś całkiem innego. W każdym razie nie chcę cię okłamywać. I dlatego nie powiem ci, że pojechałam do Walkera w nadziei, że usłyszę nazwisko prawdziwego winowajcy. Pojechałam do niego, ponieważ chciałam się przekonać, czy facet rzeczywiście istnieje, czy autentycznie zmienił swoje pierwotne zeznanie, czy to, co mi o nim mówiłeś, jest prawdą.

- Rozumiem - oznajmił najspokojniej, jak umiał. - A co myślałaś? Że wynająłem kogoś, żeby nagrał ze mną taśmę? Że sam podpisałem jego oświadczenie?

Starał się nad sobą panować, nie okazywać złości, ale sądząc po minie April, nie najlepiej mu to wychodziło.

- Nie chciałam cię urazić - rzekła cicho. - Proszę cię, nie bierz sobie tego do serca...

- Tak powiadasz? - Ugryzł się w język i zaczął liczyć w myślach do dziesięciu. Przecież od początku wiedział, że będzie się bała komukolwiek zaufać. I że ma absolutną rację, trzymając wszystkich na dystans. Lecz mimo to pragnął, by jego traktowała inaczej, by mu wierzyła. Bolał go jej brak zaufania, to, że sprawdza jego prawdomówność.

- Paul, posłuchaj mnie. Moi rodzice zeszli do podziemia, kiedy miałam dwa lata. Od tamtej pory uczyli mnie wystrzegać się obcych, patrzeć na wszystkich podejrzliwie, nikomu nie ufać. Kiedy nagle ty się pojawiłeś, po prostu zniknąd, i poprosiłeś mnie o pomoc... Przecież nic o tobie nie wiedziałam! Równie dobrze mogłeś być z FBI.

- Z FBI - powtórzył za nią. Zdawał sobie sprawę, że na początku taki pomysł rzeczywiście mógł jej przyjść do głowy, ale sądził, że w ciągu tych kilku dni, jakie minęły od pierwszego spotkania, zdołał ją przekonać, że jest tym, za kogo się podaje.

- Skąd mogłam wiedzieć, że mnie nie oszukujesz? - spytała. - Skąd mogłam wiedzieć, że naprawdę lecisz do Bogoty? Że sam na własną rękę nie poszedłeś się spotkać z Resdoe i Harmidarowem?

- Co? Chyba oszalałaś! Psiakość, April, ani razu cię nie okłamałem! Słowo honoru, ani razu!

- Może i nie - szepnęła. - Ale czy mogę mieć pewność? Chcę ci wierzyć, Paul, naprawdę. Próbuję ci jedynie wytłumaczyć, że nawet gdybym rozmawiała z papieżem, to też bym mu do końca nie wierzyła.

Cały czas muszę mieć się na baczności. Wyobrażasz sobie, jak bym się czuła, gdybym ci zaufała, a potem by się okazało, że popełniłam błąd...

Odetchnął głęboko; w głębi duszy wiedział, że nie powinien się dziwić April ani czuć się dotknięty. Biedaczka znajdowała się między młotem a kowadłem...

- Rozumiesz, o co mi chodzi? Czy widzisz, w jakiej jestem niezręcznej sytuacji?

- Tak-odparł.

- To dobrze. - Nagle jej mina stała się jeszcze bardziej zakłopotana. - Cieszę się, bo w takim razie może również zrozumiesz to, co zrobiłam po wizycie u Toma Walkera.

Im dalej brnęła w las, tym było gorzej.

Paul postanowił, że nie będzie jej przerywał, zadawał pytań, bo zdąży je zadać później; teraz po prostu będzie słuchał, próbował „wchłonąć” fakty. Ale chyba musiałby być gąbką, żeby wszystko wchłonąć. Pod koniec, kiedy April opowiadała o rozmowie telefonicznej z ojcem, właściwie przestał słuchać i usiłował wymyślić, co - u licha - najlepiej teraz zrobić.

Sytuacja była dostatecznie niebezpieczna, zanim April wybrała się z wizytą do Port Credit, a teraz... Po nadejściu przesyłki Ken Gutteridge przypuszczalnie wpadł w furję, a potem jeszcze April stanęła w progu. Jej przyjazd zapewne podziałał na niego jak przysłowiowa płachta na byka. Gutteridge zakasał rękawy i... Tak, stąd strzelanina na Amsterdam Avenue. Prawdopodobnie chodziło o wyeliminowanie z gry jednej osoby - April.

Ale jak on to załatwił? Skąd wiedział, że w Bridgeport zostawiła wynajęty samochód? Skąd wiedział, z której agencji go wypożyczyła?

Widocznie ktoś, z kim Gutteridge był w stałym kontakcie, śledził April. Kiedy opuściła motel Port's View, Gutteridge zadzwonił do swego przyjaciela i wspólnymi siłami zaplanowali morderstwo - temu, kto miał strzelać, kazali czekać na April przed agencją wynajmu, a kiedy przyjedzie, żeby oddać samochód.

Nagle zdał sobie sprawę, że w pokoju zaległa cisza.

- Przepraszam. Co powiedziałaś? Zamyśliłem się...

- Nic ważnego. Że zanim samolot wylądował w Bridgeport i zanim dojechałam do Nowego Jorku, zrobiło się późno. - Siedząc w fotelu, podkurczyła pod siebie nogi. - Paul, nawet nie wiesz, jak bardzo jest mi przykro. Wiem, że strasznie narozrabiałam. Ale kiedy zobaczyłam notes Walkera otwarty na stronie z nazwiskiem Gutteridge... po prostu uznałam, że jeśli odwiedzę go z nienacka, to czegoś się dowiem.

- No i dowiedziałaś się. Gdyby nie ty, nic byśmy nie wiedzieli o taśmie.

Zawahał się. Nie chciał jej mówić o swych podejrzeniach dotyczących strzelaniny, jednakże nie miał wyjścia. Słuchała go z coraz większym przerażeniem.

- No tak, jest w tym pewna logika - szepnęła, kiedy skończył. - Ale z drugiej strony nie możemy mieć pewności, że temu z pukawką chodziło akurat o mnie.

- To prawda.

- Ale jeżeli tak... jeżeli Gutteridge ma współnika... Wiesz, Paul, trochę to nie ma sensu. Jeżeli współnik Gutteridge'a nas śledził, to nie przysyłałby mu taśmy. A już na pewno nie dołączałby listu.

Przyjrzał się jej uważnie. Nie pomyślał o tym, ale oczywiście miała rację. Kilka osób musiało być zaangażowanych w tę sprawę. I przynajmniej jedna z nich nie była po stronie Gutteridge'a.

- Mam wrażenie, jakbyśmy się uwikłali w jakiś spisek - rzekła cicho April.

Głos lekko jej się załamał. Gdyby siedziała przy nim, a nie naprzeciwko, wziąłby ją w ramiona, starał się pocieszyć. Ponieważ jednak oddzielał ich stół, na którym stały filiżanki z kawą, Paul jedynie pokręcił głową.

- Spróbujmy się zastanowić, kto mu wysłał kasetę. I kto nas sfilmował.

- Ktoś, kto wie, że Ken Gutteridge był jednym z tych, którzy podali FBI nazwisko mojego ojca. Ktoś, kto wie, że Gutteridge się zdenerwuje, kiedy się dowie, że próbujemy dotrzeć do prawdy. Ktoś, kto zna aktualny adres Gutteridge'a.

- Wiele takich osób nie ma.

- Nie, nie ma. Niestety, my żadnej z nich nie znamy. -Była wyraźnie zmartwiona.

- To prawda. Ale skupmy się, może uda nam się coś wykombinować. Kiedy zadzwoniłaś do swojego ojca po wyjściu od Gutteridge'a, co powiedział? Może to nam da jakąś wskazówkę. Milczała.

- April? - spytał po chwili. - Co powiedział? Wzruszyła ramionami.

- Że powinnam zrezygnować. Że aż tak bardzo nie zależy mu na udowodnieniu swojej niewinności. Ale to nieprawda. Ja wiem, że mu zależy. Po prostu boi się o moje bezpieczeństwo.

Nie tylko on, dodał w myślach Paul.

- Zanim jeszcze dokończyłam mu opowiadać o wizycie u Gutteridge'a, był pewien, że Gutteridge skontaktował się z prawdziwym zamachowcem, że porozumiał się z nim od razu po tym, kiedy usłyszał od ciebie, że Walker przyznał się do składania fałszywych zeznań. I że to ten zamachowiec sfilmował nasze spotkanie na lotnisku.

- Ale nie osobiście.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ wśród naszych głównych podejrzanych jest senator, agent specjalny FBI i pomylenie z Kalifornii. Żaden z nich nie wybrałby się na La Guardię z kamerą, żeby nas nakręcić.

- Skąd wiesz, że John Bellavia mieszka w Kalifornii?

- Sprawdziłem, kiedy czekałem, aż gliny w Kolumbii przystąpią do akcji. Dostęp do informacji jest równie łatwy z Bogoty, jak i ze Stanów Zjednoczonych.

- I czego się dowiedziałeś?

- Na razie niewiele. Ale poprosiłem znajomego dziennikarza, który pracuje w filii NBS w Los Angeles, żeby spróbował trochę powęszyć. Sprawdziłem też to, co twój ojciec mówił o Resdoe, że jako agent infiltrował ruch AWV. Według mojego informatora, z dokumentów FBI wynika, że Resdoe wstąpił do biura dopiero w 1973 roku. Czyli podziemie było źle poinformowane.

- Źle poinformowane? A może to właśnie twój informator został źle poinformowany? Pewnie mnóstwo dokumentów zawiera błędy, dziury, przeinaczenia. W końcu nie bez kozery mówi się na federalnych fabulatorzy, kanciarze, bajeranci, krętacze...

Paul pokiwał głową. Faktycznie, trudno mieć dokładne rozeznanie w sytuacji, kiedy człowiek nie jest w stanie odróżnić prawdy od fikcji.

- Masz rację - przyznał po chwili. - Lepiej nie wyciągać zbyt pochopnych wniosków co do Wayne'a Resdow. A wracając do teorii twojego ojca... Dobrze, założmy, że to Napalmowiec filmował nas na lotnisku. I potem co? Po co miałyby wysłać taśmę z listem do Gutteridge'a?

- No właśnie. Ani tata, ani ja nic sensownego nie wymyśliliśmy. Bo nie ulega wątpliwości, że facet boi się, że Gutteridge może poprzeć oświadczenie Walkera. Ale na co liczył? Że ostrzegając go przed nami, sprawi, aby ten trzymał język za zębami?

- Raczej taka przesyłka powinna odnieść odwrotny skutek. Ja na miejscu Gutteridge'a zacząłbym się zastanawiać, czy nie postąpić identycznie jak Walker i samemu nie przyznać się do fałszywych zeznań.

Na moment w oczach April zabłysła nadzieja, szybko jednak zgasła.

- Mała szansa, że tak zrobi... - powiedziała cicho. - Gdyby wyznał teraz prawdę, wylądowałby w więzieniu, no nie? Za to, że świadomie wskazał federalnym niewłaściwego człowieka.

- Niekoniecznie. Mogliby mu zaproponować niekaralność w zamian za ujawnienie nazwiska prawdziwego Napalmowca.

- Myślisz, że FBI poszłoby na to?

- Nie wiem - odparł.

Miał ochotę dodać: bo nie jestem agentem. Ale tego nie zrobił. Wiedział, że zaprzeczanie i bicie się w pierś nic nie da. April musi dojść do tego wniosku sama, bez jego pomocy.

Zresztą jeszcze nie znał jej decyzji. Może postanowiła zastosować się do rady ojca i wycofać ze sprawy? Jeżeli tak, więcej nie będą mieli z sobą do czynienia, a zatem wszystko jedno, czy uważa go za agenta, czy nie.

- Do jakiego doszłaś wniosku? To znaczy po rozmowie z ojcem? - spytał. - Rezygnujesz?

- Powiedziałam tacie, że przemyślę to sobie.

Ich spojrzenia się spotkały i chociaż nie odezwała się więcej słowem, wiedział, że April pragnie jego rady. Ale on sam nie był pewien, co o tym wszystkim myśleć.

Na początku zgodził się na jej udział i towarzystwo tylko dlatego, że taki postawili mu warunek; nie miał wyboru. Teraz zaś April była tak przejęta i zdenerwowana, że gdyby oznajmił, iż odtąd sam powinien zajmować się sprawą wybuchu w fabryce napalmu, przypuszczalnie odetchnęłaby z ulgą i jedynie mu przyklasnęła.

Ale istniał pewien problem. W obecnej sytuacji wolałby mieć April na oku. Jeśli cokolwiek złego jej się przydarzy... Bądź co bądź on ją w to wciągnął i czuł się za nią odpowiedzialny.

Skierował na nią wzrok. Siedziała w fotelu, z podkulonymi pod siebie nogami, i wyglądała tak pociągająco, że serce znów zaczęło mu łomotać. Chociaż sam przed sobą nie chciał się do tego przyznać, był jeszcze inny powód, dlaczego nie chciał spuszczać April z oczu.

- A ty? - spytała. - Zamierzasz się wycofać? Bo tobie również grozi niebezpieczeństwo.

- Hm... Wiesz, co ja myślę? Że powinniśmy jednak porozmawiać z policją na temat tej strzelaniny. Może coś nam wyjaśnią?

- Naprawdę? - Widać było, że źle reaguje na samo słowo „policja”. - Przecież nawet nie mamy pewności, czy faktycznie chodziło im o mnie.

- A jeżeli tak? Słuchaj, nie chcę cię straszyć, ale jeżeli raz próbowali cię zabić, nic nie stoi na przeszkodzie, żeby znów spróbowali.

Zbladła.

- No dobrze. Ale co, twoim zdaniem, osiągniemy? Co nam da taka rozmowa?

- Jeżeli gliniarze albo federalni złożą Gutteridge'owi wizytę, może on i jego wspólnicy porządnie się zastanowią, zanim podejmą dalsze kroki.

Przez kilka sekund siedziała w milczeniu, jakby rozważała jego słowa, wreszcie podniosła wzrok.

- Mówisz poważnie, prawda? Chcesz, żebym powiedziała policji albo FBI, że jestem córką Colina Birminghama, że wiem, gdzie mój ojciec się ukrywa, że...

- Nie. Nie to, gdzie się ukrywa. Wcale nie. Po prostu...

- Paul, za nic w świecie nic im nie powiem. Pomijając fakt, że nie chcę wsypać rodziców, nie chcę również sama być oskarżona o... bo ja wiem? O przeszkadzanie organom ścigania czy coś w tym stylu.

- Ale jeżeli...

- Nie. Wykluczone. Żadnej policji, żadnego FBI. Dałeś mi słowo. Obiecałeś, że jeżeli skontaktuję cię z moim ojcem, nikomu o tym nie

wspomniesz. Że dopóki się sprawa nie wyjaśni, zachowasz wszystko w tajemnicy.

- Psiakrew! Ale to było, zanim ktoś usiłował cię zabić!

- Może usiłował, może nie. Nie wiemy tego na pewno. Może ten gliniarz miał rację. Może to była zwykła strzelanina, jakich wiele w tym mieście.

- Nie mówiłby tak, gdyby wiedział, kim jesteś - mruknął pod nosem - i gdzie spędziłaś ostatnie dwa dni. - Podniósł się z kanapy i podszedł do okna.

Kiedy stał tam, spoglądając w ciemne niebo, April powiedziała cicho:

- Uważasz, że oboje powinniśmy dać sobie z tym spokój, prawda?

- Dobrze wiesz, co uważam - rzekł, odwracając się w jej stronę. - Że powinniśmy porozmawiać z policją.

- Nie mogę.

Skoro rozmowa z policją odpada, Paul usiłował się zastanowić, jakie jest drugie najlepsze wyjście. Jeżeli facet winny podłożenia bomby i zabicia siedmiu osób boi się, że może zostać zdemaskowany, znaczy to, iż taka możliwość musi istnieć. A jeżeli im, April i Paulowi, groziło niebezpieczeństwo bez względu na to, czy zawieszą poszukiwania, czy nie...

- O czym myślisz? - spytała.

Wpatrując się w nią, dumiał nad tym, które rozwiązanie spowoduje mniejsze zagrożenie.

- Że może być już za późno, aby się wycofać. Że nawet gdybyśmy zrezygnowali z dalszych poszukiwań, Gutteridge i Napalmowiec mogą nie uwierzyć, żeśmy się naprawdę wycofali.

- I znów by próbowali się nas pozbyć?

- Istnieje taka możliwość.

- Wiedzą, gdzie nas szukać...

- No oczywiście. Więc i tak źle, i tak niedobrze. Znaleźliśmy się w sytuacji bez wyjścia. A to znaczy, że musimy dalej działać i mieć nadzieję, że dotrzemy do prawdy, zanim dranie nas wykończą. Co o tym sądzisz?

Minę miała niepewną, ale szybko wzięła się w garść.

- Jeżeli uważasz, że powinniśmy dalej działać - odrzekła - to powinniśmy dalej działać. Czyli wybrać się jutro na umówione spotkania z Resdoe i Harmidarowem.

Odprawdzając Paula do drzwi, nagle uzmysłowiła sobie, że gdy rozważali różne możliwości działania i zastanawiali się, co dalej robić, Całkiem zapomniała o tym, że rozmawia z kimś, kto może jest agentem. Zmartwiła się, bo to oznaczało, że podświadomie zaczyna mu ufać. A co jak co, ale na to, by ufać obcemu człowiekowi, nie mogła sobie pozwolić.

- Na pewno nie chcesz, żebym zadzwoniła po taksówkę? - spytała.

Potrząsnął głową i podniósł z podłogi torby.

- Szybciej złapię jakąś na ulicy - powiedział.

- Ale bezpieczniej będzie, jeżeli...

- Ustaliliśmy, że będziemy ostrożni, a nie opętani manią prześladowczą.

- Fakt - przyznała.

- Wiesz co? Wyświadczyć mi przysługę.

- Jaką?

- Pozamykaj okna.

- Zdaje się, że mówiłeś coś o manii prześladowczej? Uśmiechnął się.

- Nie dyskutuj ze mną. Po prostu pozamykaj je, dobrze?

- Dobrze.

Otworzyła drzwi, z całej siły hamując odruch, aby zaproponować mu jeszcze jedną filiżankę kawy. Nie chciała zostawać sama, ale jeszcze bardziej nie chciała, żeby Paul miał ją za tchórza.

- A więc do zobaczenia jutro rano - powiedział, przystając w progu. -
Nie czekaj na mnie na ulicy. Nacisnę domofon, kiedy przyjadę.

Zaniepokoiły ją jego słowa, domyśliła się bowiem, że troska, jaką Paul wykazuje wobec niej, nie wynika wyłącznie z dobrych manier.

- Słuchaj, naprawdę możemy się spotkać pod biurem Wayne'a Resdoe. Zupełnie ci nie po drodze przyjeżdżać tu po mnie.

Machnął lekceważąco ręką.

- Co tam! Będziemy mieli więcej czasu, żeby omówić strategię.

- No dobrze, może masz rację.

Pomyślała sobie, że wejście z Paulem do budynku FBI to całkiem niezły pomysł. Przynajmniej zobaczy, jak ludzie na niego reagują, czy ktoś go rozpoznaje. Oczywiście, wiedziała, że ma tam jednego czy dwóch informatorów, ale jeśli wszyscy wkoło zaczną mówić „Cześć, Paul”...

Po chwili namysłu doszła do wniosku, że to też nie musi nic znaczyć. Przecież sam jej się przyznał, że często zasięga w FBI informacji na jakiś temat, który akurat przygotowuje dla „Dzisiejszego świata”.

- Dobranoc - powiedział.

Ciepło bijące z jego piwnych oczu sprawiło, że serce zabiło jej silniej.

- Dobranoc - odparła.

Po paru krokach przystanął i odwrócił się.

- Zamknij porządnie drzwi.

- Spokojna głowa.

Ruszył w dół. Odprowadzała go wzrokiem, dopóki nie znikł na podeście schodów. Potem zamknęła drzwi na zamek, zasunęła zasuwę, i

poszła pozamykać okna. Zbyt podminowana, by zasnąć, nałała sobie jeszcze jedną filiżankę kawy bezkofeinowej i skierowała się do gabinetu, żeby sprawdzić, kto dzwonił podczas jej dwudniowej nieobecności.

Odsłuchiwała sekretarkę: były na niej nagrane wiadomości od Paula, od znajomej, od paru klientów. Obiecawszy sobie, że jutro rano do nich oddzwoni, wróciła do salonu i włączyła telewizor. Pomyślała sobie, że może słuchając o tym, co się dzieje na świecie, zdoła choć na chwilę zapomnieć o własnych problemach.

I nagle usłyszała:

- Dziś wieczorem na nowojorskiej Upper West Side wydarzył się bardzo dziwny incydent.

Usiadła prosto i wbiła wzrok w ekran. Dziennikarz stał na Amsterdam Avenue, niedaleko miejsca strzelaniny.

- We wczesnych godzinach wieczornych z przejeżdżającego samochodu otwarto ogień do przechodniów. Nikt nie został ranny. Przybyli na miejsce wypadku policjanci wkrótce odkryli dlaczego. Przestępca używał ślepych naboí. Z rogu Amsterdam i Zachodniej Siedemdziesiątej Szóstej mówił do państwa Benjamin Wright.

Na ekranie pojawił się spiker w studio.

- Z innych wiadomości...

April przestała słuchać. Jeżeli strzelano ślepymi nabojami, to znaczy, że nikt nie próbował jej zabić. Czyżby oboje, i ona, i Paul, wysunęli błędne wnioski? Może jednak strzelanina nie miała z nimi nic wspólnego? Może jakiś nastolatek dla zabawy postanowił sobie postrzelać i napędzić ludziom strachu? Może...

Na odgłos dzwonka podskoczyła, ale nie poszła sprawdzić, kto nacisnął przycisk domofonu. Nikt znajomy nie odwiedzałby jej bez uprzedzenia o tak późnej porze. Chyba że Paul wrócił?

Na myśl o Paulu zdecydowała się jednak upewnić, kto jest na dole. Podniosła słuchawkę domofonu.

- Poczta kurierska „Clancy's Couriers” - usłyszała. - Mam przesyłkę dla pani April Kelly z mieszkania numer trzy.

- Przesyłka? O tej porze? - zdziwiła się.

- Ma specjalną ekspresową naklejkę, proszę pani. Takie przesyłki dostarczamy natychmiast po ich otrzymaniu. Dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Dobrze. Proszę ją zostawić na dole - powiedziała. - Zaraz zejdę i ją wezmę. - Nie zamierzała wpuszczać nocą do budynku obcego człowieka.

- Bardzo mi przykro, proszę pani - rzekł mężczyzna. - Musi mi pani podpisać.

- A od kogo jest ta przesyłka? Jest jakiś nadawca? Po chwili ciszy mężczyzna odparł:

- Tak. Firma „Wideo na zamówienie”.

April zrobiło się słabo. Najpierw Gutteridge dostał kasetę, a teraz ona? Musi sprawdzić, co nagranie zawiera.

- No dobrze, niech pan wejdzie - powiedziała, otwierając domofonem drzwi na klatkę schodową. Ze stolika w przedpokoju chwyciła torebkę i szybko wyciągnęła z niej pojemnik z gazem łzawiącym. Potem, z walącym sercem, lekko uchyliła drzwi i czekała, wsłuchując się w odgłos dudniących po schodach kroków.

Młody człowiek, który ukazał się w polu widzenia, ubrany był jak kurierzy, którzy poruszają się po mieście na rowerach. W ręku trzymał przesyłkę w miękkiej brązowej kopercie, mniej więcej wielkości kasety magnetowidowej.

- Ma pan legitymację? - spytała April przez szparę w drzwiach.

Popatrzył na nią zbolalym wzrokiem, po czym wydobył coś z kieszeni.

April obejrzała legitymację, po czym uchyliła drzwi na szerokość łańcucha, tak by mógł podać przesyłkę oraz przypięty do tekturowej podkładki kwit do podpisu. Przesyłkę położyła obok na stoliku, kwit podpisała i zwróciła.

- Dziękuję. I dobranoc - powiedział mężczyzna, ruszając w stronę schodów.

- Dobranoc. - Zamknęła drzwi, ponownie je zaryglowała i przez chwilę stała bez ruchu, wpatrując się w przesyłkę. W dolnym prawym rogu ktoś napisał drukowanymi literami: **PILNE. OTWORZYĆ NATYCHMIAST PO OTRZYMANIU.**

Zdenerwowana, rozerwała kopertę. Czowała, jak po krzyżu przechodzą jej ciarki.

- Spokojnie - szepnęła do siebie. - Przecież to tylko taśma.

Obróciła kasetę i przeczytała napis na naklejce. **PILNE. OBEJRZEĆ NATYCHMIAST PO OTWARCIU.**

Żałując, że przesyłka nie nadeszła dziesięć minut wcześniej, kiedy jeszcze był tu Paul, przeszła do salonu, wsunęła kasetę w otwór magnetowidu i nastawiła telewizor na właściwy kanał. Następnie usiadła

w fotelu, podniosła ze stolika pilota i wciągając głęboko powietrze, wcisnęła odpowiedni przycisk.

- O Boże - szepnęła, kiedy na ekranie pojawiła się twarz Paula.

Jednakże w tym nagraniu Paul nie był na lotnisku. Był na ulicy i właśnie wsiadał do swojego cherokee. Akurat kiedy odjeżdżał od krawężnika, obraz zamarł, ukazując zbliżenie tablicy rejestracyjnej. Chwilę później samochód znikł z ekranu.

Zastanawiała się, co autor nagrania chciał jej przez to powiedzieć, kiedy obraz na ekranie się zmienił. Jej oczom ukazał się mężczyzna w kominiarce zasłaniającej twarz. April poczuła dreszcz przerażenia.

Na moment zatrzymała taśmę; wsłuchiwała się w ciszę mieszkania, tłumacząc sobie, że jest tu bezpieczna, że nikt się przecież nie będzie włamywał na drugie piętro. A jednocześnie wiedziała, że jeśli nagle usłyszy niespodziewany odgłos, to chyba umrze ze strachu. Wcisnęła przycisk, zmuszając się, by obejrzeć taśmę do końca.

Mężczyzna w kominiarce ruszył przed siebie. Znajdował się na terenie jakiegoś podziemnego parkingu. Patrzyła, jak zbliża się do czarnego jeepa cherokee... W tym momencie ponownie pokazano zbliżenie tablicy rejestracyjnej wozu.

- O Boże! - szepnęła. Był to samochód Paula.

Kamera skierowała się na mężczyznę w kominiarce, który rozejrzał się, jakby sprawdzał, czy nikt nie nadchodzi, po czym ostrożnie postawił na ziemi torbę i zaczął gmerać w zamku od strony kierowcy. Chociaż miał rękawiczki, uporał się z drzwiami w ciągu paru sekund. Pochyliwszy się, pociągnął sprężynę otwierającą maskę.

Przeszedł na przód samochodu i podniósł pokrywę silnika. Następnie bardzo ostrożnie wyjął coś z torby. Obróciwszy się w stronę kamery, dał kciukiem znak, że wszystko idzie po jego myśli. Po chwili znikł z ekranu, a na jego miejscu pojawiło się jedno słowo napisane wielkimi, drukowanymi literami.

BUM!

April wpatrywała się w nie z walącym sercem; ręce tak bardzo jej drżały, że niemal upuściła pilota.

Zamachowiec ponownie przystąpił do ataku. Zabił ojca Paula, a teraz zamierza zgładzić jego samego.

- Nie! - krzyknęła.

Nie może na to pozwolić. Musi coś zrobić, jakoś go ostrzec!

Rzuciła się pędem do przedpokoju, otworzyła torebkę i zaczęła w niej szukać wizytówki Paula. Cała trzęsła się ze zdenerwowania, kiedy z wizytówką w ręce wróciła biegiem do salonu i wykreciła numer jego telefonu komórkowego. Miała nadzieję, że nie wyłączył aparatu.

Pierwszy dzwonek. Kiedy nie odebrał po drugim i trzecim, łązy bezsilności napłynęły jej do oczu. Bała się, że za moment otrzyma połączenie z pocztą głosową. Wreszcie jednak, po czwartym lub piątym dzwonku Paul sam odebrał.

Ze zdenerwowania nie była w stanie wydobyć głosu.

- Paul Gardiner, słucham? - powiedział po raz drugi.

- Paul...-wydusiła.

- April? - spytał zaniepokojony, ale to przecież jemu groziło niebezpieczeństwo.

- Paul - powtórzyła. - Gdzie jesteś?

- W taksówce. W drodze do NBS.

Nogi miała jak z waty. Ugięły się pod nią i opadła na kanapę. Żyje!

Przynajmniej na razie jest bezpieczny.

- Muszę odebrać samochód.

- Co takiego? - spytała ochryple.

- Na czas mojej nieobecności zostawiłem go w podziemnym parkingu NBS. Właśnie jadę go odebrać.

Wsuwając telefon komórkowy do kieszeni, Paul pochylił się w stronę kierowcy.

- Zmiana planów - powiedział. - Proszę zawrócić na Zachodnią Siedemdziesiątą Piątą. Im szybciej pan dojedzie, tym większy dostanie pan napiwek.

- Robi się.

Siedział jak na szpilkach; spoglądał przez okno, nie zwracając uwagi na to, jak kierowca z piskiem opon przecina pasy ruchu, aby na najbliższych światłach wykonać skręt o sto osiemdziesiąt stopni.

Jesteś mi potrzebny, tak powiedziała. Błagam cię, przyjedź natychmiast. I pod żadnym pozorem nie zbliżaj się do swojego samochodu.

Sprawiała wrażenie wystraszonej, wręcz spanikowanej, ale kiedy spytał, czy coś się stało i czy dobrze się czuje, odpowiedziała, że czuje się świetnie i że nic się nie stało.

Oczywiście kłamała. Podejrzewał też, że coś jest nie w porządku z jego dżipem.

Jedyne, co mu przyszło do głowy, to że ktoś do niej zadzwonił w sprawie dżipa. Ale dlaczego do niej, jeśli chodzi o jego samochód?

Prawie nikt nie wie, że się znają. Jedyne rodzice April, Walker oraz Gutteridge, no i ten, kto ich śledził. A ponieważ ten ktoś zapewne wykonuje polecenia Napalmowca...

Przeklął siarczyście pod nosem. Niestety, dali się wciągnąć w zabawę w kotka i myszkę, lecz na swoje nieszczęście byli myszką, nie kotkiem.

- Jaki numer? - spytał kierowca, skręcając w Zachodnią Siedemdziesiątą Piątą.

Paul podał mu numer, po czym zaczął uważnie rozglądać się wkoło. Nie dostrzegł nic niezwykłego, ale to o niczym nie świadczyło. Mrok nocy oferuje pełno różnych kryjówek, w których można się zaciąć.

Wysiadłszy z taksówki, zapłacił za kurs i dorzucił spory napiwek, po czym wyjął z bagażnika torby i skierował się w stronę budynku April. Był tak zaaferowany obserwowaniem ulicy, że nie spojrzał do góry i nie sprawdził, czy April stoi w oknie. Musiała jednak widzieć, jak nadjechał, bo zanim doszedł do drzwi, nacisnęła przycisk domofonu.

Wszedł na klatkę i ruszył po schodach, biorąc po dwa stopnie naraz. Kiedy dotarł na drugie piętro, April stała w drzwiach swego mieszkania z taką miną, jakby miała zamiar wybuchnąć płaczem.

- Co się stało? - spytał, kiedy cofnęła się do środka, żeby mógł wejść.
- Bałam się, że zginiesz.

- Jej słowa przejęły go lodowatym dreszczem, z kolei widok zatroskania na jej twarzy sprawił, że jego ciało zaczęło promieniować żarem. Jeżeli tak bardzo zasmuciła ją myśl, że mogłoby go spotkać nieszczęście...

Zatrzasnąwszy nogą drzwi, postawił torby na podłodze, wziął April w ramiona i przytulił do siebie. Jej ciepło i bliskość podniecały go, zmysłowy zapach jej perfum upajał.

- Och, Paul - szepnęła. - Gdyby nie udało mi się ciebie złapać, zabiliby cię.

- Opowiedz, co się stało - poprosił, gładząc ją delikatnie po włosach. Uniosła twarz. Jej oczy lśniły od łez.

Z całej siły starał się przypomnieć sobie, dlaczego nie powinien się z nią wiązać, ale nie zdołał, więc pochylił głowę i przywarł ustami do jej ust.

Były równie kuszące, co piękne - pełne, kształtne, żarliwe, o smaku kawy i pożądania. Przesuwając dłonie wzdłuż jej pleców, przysunął ją jeszcze bliżej do siebie. Pragnął czuć każdy centymetr jej ciała, każdą jej krągłość, każde wgłębienie. Przywierając do niego coraz mocniej, coraz silniej, szeptała gorączkowo:

- Paul, Paul, och, Paul.

Jej oddech był gorący, pragnienie głębokie, palące. W tym momencie odkrył, jak wygląda raj.

- Paul - szepnęła trochę innym tonem. - Musimy przestać. Chcę ci coś pokazać.

Kiedy zaczęła wysuwać mu się z objęć, pragnął zaprotestować, powiedzieć, że wszystko, na co chce patrzeć i na czym mu zależy, ma przed sobą, w zasięgu ręki.

Zanim jednak zdołał się odezwać, nagle ocknął się. Przypomniał sobie, po co tu przyjechał - ponieważ coś mu groziło, ponieważ April sądzi, że ktoś chce go zgładzić.

- O rany! - mruknął pod nosem, kiedy, na ekranie pojawiło się wielkie BUM! - Co za wyobraźnia, co za talent. - Posłał April ironiczne spojrzenie. - Może mamy do czynienia z niedoszłym filmowcem?

Zadrzała. Oboje doskonale zdawali sobie sprawę, że niedoszłym filmowcem jest morderca.

- Co robimy? - spytała, wyłączając telewizor.

- Trzeba wysłać do NBS grupę saperską.

Z jej spojrzenia widział, jakie ma opory przed powiadaniem o czymkolwiek policji.

- Nie mamy wyboru, April - powiedział, ściskając jej rękę. - W moim samochodzie leży bomba. Trzeba ją rozbroić, zanim wybuchnie i komuś stanie się krzywda.

Skinęła głową. Wiedziała, że to jedyne rozsądne rozwiązanie. Ale policjanci będą mieli tysiące pytań, a ponieważ taśmę doręczono na jej adres, nie od Paula będą oczekiwać odpowiedzi.

- Nie znam nikogo z oddziału saperskiego - oznajmił, przeglądając notes, który wyjął z kieszeni. - Zadzwoń do człowieka wysoko postawionego we władzach policji.

Kiedy zaczął wystukiwać numer, April zamknęła oczy, przypominając sobie ich pocałunek. Jak cudownie się wtedy czuła! Ta jedna krótka chwila czułości sprawiła, że otworzyła się w niej tama, że zalała ją fala niesamowitych, tłumionych dotąd uczuć, fala potężna jak powódź. A czy można powódź opanować, otwartą tamę zamknąć? Nie.

Świadomość tego ucieszyła ją, a zarazem napełniła przerażeniem.

Cały czas była zdeterminowana utrzymać znajomość z Paulem na płaszczyźnie platonicznej. Teraz - choć jakiś wewnętrzny głos ostrzegał ją, że to się może źle skończyć - ta determinacja zniknęła.

Otworzywszy oczy, wpatrywała się w profil Paula. Marzyła, by znów tulić się do jego piersi. Sama była zdumiona tym, że w sytuacji, w jakiej się znaleźli, nie potrafi się skupić na niczym innym, myśleć o niebezpieczeństwie... Ale nie potrafiła. Paul promieniał zmysłowością, seksem. Włosy tak cudownie opadały mu na szyję. Miała ochotę wyciągnąć rękę i przejechać palcem wzdłuż jego nosa, brody...

Skończył rozmawiać i wyłączył telefon.

- Zaraz przyślą tu dwóch detektywów - oznajmił.

- Co im mamy powiedzieć? - spytała, wracając myślami do rzeczywistości.

- Chyba wszystko. Tak jak mówiłem, kiedy nasi przeciwnicy dowiedzą się, że w sprawę zaangażowana jest policja, pomyślą dwa razy, zanim cokolwiek zrobią. Psiakrew, najpierw o mało ciebie nie zabili, a teraz mnie. Nie wiadomo, jak długo szczęście będzie nam sprzyjać. Musimy...

- Nie, poczekaj. Mnie nie chcieli zabić. Ta strzelanina była na niby. To nie były prawdziwe kule, tylko ślepaki.

- Co?

- Tak mówili w telewizji. W wiadomościach. Chwilę potem doręczono mi taśmę i całkiem zapomniałam o tamtym wydarzeniu. Ale ślepe naboje znaczą, że nikt nie próbował mnie zabić.

- Faktycznie - odparł z namysłem. Spojrzał na telewizor i z powrotem na April. - W dodatku człowiek odpowiedzialny za dzisiejszą przesyłkę postarał się, żebyś miała dość czasu na ostrzeżenie mnie przed niebezpieczeństwem. Jak się połączy te dwie rzeczy, to jaki można z tego wyciągnąć wniosek?

- Że nikt nas nie próbuje zabić? Że po prostu chce nas wystraszyć?

- Właśnie.

- Ale po co zadawać sobie tyle trudu? Nie łatwiej byłoby wysłać do nas Ust? Że jeśli nie przestaniemy szperać, możemy pożegnać się z życiem?

- Sam nie wiem.

- Słuchaj, skoro to tylko pogrożki, może moglibyśmy powiedzieć policjantom, że nie mamy zielonego pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi?

- Nie, to by było zbyt.

- Posłuchaj. Jeśli policja dowie się, kim jestem, znów będę musiała zdobywać nowe papiery, stwarzać nową tożsamość. Dopóki tego nie zrobię, nie będę mogła kontaktować się z rodzicami. Będę musiała zamknąć firmę, przeprowadzić się do obcego miasta... Błagam cię. Czy w

rozmowie z glinami nie można przynajmniej pominąć tego, że jestem córką Colina Birminghama?

- Nie jestem pewien - mruknął.

- Zastanówmy się. Pomyślmy, co im absolutnie koniecznie musimy powiedzieć.

- No dobrze. Nie ulega wątpliwości, że spytają, czy domyślam się, dlaczego ktoś wsadził mi do dżipa ładunek wybuchowy. I owszem, domyślam się. Ma to pewne znaczenie symboliczne, ponieważ badam sprawę wybuchu w fabryce napalmu.

- Musisz o tym wspominać?

- Parę osób wie, czym się zajmuję. Ktoś niechcący wygada się policji... Nie, lepiej żebym sam to powiedział. Ale mogę udawać, że niewiele posunąłem się naprzód, że jedynie sprawdziłem archiwa NBS i zasięgałem ogólnych informacji u znajomego w FBI.

- A jeśli dowiedzą się, że rozmawiałeś z Walkerem i Gutteridge'em?

- spytała.

Wzruszył ramionami.

- Jako dziennikarz mam prawo nie ujawniać nazwisk moich informatorów. Nic wielkiego by się nie stało, a przynajmniej zyskalibyśmy na czasie. Chyba że... - Utkwił spojrzenie w jej twarzy i przez chwilę nic nie mówił. - Chyba że zgodnie z radą twojego ojca machniemy na wszystko ręką i wycofamy się z tej sprawy. Boję się o twoje bezpieczeństwo - dodał cicho.

Kiedy ją objął i przytulił do siebie, miała ochotę skupić się na przyjemnych doznaniach i zapomnieć o całym bożym świecie.

- No i co? - spytał. - Jak myślisz?

- Ja też się boję - przyznała April. - Ale nie tylko o swoje bezpieczeństwo. O twoje również. Jeżeli jednak oni próbują nas tylko wystraszyć... - Zawahała się, po czym dodała z nieco większą pewnością siebie: - Dajmy sobie jeszcze chwilę czasu, zanim opowiemy wszystko policji. - Miała nadzieję, że nie popełnia błędu, że nie będzie żałowała swojej decyzji. - Owszem, powiedzmy im, że zajmujemy się sprawą wybuchu sprzed trzydziestu lat, ale nie wchodźmy w szczegóły.

- Chciałbym wiedzieć, jak najlepiej to rozegrać.

- Ja też.

Oboje mieli świadomość, że podejmując decyzję, opierają się na spekulacjach i domysłach, a wówczas nietrudno o pomyłkę.

- No dobra - oznajmił wreszcie Paul. - Wstrzymajmy się do jutra, do rozmowy z Resdow i senatorem. Może coś nam się wyjaśni. W każdym razie wtedy postanowimy, co dalej.

Nerwowo zastanawiała się, co jeszcze powinni omówić przed przybyciem policji.

- A wieczorna strzelanina? - spytała po chwili. - Skoro strzelano ślepymi nabojami, czy warto wspominać, że byłam jedną z osób, które dały nura na chodnik?

- Nie. Trzymajmy się kasety, którą ci doręczono, i bomby w moim samochodzie. Ciebie usuńmy jak najdalej w cień. Ale oczywiście detektywi będą ciekawi, co nas łączy. Dlaczego kasetę przysłano akurat na twój adres.

- Nie możemy trzymać się wersji, że jestem twoją asystentką?

- Nie za bardzo - odparł. - Resdow i Harmidarrow nie będą tego sprawdzać. Po prostu uwierzą nam na słowo. Ale w sytuacji takiej jak ta, kiedy chodzi o podłożenie ładunku wybuchowego, gliniarze nic nie przyjmują na wiarę. I pewnie słusznie. W każdym razie wystarczy, że spytają o ciebie w NBS i po minucie prawda wyjdzie na jaw.

- To może powiedzmy, że jestem twoją dziewczyną? I że pomagałam ci zbierać informacje do programu, bo temat wydawał mi się interesujący.

Popatrzył znacząco na ramię, którym ją wciąż otaczał, i uśmiechnął się szeroko.

- Moją dziewczyną, tak?

Odwzajemniła jego uśmiech.

- Nie sądzę - kontynuował - żeby nam nie uwierzyli. Wystarczy na nas spojrzeć, prawda?

Niemal parsknęła śmiechem. Istotnie, wystarczyło na nich spojrzeć - wyglądali jak para kochanków, objęci, wpatrzeni w siebie, jedno i drugie z głupkowskim uśmiechem na pysku...

I nagle Paul wolno schylił głowę i pocałował ją. Jego wargi, tak gorące, tak spragnione, wywołały w niej dreszcz podniecenia. Gdzieś głęboko w trzewiach poczuła dziwny, pulsujący ucisk.

Im bardziej natarczywe stawały się jego pocałunki, tym bardziej intensywne stawało się pulsowanie. Przywarła do Paula z całej siły, pragnąc czuć go każdym skrawkiem swego ciała. Gładził ją po szyi, potem delikatnie przesunął rękę niżej... Zapłonęła żądzą, gwałtowną i niepoahamowaną. Z jej gardła wydobył się jęk. Jeszcze nigdy czegoś

takiego nie doświadczyła - uczucia, że nie będzie w pełni kobietą, dopóki się z Paulem nie pokochają, nie nasycą sobą, nie zaspokoją swego popędu.

Ale na razie było to niemożliwe. Lada moment miało się zjawić dwóch detektywów.

- Paul... --szepnęła.

- Hm?

Zanim zdążyła mu przypomnieć o ich wizycie, rozległ się dzwonek domofonu.

RS

O trzeciej nad ranem April padała już ze zmęczenia, Paul też ledwo trzymał się na nogach. Ale detektywi nadal urzędowali w jej mieszkaniu; w tym momencie akurat czekali na potwierdzenie wiadomości, czy firma „Clancy's Couriers” istnieje czy nie.

- W porządku, dzięki za sprawdzenie - powiedział w końcu do słuchawki Tino DiMarco i spojrzał na swego partnera. - Nie istnieje.

- Ale kurier miał legitymację - rzekła April. - To znaczy fałszywy kurier...

- Niektórzy przestępcy są naprawdę bardzo dokładni i inteligentni - oznajmił DiMarco. - Pewnie facet czekał na ulicy, aż pani przyjaciel wyjdzie. Odczekał jeszcze chwilę i dopiero kiedy pan Gardiner odjechał taksówką, dostarczył przesyłkę.

Bardzo jej się to nie podobało - że ktoś czyha na dole, obserwuje dom, śledzi jej poczynania.

Zamierzała odtąd mieć oczy szeroko otwarte. Jeżeli przyłapie kogoś na tym, że zbyt intensywnie się jej przygląda, wtedy... No cóż, to będzie zależało od sytuacji, od tego, gdzie jest i co robi. Na pewno od tej chwili będzie się miała na baczności.

- Czy pan to rozumie? - spytał Paul, zwracając się do detektywa. - Bo ja nie. Co za wariat podkładałby w samochodzie ładunek wybuchowy, a potem ostrzegał właściciela, żeby nie wsiadał?

- Może ktoś inny pana ostrzegł? Może wcale nie ta sama osoba?

- Co? Uważa pan, że jeden facet wsadzał do bagażnika bombę, a drugi, który akurat miał przy sobie kamerę wideo, zauważył to i postanowił sfilmować?

DiMarco wzruszył ramionami.

- Nigdy nic nie wiadomo - odparł. - Dziwne rzeczy dzieją się w tym mieście i czasem trzeba sporo pogłównkować, zanim się wreszcie znajdzie odpowiedź. - Zamknął notes i ponownie spojrzął na swojego partnera, który prawie nie zabierał głosu. - Chcesz jeszcze o coś państwa spytać?

Kiedy młodszy mężczyzna pokręcił głową, April - starając się nic po sobie nie okazać - odetchnęła z ulgą. Chciała, żeby skończyli i wreszcie sobie poszli, bo - choć rozum jej mówił, że to niemożliwe - instynktownie wciąż się spodziewała, że któryś nagle zapyta, czy przypadkiem nie jest córką Colina Birminghama.

Podniósłszy ze stolika taśmę oraz miękką, grubą kopertę, w której ją doręczono - oba przedmioty znajdowały się teraz w przezroczystych torebkach chroniących je przed zatarciem śladów - DiMarco wstał.

- No dobrze, proszę przez jakiś czas być bardzo ostrożnym - powiedział.

- A ja - dodał jego partner, zwracając się do Paula - gdybym był na pana miejscu, dałbym sobie spokój ze sprawą tej fabryki. Po co kusić los?

Ruszyli w czwórkę w stronę drzwi, kiedy nagle zadzwonił telefon DiMarco. Detektyw wydobył go z kieszeni kurtki.

- Słucham? Doprawdy? - spytał po paru sekundach. - Cholera jasna, to rzeczywiście bardzo dziwne. Tak, jeszcze tu jesteśmy, więc dam im

znać. Dzięki za wiadomość. - Chowając komórkę z powrotem do kieszeni, popatrzył na Paula.

- Coraz mniej z tego kapuję - rzekł. - Może pan w każdej chwili odebrać samochód. Był czysty.

- Czysty? To znaczy nie było żadnej bomby? DiMarco pokręcił głową.

- Nie. Ani śladu jakiegokolwiek ładunku wybuchowego. Ale na wszelki wypadek, gdyby jeszcze coś komuś miało strzelić do głowy, przestawiono pański wóz na policyjny parking w pobliżu Bartery Park. Wie pan, który to?

- Tak. Już raz mnie tam odnotowano, kiedy Stałem w niedozwolonym miejscu. Słono musiałem zabulić za odzyskanie samochodu.

- Tym razem odzyska go pan za darmo. Jednakże ta cała sprawa... - Pokręcił zde gustowany głową, wyraźnie dając do zrozumienia, że uważa zajmowanie się „tą całą sprawą” za stratę czasu. - Nie ma pan przyjaciół, którzy lubią swoim znajomym sprawiać tego typu niewybredne żarty? - spytał.

April zmusiła usta do uśmiechu, w gruncie rzeczy była jednak pewna, że ani wieczorna strzelanina, ani późniejsze ostrzeżenie o bombie nie były żartem. Za jednym i za drugim incydentem coś się kryje...

Odprawiając detektywów do drzwi, Paul zastanawiał się, co będzie, kiedy znów zostaną sami. Przed przybyciem policji byli niemal gotowi zedrzeć z siebie ubranie i kochać się na podłodze. Nie miał pojęcia,

czy zmieniły się ogólne reguły gry, czy po prostu jednorazowo dali się ponieść namiętności.

Jeszcze niedawno April mu nie ufała; z tego, co się orientował, nie wykluczyła możliwości, że on, Paul, jest agentem, który tylko czyha na to, aby pojmać jej ojca. A nawet jeśli wykluczyła, nawet jeśli przestała w to wierzyć, to i tak chyba rozsądniej byłoby utrzymać ich znajomość na dotychczasowej płaszczyźnie. Przynajmniej tak mu się zdawało. Może wcześniej przez moment cierpiał na jakieś dziwne zaburzenie pamięci, ale teraz już sobie przypomniał, dlaczego lepiej nie angażować się uczuciowo z April Kelly.

Nie wierzył, że Colin Birmingham jest winny podłożenia ładunku w fabryce napalmu. Nie terroryzowałby przecież własnej córki. Poza tym, czy ktoś, kto od lat żyje w ukryciu, zdołałby w tak krótkim czasie załatwić nagranie dwóch kaset oraz zaaranżować strzelaninę w środku miasta?

Rozmawiał w ten sposób sam z sobą, analizując w myślach różne możliwości, gdy wtem usłyszał, jak April woła „Do widzenia!” i po chwili zamyka za detektywami drzwi.

- Nareszcie sami - powiedział lekkim tonem, jakby nic między nimi się wcześniej nie wydarzyło.

Z nieporadnego uśmiechu, jaki zagościł na jej twarzy, domyślił się, że ona również nie czuje się zbyt pewna siebie.

- No i co myślisz? - spytała.

- Co myślę? - powtórzył. - Dobrze, że nie było żadnego ładunku wybuchowego. A skoro w dodatku na ulicy strzelano ślepymi nabojami, możemy być pewni, że nikt nie próbował nas zabić.

- Chyba tak, ale czy teraz policja nie zrezygnuje z szukania dowcipnisia?

- Zrezygnować nie zrezygnuje. Ale ani na tym, ani na szukaniu faceta, który strzela ślepakami, nie będzie skupiała całej uwagi.

April spuściła wzrok i przez chwilę w milczeniu wpatrywała się w swoje buty.

- Myślisz, że ten, co za tym stoi, szykuje dla nas kolejne niemiłe niespodzianki?

- Nie wiem - odparł - ale warto posłuchać rady DiMarco i być bardzo ostrożnym.

Skinęła głową.

- A jego partner radził dać sobie spokój ze sprawą fabryki i nie kusić losu.

- Pamiętam.

Spoglądał w jej oczy, czekając, jak zareaguje. Może miarka się przebrała, może kasetą grożąca wysadzeniem w powietrze jego samochodu wystraszyła ją na tyle, że naprawdę będzie chciała się wycofać?

Co do niego zaś, po prostu nie wiedział, co to wszystko ma znaczyć. Ale każda nowa rzecz, każdy kolejny incydent, przekonywały go o tym, że sprawa jest o wiele bardziej skomplikowana, niż sądził. I chciał dotrzeć do sedna.

- Chyba się nie rozmyśliłeś, co? - spytała. - Nadal chcesz się dowiedzieć, kto wysadził fabrykę napalmu?

- Pewnie. W końcu jestem dziennikarzem, a rasowy dziennikarz za dobrym materiałem pójdzie choćby na koniec świata.

Modliła się w duchu, aby to była prawda - aby faktycznie był dziennikarzem i nikim więcej. Wciąż nie miała jak tego sprawdzić. A wbrew rozsądkowi i swym intencjom, zakochała się w Paulu. Pocieszała się tym, że zawsze była świetnym znawcą ludzkiej psychiki i charakterów - zatem nie darzyłaby uczuciem mężczyzny, który ją okłamuje.

- Ja też nie chcę rezygnować - oznajmiła. - Odkąd pamiętam, zawsze żyłam w strachu, że któregoś dnia federalni wpadną na trop moich rodziców. Podejrzewam, że tata z mamą, choć nigdy by się nie przyznali, również się tego bali. I nadal boją.

- A więc idziemy jutro na spotkanie z Resdoe, a potem z Harmidarowem? - spytał Paul.

- Tak.

Przez kilka długich chwil świdrował ją wzrokiem. Serce zaczęło bić jej przyspieszonym rytmem, żądza nasiliła się. W całym mieszkaniu było tak cicho, że nie tylko czuła bicie swojego serca, ale również je słyszała. Zastanawiała się, czy Paul również je słyszy; miała nadzieję, że tak. Może uczucia, jakie w niej wzbudzał, są niebezpieczne, może rozsądniej byłoby udawać, że nie istnieją, ale nie potrafiła. Wreszcie oderwał od niej spojrzenie i zerknął na zegarek.

- Późno. Pójdę już...

Ale nie ruszył się z miejsca i ponownie utkwiał w niej wzrok. Widząc w jego oczach nie skrywaną żądzę, poczuła w trzewiach niesamowity żar. Wszystko się w niej topiło, ulatniało jak dym na wietrze, resztki oporu,

resztki zdrowego rozsądku. Tak bardzo pragnęła Paula, że nic innego się nie liczyło.

- Pójdę już- powtórzył.

Przez moment jeszcze z sobą walczyła, potem szepnęła:

- Nie, zostań...

Zmysłowy uśmiech powoli rozjaśnił jego twarz.

- Myślałem, że nigdy tego nie powiesz - szepnął, po czym ujął ją za rękę i przyciągnął do siebie.

Poczuła na ustach jego ciepły oddech, muśnięcie warg. Po chwili ujął jej twarz w dłonie i zaczął ją całować. Zaciskając rękę na jego włosach, rewanżowała mu się z równą siłą i żarem. Pieścił wargami kąci jej ust, jej nos, policzki, czoło, szyję. Raz po raz wstrząsał nią dreszcz rozkoszy.

- Paul, Paul - szeptała jego imię. A wreszcie spytała: - Czy masz zabezpieczenie?

Na szczęście miał. Bez słowa zaprowadziła go do sypialni. Stanęli przy łóżku, we wpadającym przez okno srebrzystym świetle księżyca. Drżącymi palcami April zdjęła z szyi medalion babci. Kiedy położyła go na stoliku nocnym, Paul ponownie zgarnął ją w objęcia. Całując ją delikatnie w usta, wyciągnął z portfela mały pakiecik. Osunęli się wolno na łóżko.

A potem... potem już niczego nie robili wolno i delikatnie. Ogarnięci nieokiełznaną żądzą, zdarli z siebie ubranie i zaczęli się kochać. Ciało miało szczupłe, umięśnione, twarde. Nie była w stanie mu się oprzeć. Zresztą nie chciała; wolałaby umrzeć, niż nie zaznać tych chwil podniecenia i radości.

Wreszcie! Poruszali się w zgodnym rytmie, oboje bez tchu, szybciej, mocniej, razem. I nagle świat zadrżał, a ona wraz z nim.

Z każdym ruchem Paula zalewała ją nowa fala rozkoszy. Zanim w końcu on też dotarł do kresu tej szalonej podróży, nie była w stanie nawet podnieść powiek; leżała, z trudem łapiąc powietrze, mokra od potu, rozgrzana, szczęśliwa, półprzytomna. Ogarnęła ją błoga senność. Nie miała siły wykonać najmniejszego ruchu. Ale to było bez znaczenia. Wcale nie chciała nigdzie iść; mogłaby tak leżeć z Paulem do końca życia. Kiedy wreszcie, po dłuższym czasie, jej oddech się wyrównał, przeciągnęła ręką po plecach Paula.

- Mmm? - szepnął. - Za ciężki jestem?

Zsunął się z niej, po czym przytulił ją do siebie i pocałował delikatnie w kark.

- To było... niesamowite - powiedziała cicho.

- Tylko niesamowite?

Instynktownie czuła, że Paul uśmiecha się pod nosem i sama też się uśmiechnęła.

- Przy odrobinie wprawy będzie niesamowite do kwadratu - odparła żartem.

- Ten kwadrat mnie wykończy.

Ponownie cmoknął ją w szyję, powiedział, że ma najseksowniejszy kark na całym świecie, po czym wtulił się w nią mocno, jakby już nigdy nie chciał się z nią rozstać.

April leżała w ciemności, wsłuchując się w równy, miarowy oddech Paula. Tu było jego miejsce - w jej łóżku, w jej życiu, przy jej boku.

Jeszcze nigdy dotąd nie była tak szczęśliwa. Lecz gdzieś w zakamarkach jej umysłu zaczął ją drażnić strach. Pozwoliła Paulowi zbliżyć się do siebie bardziej niż komukolwiek innemu. A jeżeli się pomyliła w swojej ocenie, jeżeli popełnia błąd... ?

Zamknawszy oczy, usiłowała uspokoić samą siebie. Przecież coś tak cudownego nie może być błędem.

Nowojorska siedziba FBI znajdowała się przy Federal Plaza - a dokładniej na Broadwayu między Duane a Worth, na południe od Canal Street i na północ od ratusza. Było to na tyle blisko mieszkania Paula, że postanowili przejść na piechotę. Zresztą na Manhattanie często szybciej docierało się gdzieś na własnych dwóch nogach niż samochodem.

Zanim jednak odebrali dzipa z policyjnego parkingu przy Bartery Park, a potem wstąpili do Paula, żeby mógł się odświeżyć i przebrać, ledwo zdążyli na czas.

Oczywiście, pomyślał Paul, uśmiechając się błogo do siebie, kiedy czekali w holu na windę, nie musieliby się teraz tak śpieszyć, gdyby wcześniej wstali, a oni zamiast się zrywać o świcie, woleli kochać się aż do ostatniej chwili. Na samo wspomnienie poranka miał ochotę znów znaleźć się z April w łóżku.

Spojrzał na zdobiące ścianę w holu godło FBI - orła trzymającego w szponach szarfę z napisem „Sprawiedliwość”. Jednakże z tego, co wiedział, sprawiedliwość nie była priorytetem Wayne'a Resdoe. Priorytetem Wayne'a Resdoe był Wayne Resdoe. Kiedy wreszcie winda nadjechała i wsiedli do środka, Paul przypomniał April, aby w obecności gospodarza była ostrożna i uważała, co mówi.

- To oślizgły, ale inteligentny typ - rzekł. - Jeżeli zechce sprawdzić naszą prawdomówność, nie będzie miał z tym najmniejszych problemów. Staraj się więc mówić mało, ale w miarę możliwości trzymaj się prawdy.

- Och, Paul, tylko się przez ciebie niepotrzebnie denerwuję. Przecież ja nigdy nie paplam, co mi ślina na język przyniesie. Swoją drogą, jeżeli Resdow za wszystkim stoi, jeżeli jest odpowiedzialny za kasety i strzelaninę na ulicy, to zna moją tożsamość. Tak samo Harmidarrow, jeśli to on jest winien.

- To prawda - przyznał, objął April i uściśnął lekko, by dodać jej otuchy. - Pozostaje nam mieć oczy i uszy otwarte. Może się czymś zdradzi...

Skinęła głową; minę miała niepewną.

Zanim winda dojechała na miejsce, pocałował April w policzek i - wbrew sobie, bo bardzo tego nie chciał - puścił ją, po czym cofnął się o krok. Chociaż postanowili trzymać się wersji, którą podali w nocy detektywom, mianowicie, że April jest jego dziewczyną i po prostu pomaga mu w pracy, nie mogli wejść do gabinetu Resdowa czule objęci.

Wersja z asystentką odpadała, bo Resdow rzeczywiście bez trudu mógłby sprawdzić, czy go nie okłamują. Wystarczyłoby, gdyby zadzwonił do NBS; wszyscy powiedzieliby mu, że Paul Gardiner nie ma asystentki, nikt natomiast nie mógłby powiedzieć z pełnym przekonaniem, że April Kelly nie jest jego dziewczyną.

Tym bardziej że naprawdę nią jest, pomyślał z uśmiechem. Dziewczyną, kobietą, kochanką. Nie wiadomo, jakie określenie bardziej

pasowało do ludzi w ich wieku, ale to bez znaczenia. Drzwi windy właśnie się otworzyły.

Recepcjonista, który jednocześnie pełnił funkcję strażnika, przyglądał im się uważnie, po czym wskazał im drogę do gabinetu Wayne'a Resdoe: korytarzem w prawo, ostatnie drzwi na lewo. Paul poczuł, jak wszystkie mięśnie mu się napinają. Trochę obawiał się stanięcia twarzą w twarz z Resdoe, nie wiedząc, czy przypadkiem nie on jest odpowiedzialny za śmierć jego ojca.

Próbował się uspokoić, powtarzając sobie w duchu, że to przecież nic pewnego. Może podejrzenia Colina Birminghama są całkiem bezpodstawne.

Kiedy dotarli do ostatnich drzwi, Resdoe uniósł głowę znad biurka i zaprosił ich do środka gestem dłoni.

W porządku, stary, rozluźnij się, powiedział Paul do siebie, czując, jak ogarnia go coraz większe zdenerwowanie.

- Paul! - zawołał Resdoe. - Miło cię znów widzieć. Jak ten czas leci!

- Oj, leci, leci. Wayne, przedstawiam ci moją znajomą, April Kelly. - Skinął w jej kierunku. - April, to jest agent specjalny Wayne Resdoe.

- Wayne. Wystarczy sam Wayne.

Podczas gdy Resdoe przyglądał się April, Paul przyjrzał się jemu. Minął ponad rok, odkąd widzieli się ostatnim razem, ale Resdoe nic się przez ten czas nie zmienił. Lekko siwiejący szatyn w wieku pięćdziesięciu kilku lat, miał około metr siedemdziesiąt pięć wzrostu i niczym szczególnym się nie wyróżniał. FBI uwielbia agentów, którzy wtapiają się w tłum. Resdoe wyglądał jak porządny ojciec rodziny, który nie

przeszedłby przez ulicę na czerwonym świetle, a co dopiero mówić o spiskowaniu i wysadzeniu w powietrze fabryki. Ale, jak wiadomo, pozory często mylą.

Ruchem ręki agent wskazał im stojące przed biurkiem fotele dla gości, po czym usiadł z powrotem na miejscu.

- Czy ty, April, pracujesz z Paulem nad tym wietnamskim odcinkiem? - spytał.

- Tak, ale tylko nieoficjalnie - odparła.

Paul otworzył teczkę, którą trzymał na kolanach.

- Nieoficjalnie? - zdziwił się Resdoe.

- April nie jest dziennikarką z NBS - wyjaśnił Paul. - Jest po prostu moją znajomą. - Popatrzył na nią tak czule, że Wayne chcąc nie chcąc musiał zrozumieć, że łączy ich coś więcej. - Kiedy usłyszała o odcinku, który przygotowuję, natychmiast zaofiarowała swoją pomoc.

Wayne Resdoe podniósł zdumiony brwi.

- Od dzieciństwa marzyłam o tym, żeby być dziennikarką. Nawet zapisałam się na kilka kursów dla przyszłych pisarzy i dziennikarzy - wyjaśniła April, sprytnie pomijając kwestię, dlaczego akurat interesuje ją temat wojny wietnamskiej.

Paula powoli zaczęło opuszczać napięcie. Ciągłe zapominał o tym, że April jest specem w nieujawnianiu prawdy, że całe życie musiała uważać, co mówi. Resdoe sprawiał wrażenie, jakby usatysfakcjonowała go jej odpowiedź.

Wyjmując z teczki magnetofon, Paul spytał:

- Nie przeszkadza ci, że będę nagrywał?

Kiedy agent pokręcił głową, postawił magnetofon na biurku i włączył go. Resdow odchylił się wygodnie na fotelu.

- Skąd to zainteresowanie wojną wietnamską? - zapytał. - Przecież to stare dzieje.

- Tak. Ale wielu ludzi, naszych dzisiejszych widzów, dojrzałych czterdziesto- i pięćdziesięciolatków, pamięta tamte czasy. A każdy temat, który może mieć dużą oglądalność, interesuje naszych sponsorów.

- No tak, faktycznie. A dlaczego chciałeś porozmawiać akurat ze mną?

- Ponieważ należałeś do ruchu AWW. Zamierzamy przedstawić w skrócie wszystkie ważniejsze ruchy i organizacje antywojenne - wyjaśnił Paul.

- Rozumiem. Ale dlaczego do mnie z tym przyszedłeś? Dlaczego nie do kogoś bardziej znanego szerszemu ogółowi? Kogoś takiego jak Nelson Harmidarow?

Słyszając z ust jednego ze swych podejrzanych nazwisko drugiego z podejrzanych, Paul poczuł się zaskoczony. Przemknęło mu przez myśl, że może Resdow jest człowiekiem, którego szukają, że doskonale wie, o co im chodzi i najzwyczajniej w świecie drażni się z nimi.

Oczywiście, wcale tak nie musiało być. Mógł po prostu zadać niewinne pytanie. Harmidarow istotnie był najbardziej znanym szerokiemu ogółowi członkiem AWW.

- To śmieszne, Wayne, że podsuwasz nam pomysł rozmowy z senatorem - powiedziała April - bo właśnie mamy się z nim spotkać po lunchu.

Paul zerknął na nią, wdzięczny za jej refleks i przytomność umysłu. Widocznie zorientowała się, że pytanie go zaskoczyło, i postanowiła wybawić go z kłopotu.

- Ale chcieliśmy również porozmawiać z tobą - dodała. - Twój przypadek wydał nam się bardzo ciekawy.

Resdoe ponownie uniósł zdziwiony brwi. Paul wstrzymał oddech, ale April wiedziała, co robi - była przygotowana.

- Niewielu było takich ludzi jak ty. Ludzi, którzy należeli do antyrządowych organizacji i brali udział w demonstracjach przeciw wojnie, a parę lat później wstąpili do FBI.

Resdoe pokręcił głową.

- Trzymajmy się faktów - rzekł. - AWW nie było organizacją antyrządową. Nie byliśmy grupą anarchistów. Po prostu nie zgadzaliśmy się z polityką rządu w sprawie wojny w Wietnamie.

- W takim razie... - Paul wyciągnął notes i zaczął go przeglądać, jakby zastanawiając się, o co spytać swego rozmówcę. - O, już wiem. Twierdzisz, że nie byliście anarchistami. W takim razie jak wytłumaczyć fakt podłożenia ładunku wybuchowego i eksplozję w... - zerknął ponownie do notesu - ...w fabryce napalmu?

Resdoe zawahał się na ułamek sekundy, zanim odrzekł:

- To nigdy nie powinno było się zdarzyć. Prawdę mówiąc, nie była to akcja zaplanowana przez AWW. Przez ten jeden głupi incydent niemal rozpadła się cała grupa.

- Naprawdę?

- Tak. Wybuch był dziełem jednego człowieka, który działał na własną rękę, Colina Birminghama. W wyniku wybuchu i śmierci kilku osób Nelson Harmidarrow postanowił wystąpić z AWW.

- Dlaczego?

- Nelson był zdecydowanie przeciwny gwałtownym formom protestu - wyjaśnił Wayne Resdoe. - Kiedy zaczęły krążyć plotki, jakoby był zamieszany w tę sprawę... No cóż, po prostu załamał się, nie chciał więcej mieć z organizacją nic wspólnego.

- Plotki? - spytała April. - Że był zamieszany w sprawę wybuchu?

- Tylko proszę mnie źle nie zacytować - powiedział Resdoe, rzucając Paulowi ostrzegawcze spojrzenie. - Jeżeli w tym swoim odcinku choćby lekko zasugerujesz, że moim zdaniem Nelson albo wcześniej wiedział coś o wybuchu, albo że popierał ten pomysł, to podam cię do sądu. Jak Boga kocham! Czy to jasne? Paul skinął głową.

- Najzupełniej - odparł. - Więc ty nigdy nie wierzyłeś w te plotki, ale niektórzy uwierzyli, tak?

- Nie powiedziałbym, że uwierzyli - rzekł Resdoe. - Po prostu Nelson był tak ważną figurą w AWW, że prawie zawsze wiedział o planowanych demonstracjach i innych rzeczach, więc ludzie zastanawiali się, czy... no, wiesz.

- Zastanawiali się i plotkowali - powiedziała April. - Tak?

- Tak.

Czy dlatego, pomyślał Paul, Nelson Harmidarrow znalazł się na liście podejrzanych Colina Birminghama? Dlatego że prawie zawsze wiedział o planowanych demonstracjach? I dlatego, że ludzie plotkowali?

Skupił się znów na swoim rozmówcy. Bardzo był ciekaw, czy Resdoe mówi prawdę, czy przedstawia autentyczny obraz sytuacji, czy też przesadza lub zmyśla, specjalnie kierując ich podejrzenia na Harmidarrowsa. Bądź co bądź gdyby to on, Wayne Resdoe, za wszystkim stał, gdyby to on zaplanował podłożenie ładunku i wybuch w fabryce, wtedy tym bardziej starałby się wybielić obraz siebie i zrzucić odpowiedzialność na innych.

- W każdym razie - ciągnął Wayne - sprawa wybuchu niemal doprowadziła do rozwiązania AWW. Po odejściu Nelsona zaczęły się różne spory i kłótnie. W organizacji zawsze była frakcja popierająca gwałtowne formy protestu, Nelson zaś był głosem rozsądku; to dzięki niemu wszelkie nasze manifestacje miały pokojowy charakter. Prawdę mówiąc, byłem dość zdziwiony, że po jego odejściu AWW nie przerodziła się w bardziej bojową organizację. Myślę jednak, że tak by się niewątpliwie stało, gdyby Colin Birmingham pozostał jej aktywnym członkiem. Na szczęście zszedł do podziemia.

- Naprawdę tak sądzisz? - spytał Paul, bojąc się spojrzeć na April. - Ze gdyby Birmingham pozostał w organizacji, formy protestu miałyby bardziej agresywny charakter?

- Zdecydowanie tak - odparł agent. - Birmingham cieszył się dużym poważaniem. Oczywiście, daleko mu było do Nelsona, ale popierała go całkiem liczna grupa ludzi. Nelson trzymał go w ryzach. Gdyby po odejściu Nelsona Birmingham nadal działał, wkrótce AWW stałoby się bardziej bojową organizacją od Czarnych Panter.

Słyszac to, Paul nie byl w stanie sie dluzej powstrzymac; niemal wbrew sobie popatrzył na April.

Ku jego ogromnemu zdumieniu miała taką minę, jakby Wayne Resdoe mówił o obcym człowieku - tylko ręce zdradzały jej emocje. Trzymała je na kolanach, ukryte przed wzrokiem agenta, i zaciskała tak mocno, że aż zbiełały jej kostki.

RS

Był spięty, kiedy wybierali się na spotkanie z Wayne'em, a kiedy wyszli z jego gabinetu, był jeszcze bardziej spięty. Na szczęście w windzie, którą jechali na parter, poza nim i April znajdowali się inni ludzie. To mu dało trochę czasu, aby zastanowić się, rozważyć sytuację. Wcale mu się nie podobały myśli, które krążyły mu po głowie.

Może April wierzyła, że jej ojciec był przeciwny wszelkim gwałtownym formom protestu, ale zarówno Walker, jak i Gutteridge twierdzili co innego. A teraz Resdoe ich poparł; jego zdaniem Colin Birmingham stanowił zagrożenie dla ludzkości.

Oczywiście należy pamiętać o tym, że może Resdoe stał za wszystkim. Gdyby tak było, nic dziwnego, że chwytalby się różnych sposobów, by oddalić podejrzenia od siebie. Najpierw kierował je na Harmidarrowsa, potem Birminghama przedstawiał w czarnych barwach...

Ale jeśli nie jest winny wybuchu i jeśli to, co mówił o Birminghamie, jest prawdą...

Paul zmarszczył czoło. Przecież już wcześniej brał taką możliwość pod uwagę, zanim się jeszcze skontaktował z April. Później zresztą też. Resdoe nie powiedział mu nic nowego, nie otworzył mu na nic oczu, więc dlaczego tak niechętnie akceptował myśl o tym, że Colin może być sprawcą eksplozji?

Dlatego że... Po prostu nie umiał sobie tego wyobrazić. Miałby być zakochany w córce człowieka, który zamordował jego ojca? Bo był

zakochany, nie miał co do tego wątpliwości. I dlatego się bał; robił w portki ze strachu,

Robić w portki ze strachu. Ojciec często używał tego powiedzonka, a wtedy on, Paul, tarzał się po ziemi ze śmiechu. Już dawno o tym zapomniał, nie pamiętał żadnych powiedzonek ojca. Teraz mu się przypomniało, nagle, niespodziewanie, po prostu dlatego, że ojciec - własny, a także April - bez przerwy absorbowali jego myśli.

Popatrzył na nią, gdy stała w windzie, sztywno wyprostowana, o zarumienionej twarzy i mocno zaciśniętych ustach. Skoro wypowiedzi agenta wytrąciły z równowagi Paula, nią musiały wstrząsnąć do głębi. Tak więc, choć nie mógł zignorować swych podejrzeń co do winy Colina, przerzucił teczkę do drugiej ręki i uściśnął dłoń April. Uśmiechnęła się do niego, wdzięczna, że próbuje dodać jej otuchy, widział jednak, że drobny uścisk nie wystarczy, by poprawić jej nastrój.

Winda zatrzymała się na parterze. April odetchnęła głęboko i kiedy drzwi się rozsunęły, wyszła z wszystkimi z kabiny. Trzymając się za ręce, bez słowa przeszli przez hol, kierując się do drzwi. Gdy znaleźli się na dworze, stanęła.

Była wzburzona i zdenerwowana i nie miała pewności, czy będzie w stanie rozmawiać w sposób jasny i logiczny, ale zamierzała spróbować.

- No i co?

- Co no i co? - spytał Paul, unikając jej spojrzenia.

To, że bał się spojrzeć jej w oczy, jeszcze bardziej ją rozgniewało.

- Chyba mu nie uwierzyłeś, co? Co?! - powtórzyła, kiedy nic nie odpowiedział. - Psiakrew, Paul! Bądź ze mną szczery i powiedz mi, co myślisz.

- Dobrze - oznajmił wolno. - Jeśli chcesz znać prawdę, sam nie wiem, co o tym wszystkim sądzić. Dziesiątki różnych myśli krążą mi po głowie...

- Mam nadzieję, że między innymi i ta, że Resdoe kłamał. Bo albo to on podłożył ładunek i teraz usiłuje zatrzeć ślady, albo z uporem maniaka trzyma się oficjalnej wersji i powtarza, że tata od początku popierał gwałtowne formy protestu.

Czekała, aż Paul powie, że tak, na pewno tak było, Resdoe łże jak pies. On jednak milczał, więc stała bez ruchu, a każda sekunda dłużyła się jej niemiłosiernie.

- Muszę ci coś powiedzieć - oznajmił w końcu. Skinęła głową. Wprawdzie pragnęła usłyszeć co innego,

zapewnienia o niewinności Colina, z poważnej miny Paula wywnioskowała zaś, że to, co za moment usłyszy, też jej się nie spodoba.

- Kiedy Tom Walker przyznał się, że on i Gutteridge kłamali, twierdząc, że twój ojciec jest Napalmowcem, spytałem go, dlaczego postanowili zrzucić winę na Colina Birminghama.

- Tak, pamiętam z taśmy.

- Tego fragmentu nie było na taśmie. Nie chodziło mi o powód, dlaczego skłamali; czy ktoś im zapłacił, czy nie. Chodziło mi o to, dlaczego prawdziwy winowajca kazał oskarżyć twojego ojca, dlaczego akurat jego, a nie kogoś innego. Walker nie był pewien, podejrzewał

jednak, że z jednego powodu: dlatego że ludzie byliby skłonni uwierzyć w winę Colina Birminghama, bo ich zdaniem byłby zdolny do popełnienia takiej zbrodni.

- Co? - spytała szeptem. - Jak to?

- Gutteridge powiedział mi mniej więcej to samo. Oczywiście wciąż upierał się przy wersji, że twój ojciec jest winny, ale i jeden, i drugi twierdził, że Colin Birmingham nie uznawał pokojowych form demonstracji. Poczekaj, spróbuję sobie przypomnieć ich dokładne słowa... Obaj użyli niemal identycznych sformułowań, zupełnie jakby powtarzali coś, co nieraz słyszeli. Hm... Już wiem! Podobno często powtarzał, że cel uświęca środki, a protest jest środkiem, który prowadzi do celu.

- Ale... - Nie potrafiła się skupić; serce waliło jej młotem, krew pulsowała w skroniach. - To normalne, że powiedzieliby coś takiego - wydusiła wreszcie. - Skoro go oskarżyli, musieli wymyślić jakiś wiarygodny powód. Jestem pewna, że gdybyśmy porozmawiali z innymi członkami AWW, prędzej poznalibyśmy prawdę. Powiedzieliby nam...

Urwała, bo nagle przypomniała sobie ostatnią wizytę u rodziców, kiedy stojąc na werandzie, niechcący podsłuchiwała ich rozmowę. Czy o to im chodziło? Czy tego się obawiali? Że jeśli zaangażuje się w dochodzenie, które Paul zamierza przeprowadzić, wówczas odkryje kilka przykrych rzeczy o swoim ojcu, między innymi to, że popierał gwałtowne formy protestu, a także że brał w nich udział?

Przypomniała sobie również stare artykuły w gazetach, które czytała jako nastolatka. Któregoś dnia, gdy oświadczyła rodzicom, że chętnie wybrałaby się do biblioteki, aby przejrzeć mikrofilmy, zaprotestowali.

Zaczęli jej tłumaczyć, że dziennikarze wypisują różne bzdury; po co ma czytać kłamstwa? April uwierzyła, że prasa kłamie, ponieważ ukochani rodzice podali jej inną wersję zdarzeń niż ta, którą czytała.

Ale czy wersja rodziców od początku do końca pokrywała się z prawdą?

- No?

- Sama nie wiem - szepnęła. - Wiem tylko, że mój ojciec nie podłożył żadnej bomby. Gdyby był winien tamtego wybuchu, siedziałby cicho. Na pewno nie pomagałby ci szukać winnego. W ogóle by się nie zgodził na jakikolwiek kontakt z tobą.

- Muszę przyznać, że w tym, co mówisz, coś jest - rzekł Paul.

- Po prostu to by nie miało najmniejszego sensu.

Nie, nie miałoby, pomyślał Paul, chyba że Colin Birmingham liczyłby na zachłanność reportera, na jego głód dobrych tematów. Niektórzy dziennikarze w pogoni za sensacją byliby gotowi stworzyć „dowody” wskazujące na winę osób trzecich.

Zastanawiał się, czy wspomnieć April o takiej możliwości, ale po chwili zastanowienia uznał, że to niedobry pomysł. Tylko by się biedaczka jeszcze bardziej zdenerwowała.

- Niewykluczone, że prawda wyglądała trochę inaczej, niż mi ją rodzice przedstawili - dodała cicho. - Może coś przemilczeli, może coś przeinaczyli, nie wiem. Zawsze wierzyłam, że są ze mną szczerzy, że nigdy mnie świadomie nie okłamali. Ale jeżeli... Muszę dowiedzieć się wszystkiego. Całej prawdy. Im szybciej, tym lepiej.

Szli Broadwayem, aż znaleźli budkę telefoniczną. Podczas gdy Paul czekał na ulicy, April wrzuciła do automatu garść monet, po czym odruchowo zerkając przez ramię, by sprawdzić, czy Paul jej nie podgląda, wystukała numer do rodziców.

Kiedy zdała sobie sprawę z własnego zachowania, poczuła się dziwnie. Czy jej ostrożność jest kwestią przyzwyczajenia? Czy też ona, April, zakochała się w człowieku, któremu nie we wszystkim ufa?

Zanim miała czas zastanowić się nad odpowiedzią, ojciec odebrał telefon. Zaczęła mu wyjaśniać, dlaczego dzwoni. Na drugim końcu linii zaległa cisza.

- Myszko - odezwał się wreszcie Colin Birmingham -zawsze ci mówiłem, że nie miałem nic wspólnego z wybuchem w fabryce napalmu. I przysięgam na Boga, że to prawda.

Wypuściła wolno powietrze, mówiąc sobie, że nigdy nie powinna była w to wątpić.

- Ta część wersji Wayne'a Resdoe to kompletna bzdura - dodał po chwili. - Jeśli zaś chodzi o to, że opowiadałem się za gwałtownymi formami protestu... no cóż, chyba mocno przesadził. Twoja mama i ja nie zawsze mówiliśmy ci całą prawdę, ale to, co ci mówiliśmy, na pewno było znacznie bliższe prawdy niż to, co twierdzi Resdoe.

Ze zdenerwowania ręce miała tak mokre, że musiała mocniej uchwycić słuchawkę, bo powoli wyślizgiwała się jej z dłoni.

- Innymi słowy, okłamywaliście mnie, tak? - spytała ojca. - Zawsze powtarzaliście, żebym kłamała tylko wówczas, gdy jest to absolutnie konieczne, a sami okłamywaliście mnie, choć to wcale nie było konieczne.

- Myszko, kochanie, posłuchaj. Kiedy działałem w AWW, byłem bardzo młodym człowiekiem. Sporo młodszym niż ty teraz. Miałem przyjaciół, którzy zginęli w Wietnamie. Wojna nie była dla mnie czymś odległym i bezosobowym. Tak, w owym czasie wierzyłem, że brutalność wojny usprawiedliwia brutalne formy protestu. Uważaliśmy, że wszystko, co może przyczynić się do wycofania się Amerykanów z Wietnamu, jest słuszne i usprawiedliwione. Głośno wyrażałem swoją opinię w tej sprawie. Jednakże po wybuchu w fabryce napalmu... Chociaż nie miałem z tym nic wspólnego, zdałem sobie sprawę, że w wyniku moich działań ktoś również może zginąć.

Wiedziałem, że gdyby tak się stało, do końca życia bym sobie tego nie wybaczył. Więc wszystko gruntownie przemyślałem, przeanalizowałem swój system wartości i zmieniłem podejście do bardzo wielu spraw. Gdybyśmy nie byli zmuszeni ukrywać się, gdybym nadal aktywnie uczestniczył w życiu organizacji, głosiłbym całkiem co innego niż na początku. Jeśli zaś chodzi o ciebie, to kiedy dorostaś na tyle, że zaczęłaś zadawać pytania, uznaliśmy, że... Cóż, postąpiliśmy najlepiej, jak umieliśmy, i tylko ten jeden szczegół zmieniliśmy.

- Dlaczego później nie powiedzieliście mi całej prawdy? - spytała, drżąc ze zdenerwowania.

- Nie wiedzieliśmy, co by to dało. A baliśmy się, że...

- Że co? Czego się baliście, tato? Że przestanę was kochać?

- Wzruszenie ścisnęło ją za gardło, łzy wezbrały pod powiekami. -

Tato, przecież ja... - Łzy popłynęły jej po policzkach.

Paul z zaniepokojeniem obserwował April przez szybę budki. Przetarła oczy i wzruszyła lekko ramionami, dając mu znać, żeby się nie przejmował.

- Och, Myszko. - Głos ojca załamał się. - Kiedy powiedziałaś nam o Gardinerze i uparłaś się, że chcesz mu towarzyszyć w jego poszukiwaniach, baliśmy się, jak sobie poradzisz w sytuacji, kiedy któryś z waszych rozmówców będzie mówił tak przekonująco, że ty sama nabierzesz podejrzeń.

- Dopiero po długiej chwili dodał: - Zawsze robiliśmy to, co uważaliśmy za słuszne i najlepsze. Najlepsze dla ciebie. Mam nadzieję, że zrozumiesz.

- Tak, tato, rozumiem - rzekła cicho. - Naprawdę rozumiem. - I pomyślała sobie, że na pewno to wszystko pojmie, gdy będzie miała chwilę czasu, by się nad tym dobrze zastanowić. - Ale teraz muszę już kończyć.

- Kochanie, zadzwoń niedługo. Mama będzie się potwornie zamartwiała, dopóki z tobą nie porozmawia.

- Powiedz jej, tato, że nic mi nie jest. Że wszystko w porządku. Odwiesiła słuchawkę i wyszła z budki.

- Dobrze się czujesz? - spytał Paul, ujmując ją delikatnie za ramię.

- Zaraz dojdę do siebie. Chcesz usłyszeć, co ojciec mi powiedział?

- Tak, ale nie w tej chwili. Nie odwracaj się, ale wydaje mi się, że ktoś nas śledzi.

Dopiero po paru sekundach dotarło do niej, co Paul mówi. Już wcześniej była zdenerwowana, a teraz zaczynała popadać w histerię.

- Kręcił się po holu budynku FBI - wyjaśnił Paul. - Wszedł na ulicę tuż po nas. Zwróciłem na niego uwagę, bo bardzo się zdziwił na nasz widok. Sądził, że będziemy się oddalać, a myśmy stali tuż za drzwiami. Kiedy skierowaliśmy się w górę Broadwayu, on również. A kiedy weszłaś do budki, on wszedł do jakiegoś sklepu i ciągle łypie w naszą stronę.

- Co zrobimy?

- Przekonamy się, na kim mu bardziej zależy, a potem postaramy się dowiedzieć, dla kogo pracuje. Rozdzielimy się. Jeżeli gość ruszy za tobą, zaraz go dogonię i dopadnę. Nie pozwolę mu się do ciebie zbliżyć.

- A jeżeli ma broń? - spytała.

Zamiast odpowiedzieć, pocałował ją szybko w czoło.

- No, ruszaj. I nie oglądaj się za siebie - polecił. Kiedy odwrócił się i zaczął oddalać w drugą stronę, April z bijącym sercem ruszyła posłusznie w kierunku, w którym zamierzali razem iść.

Paul minął oszklone drzwi sklepu, z całej siły powstrzymując odruch, aby w nie spojrzeć, i dopiero kilka budynków dalej zatrzymał się, żeby obejrzeć wystawę sklepową. Ukradkiem potoczył wzrokiem w lewo.

April zbliżała się do kolejnej przecznicy. Facet w dżinsach i czarnej bawełnianej koszulce postępował jej śladem. Paul obrócił się i ruszył za nimi; szedł tak szybko, że teczka, którą niósł w ręce, obijała mu się o kolano. Dzieliło ich już tylko kilka metrów, kiedy facet zerknął przez ramię i rzucił się do ucieczki.

Paul pobiegł za nim; pędził ile tchu pomiędzy odskakującymi na bok ludźmi. Minawszy April, facet wbiegł do niedużej kawiarenki. Paul

również wpadł do środka. Rozejrzył się pośpiesznie dookoła; faceta nigdzie nie było.

- Przed chwilą wbiegł tu jeden gość - powiedział do kobiety za ladą. - Nie wie pani, gdzie się podział?

Kobieta wzruszyła ramionami.

- O klucz do męskiej toalety nie prosił - rzekła.

- Gdzie są drzwi na zaplecze? Tam? - spytał Paul, wskazując jakiś korytarzyk.

- Tak, ale nie może pan tam wejść. To teren prywatny... Był w połowie drogi, zanim skończyła mówić. Po chwili wybiegł tylnymi drzwiami na dwór i na szczycie schodów przeciwpożarowych ujrzał faceta w dzinsach. Po chwili facet wdrapał się na dach i zniknął Paulowi z oczu.

Paul ruszył na górę, ale kiedy dotarł na dach, nikogo już tam nie było. Przez chwilę stał, rozglądając się uważnie wkoło. Nie dostrzegł żadnych kryjówek. Przeklinając cicho pod nosem, skierował się z powrotem na ulicę.

Spotkanie z senatorem Nelsonem Harmidarrowem było wyznaczone dopiero na trzecią trzydzieści, mieli więc mnóstwo czasu, by wstąpić gdzieś na lunch.

Kiedy kelnerka przyniosła zamówione dania, April akurat skończyła relacjonować Paulowi rozmowę z ojcem. Zaczęła bawić się jedzeniem, suwać je po talerzu, skubiąc trochę tego, trochę tamtego. Wciąż była zbyt zdenerwowana, aby normalnie jeść. Bez względu na to, ile razy powtarzała sobie w duchu, że rozumie, dlaczego rodzice nigdy nie wyjaśnili jej

wszystkiego do końca, czuła się oszukana i zdradzona. Świadomość, że ojciec, którego całe życie uwielbiała, wręcz stawiała na piedestale.

Wbiła widelec we frytkę. Może potrzebowała więcej czasu, aby wszystko spokojnie przemyśleć. Przypuszczalnie nie byłaby tak przejęta drobnym przemilczeniem prawdy, gdyby nie seria innych niepokojących wydarzeń, które miały miejsce: otrzymaniem taśmy, strzelaniną na ulicy, a teraz tym, że była śledzona.

Tak, znów są śledzeni. A może nie znów, tylko stale, od samego początku? Wszystko jedno. Myśl, że ktoś obserwuje każdy jej krok, przyprawiała ją o ciarki.

- Hej - powiedział Paul, przykrywając ręką jej dłoń. - Na pewno dobrze się czujesz?

Zmusiła się do uśmiechu.

- Jak na kobietę, za którą łązi jakiś typ? - spytała. - I której ojciec przed chwilą przyznał się, że jako młody człowiek zapewne byłby w stanie podkładać bomby? O to ci chodzi?

- Tak. - Odwzajemnił uśmiech. - Właśnie o to mi chodzi. Powiedział jednak, że zapewne byłby w stanie, a nie że podkładał. To zasadnicza różnica.

- Dzięki Bogu - szepnęła, starając się odpędzić od siebie natrętne myśli, że może to też nie do końca jest prawdą. Zaledwie godzinę czy dwie temu mogłaby przysiąc, że ojciec nigdy w życiu jej nie okłamał. A teraz? Skoro okłamał ją w jednej sprawie, może okłamywał i w innych?

Przestań! - zganiała się w duchu. Przecież gdyby był winny, gdyby maczał palce w wybuchu, nie zgodziłby się na rozmowę z Paulem.

- Wiesz co, zostało nam jeszcze sporo czasu przed wizytą u Harmidarowa - zauważył Paul. - Może byśmy wstąpili do mnie na chwilę, co? Sprawdziłbym e-mail. Może kumpel z Kalifornii wygrzebał jakieś informacje na temat Johna Bellavii?

- Dobry pomysł.

Wydawało się mało realne, aby człowiek mieszkający w Kalifornii miał cokolwiek wspólnego z tym wszystkim, co się działo na wschodnim wybrzeżu Stanów, ale ponieważ nic nie trzymało się kupy, to kto wie?

Paul uregulował rachunek i przeszli kilka przecznic do starego, ale porządnie utrzymanego budynku na Franklin Street. Gdy tylko przekroczyli próg mieszkania, wziął April w ramiona i przytulił do siebie.

- Kiedy to się wreszcie skończy - szepnął jej do ucha - obejmę cię i przez miesiąc nigdzie nie puszcę.

- Tylko przez miesiąc? - spytała, opierając policzek na jego piersi. Z całego serca żałowała, że nie spotkali się w innych okolicznościach - w normalnych okolicznościach, jak dwoje zwykłych ludzi. Z całego serca żałowała również, że nie mają takich problemów jak zwykli ludzie. Na przykład, do jakiej restauracji wybrać się na kolację.

- Lepiej włączę komputer i sprawdzę pocztę - rzekł po chwili Paul.

- Tak, lepiej sprawdź.

Ale nie puścił jej. Najpierw złożył na ustach April długi pocałunek, którym jedynie rozbudził w niej tęsknotę, a dopiero potem wziął ją za rękę i poprowadził w głąb mieszkania.

Podobnie jak ona, on też jeden z dwóch mniejszych pokoi używał jako gabinetu. Usiadł przy biurku i włączył komputer, ona zaś zaczęła

rozglądać się po wnętrzu. Zatrzymała wzrok na kilku fotografiach stojących na regale.

Przez moment myślała, że środkowa przedstawia Paula, trzymającego na ramionach jakiegoś małego chłopca. Nagle zdała sobie jednak sprawę, że jest to stare zdjęcie. Ale mężczyzna tak bardzo przypominał Paula...

Odwróciła się i zobaczyła, że się jej przypatruje.

- To ja z ojcem - wyjaśnił.

- Domyśliłam się.

Ze ściśniętym sercem ponownie skupiła się na fotografii. Miał około pięciu lat, gdy stracił ojca; zdjęcie przypuszczalnie wykonano niedługo przed wybuchem. Wyglądał na nim tak radośnie i beztrąsko. Zastanawiała się, czy bardzo później cierpiał. Czy bardzo boli, kiedy jako dziecko traci się ukochanego rodzica?

- A to tata z mamą? - spytała, wskazując na fotografię ślubną.

- Tak. - Spoglądał przez chwilę na zdjęcie, po czym zerknął na jej medalion. - A teraz moja kolej - powiedział. - Wspomniałaś, że w środku masz zdjęcie swoich dziadków.

Usiłowała otworzyć medalion - bez skutku. Więc odpięła łańcuszek i zdjęła go z szyi.

- To dziwne - rzekła, podejmując następną próbę. - Otworzyłam medalion zaraz po tym, jak mama mi go dała, i wszystko było w porządku. Nie zacinał się...

- Daj, może mnie się uda. Miał nie więcej szczęścia od niej.

- To pewnie z powodu dużej wilgotności powietrza. Mógłbym podważyć zameczek nożem...

- Co? Nożem? - Przerazona April wyrwała mu medalion z ręki.

- Nie masz do mnie za grosz zaufania? - spytał, udając obrażonego.

- Jeśli chodzi o naprawę biżuterii, to na pewno nie - odparła. -

Nożem mógłbyś coś uszkodzić. Jeżeli się samo nie naprawi, poproszę o pomoc jubilera.

- Jak sobie życzysz - oznajmił, otwierając na komputerze pocztę. -
Dobra, mamy to, na co czekaliśmy. List od mojego przyjaciela Rossa z Los Angeles.

Kiedy tekst listu pojawił się na ekranie, April podeszła bliżej. Razem zaczęli czytać.

„Hej, ty tam na Wschodnim Wybrzeżu!

Udało mi się wygrzebać całkiem sporo informacji o Johnie Bellavii. Jeśli będziesz potrzebował więcej, daj znać; postaram się jeszcze raz przysiąc fałdów. Na razie wiem, że ma pięćdziesiąt cztery lata oraz niesamowicie wysoki iloraz inteligencji. Mieszka w Malibu i jest potwornie nadziany. Forsem ma dzięki jakimś funduszom powierniczym i spadkom, a nie dzięki własnej pracy”.

- Twój ojciec wspomniał, że Bellavia pochodzi z bardzo bogatej rodziny - mruknął Paul.

„Bo prawdę mówiąc, nie pracuje, a przynajmniej nie pracuje w normalnym sensie tego słowa. Nazywa siebie artystą i od czasu do czasu wystawia swoje dzieła w trzeciorzędnej galerii w Los Angeles - Montigue Gallery. Ponieważ jego obrazy nie przedstawiają żadnej wartości

artystycznej, podejrzewam, że Bellavia płaci właścicielowi galerii, aby je wystawiał. Myślę, że ten nawet nie liczy na prowizję ze sprzedanych obrazów.

Dobra, teraz przechodzimy do ciekawszych rzeczy. Od lat Bellavia znajduje się pod opieką psychiatryczną. Podobno wykazuje zdecydowane skłonności psychopatyczne, więc nie wydaje mi się, aby go można było całkiem wyleczyć, ale raz na jakiś czas, na miesiąc lub dwa, trafia do prywatnej kliniki psychiatrycznej".

- Twój ojciec trafnie go zdiagnozował - powiedział Paul i przesunął na monitorze tekst, tak by jego dalsza część była widoczna. April skinęła głową i ponownie skupiła się na czytaniu.

„Ostatnio Bellavia bierze udział w jakimś programie, który uczy, jak można pomóc samemu sobie. Z poświęceniem graniczącym z fanatyzmem uczestniczy we wszystkich zajęciach. Zachowuje się jak doktor Jekyll i pan Hyde; czasem jest uprzejmy i czarujący, kiedy indziej wygląda jak Jack Nicholson grający wariata. Poza tym nałogowo czyta gazety, dosłownie ma manię na punkcie prasy. Oto lista prenumerowanych gazet: «Time», «Newsweek», «Nation's Business», «L.A. Times», «New York Times»..."

Lista ciągnęła się w nieskończoność, ale oboje utkwili wzrok w jednym tytule.

- Cholera - mruknął pod nosem Paul. - Zobacz, „New York Times".

- I nagle już nie wydaje się takie dziwne, żeby ktoś mieszkający w Kalifornii miał coś wspólnego z tym, co się dzieje w Nowym Jorku - oznajmiła cicho April.

- Absolutnie nie wydaje się dziwne. Zwłaszcza jeśli ten ktoś ma forsy w bród. Może opłacać dziesięciu facetów, żeby śledzili nas na okrągło.

- Ale po co? Pokręcił głową.

- Nie wiem - przyznał. - Spozstrzega ogłoszenie, które dałem do gazety, rozpoznaje twoje nazwisko... Myślisz, że wciąż ma obsesję na punkcie twojej mamy?

- Po tylu latach? Niemożliwe. Chyba że...

- Chyba że jest wariatem? Że znaczną część życia spędza w prywatnej klinice psychiatrycznej?

- Może zbyt pochopnie wyciągamy wnioski? W dodatku niesłuszne? Lepiej doczytajmy do końca list twojego przyjaciela.

April spojrzała na komputer. Paul ponownie przesunął tekst, tak by na monitorze pojawiła się dalsza część korespondencji.

„Najlepszy kąsek - a może raczej powinienem napisać najgorszy - zostawiłem na koniec. Otóż Bellavia lubi naprzykrzać się kobietom. Chodzi za nimi, nie reaguje na ich prośby, aby zostawił je w spokoju...”

- O Boże - szepnęła April.

- Psiakość! Sądziłem, że twój ojciec przesadza - powiedział Paul. - A on mówił prawdę.

„Dzięki adwokatowi, którego zatrudnia, zawsze dotąd udawało mu się uniknąć jakichś poważniejszych problemów. Po prostu ilekroć Bellavia łamie prawo czy ktoś wnosi przeciwko niemu zażalenie, adwokat powołuje się na chorobę psychiczną swojego klienta i - nie mam na to dowodów, ale tak sędzę - wręcza komu trzeba odpowiednią łapówkę. Z tego, co zdołałem ustalić, Bellavia nigdy jeszcze fizycznie nie wyrządził

nikomu krzywdy. Jednakże kilka kobiet wniosło przeciwko niemu skargę, co spowodowało, że sąd wydał mu zakaz zbliżania się do nich.

Zakazy skutkują. Zdaje się, że adwokat przekonał Bellavię, że jeśli zacznie naruszać sądowe postanowienia, może wylądować za kratkami. Ale drań jest piekielnie uparty. Ledwo upływa termin określony w zakazie, a on znów zaczyna łączyć za kobietą, naprzykrzać się jej swoją obecnością. Niektórym od dwudziestu lat siedzi na karku".

- O Boże - szepnęła ponownie April. - Jeżeli innym kobietom narzuca się od dwudziestu lat, to równie dobrze może wciąż mieć obsesję na punkcie mojej mamy.

- Tak, u takiego świra trudno cokolwiek wykluczyć - rzekł Paul i przesunął strzałką tekst; zobaczyli, że dobrnęli do końca.

"No dobra, nowojorczyku. Mam nadzieję, że informacje, które załączam, na coś ci się przydadzą. Jeśli chcesz więcej, daj znać, co konkretnie cię interesuje.

Pozdrawiam, Ross".

- Co o tym myślisz? - spytała April, starając się zignorować niepokój, jaki w niej wzbudził list z Los Angeles opisujący dawnego przyjaciela matki.

- Zastanówmy się. Po kolei. Bellavia prenumeruje „New York Timesa". Widzi ogłoszenie, w którym pojawia się nazwisko Jillian Birmingham.

- Ogłoszenie zamieszczone przez jej brata - przypomniała mu April.

- Zgadza się. Bellavia zakłada, że po zejściu do podziemia twoja matka urodziła drugie dziecko. Jeżeli nadal ma obsesję na punkcie twojej

mamy, wpada na pomysł, żeby dotrzeć do jej dzieci, a poprzez nie do niej samej.

- Nie przesadzasz?

- Nie wiem. Po przeczytaniu listu Rossa uważam, że wszystko jest możliwe. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby Bellavia, zobaczywszy ogłoszenie, wynajął detektywa. Oczywiście detektyw bez trudu potrafiłby się dowiedzieć, kto umieścił ogłoszenie.

- I że wcale nie jesteś moim bratem.

- Sprawdziłby, kim jestem i gdzie pracuję.

- A także - dodała April - że rozmawiałeś z różnymi ludźmi o wybuchu w fabryce napalmu.

- Tak. Potem Bellavia, bez względu na to, czego się o mnie dowiaduje, postanawia mnie śledzić. Filmuje nasze pierwsze spotkanie na lotnisku...

- I wysłała taśmę do Gutteridge'a. Ale po co? - spytała April. — W jakim celu?

- Nie wiem. Poprzednim razem też tu utknęliśmy. Doszliśmy do wniosku, że osoba, która spowodowała wybuch, stoi za sfilmowaniem naszego spotkania, ale nie umieliśmy wymyślić, po co miałyby wysłać taśmę Gutteridge'owi. Może tym sposobem chciała go przekonać, żeby z nami więcej nie rozmawiał?

- A jak się ma nagranie z lotniska do wieczornej strzelaniny na ulicy i do tej drugiej taśmy? Jeżeli Bellavii zależy na odnalezieniu mojej matki, to czy jest winien eksplozji czy nie, nie rozumiem, co chce osiągnąć, napędzając nam strachu?

Paul przeczesał palcami włosy.

- Nie mam zielonego pojęcia - przyznał i spojrzął na zegarek. -

Słuchaj, musimy ruszać na następne spotkanie. Jeśli nam szczęście dopisze, może senator powie coś, co nam otworzy oczy na parę spraw.

- Oby - powiedziała. W głębi duszy za bardzo na to jednak nie liczyła.

Rozmowa z Gutteridge'em i Wayne'em Resdoe tylko na-mieszała jej w głowie. Dlaczego akurat rozmowa z Nelsonem Harmidarrowem miałyby cokolwiek wyjaśnić?

RS

Resdoe i Harmidarrow różnili się od siebie jak dzień od nocy. O ile Wayne Resdoe był cwany, oślizłym typem, o tyle Nelson Harmidarrow sprawiał niezwykle pozytywne wrażenie.

Był w typie aktora Alana Aldy: przystojny, pełen uroku, patrzący człowiekowi prosto w oczy. April wcale się nie dziwiła, że został wybrany do senatu olbrzymią większością głosów. Podejrzewała, że jej też niełatwo będzie pamiętać, iż być może rozmawia z człowiekiem odpowiedzialnym za wybuch oraz za próby zastraszenia jej i Paula.

W ciągu dosłownie paru sekund Harmidarrow sprawił, że poczuli się u niego jak u siebie w domu, a potem szybko przeszedł do tematu spotkania.

- Mój asystent twierdzi, że przygotowuje pan program o wojnie wietnamskiej?

- Część programu - wyjaśnił Paul. - Chcemy jednak poruszyć różne aspekty tego zagadnienia. Z panem, na przykład, chcielibyśmy pomówić o AWV. Przepraszam, czy magnetofon panu nie przeszkadza? - spytał Paul, wyjmując go z teczki.

- Bynajmniej - odparł senator. - Państwo się oczywiście orientują, że byłem związany z AWV tylko do roku 1970? Na temat działalności organizacji w późniejszych latach niewiele wiem.

- Nie szkodzi. Chcielibyśmy usłyszeć o początkach AWV...

Przez kilka minut Harmidarrow opowiadał o powstaniu organizacji. Następnie Paul zadał parę ogólnych pytań, po czym wolno przeszedł do sprawy, o którą tak naprawdę im chodziło.

Na dźwięk słów „fabryka napalmu” senator Harmidarrow jakby leciutko się spał. Przynajmniej takie April odniosła wrażenie.

Nic się nie zmieniło w jego twarzy ani spojrzeniu, jedynie poprawił swój nieskazitelnie czysty i prosto wiszący krawat i odsunął fotel ze dwa lub trzy centymetry od biurka, jakby chciał zwiększyć dystans między sobą a swym rozmówcą.

- To była straszna tragedia - powiedział. - Takich działań ani ja, ani wielu innych członków organizacji absolutnie nie popierało. Właśnie z powodu tego, co się stało, wystąpiłem z AWW.

Paul pokiwał głową.

- Jako jeden z niekwestionowanych przywódców ruchu musiał się pan czuć... Nie wiem, jakie byłoby najwłaściwsze określenie? Może rozczarowany? Zawiedziony? W każdym razie rozumiem, że ktoś, kto wierzy w pokojowe formy protestu, nie chce, żeby jego nazwisko kojarzono z tak haniebnym i brutalnym czynem.

- To prawda. Byłem zawiedziony, zdegustowany, zły. Wydawało mi się, że czynimy postępy, że nasza działalność wreszcie zaczyna odnosić skutek, a z powodu tej eksplozji ludzie zupełnie się od nas odwrócili. Nie twierdzę, broń Boże, że powinni nas w każdej sytuacji popierać - dodał szybko. - Dopuszczono się potwornej zbrodni. Chodzi mi o to, że nagle wszyscy zaczęli nas traktować jak groźnych rebeliantów, anarchistów, podczas gdy wybuchu dokonało najwyżej kilka osób.

- Kilka osób? - spytała szybko April.

Kiedy Harmidarrow popatrzył na nią zdziwiony, wiedziała, że musi się jakoś wytłumaczyć.

- Z materiałów, które zdołaliśmy do tej pory zgromadzić, wynika, że za wybuch odpowiedzialny był tylko jeden człowiek - rzekła. - Colin Birmingham.

- W owym czasie FBI wydało takie oświadczenie - dodał Paul.

- Tak, oczywiście. - Nelson Harmidarrow wzruszył ramionami, dając im do zrozumienia, że po prostu ma zbyt wiele spraw na głowie, aby pamiętać wszystkie szczegóły zdarzenia sprzed trzydziestu lat.

- Czy mógłbym panu zadać jedno pytanie prywatnie, nie do wykorzystania w programie? - spytał Paul. - Obiecuję, że pańska odpowiedź pozostanie między nami. Ciekawi mnie pewna rzecz...

- Słucham. - Senator nie sprawiał wrażenia, jakby prośba Paula go wystraszyła, ale April wiedziała, że jest zbyt doświadczonym politykiem, aby wierzyć w słowo dziennikarza - lub kogokolwiek innego.

- Co pan osobiście sądzi o Colinie Birminghamie?

- No cóż... Trudno powiedzieć, żebyśmy w tamtym czasie byli przyjaciółmi. W bardzo wielu rzeczach się nie zgadzaliśmy. On lubił podburzać do walki, uważał, że pokojowe manifestacje nie przynoszą skutku, ja z kolei byłem przeciwny wszelkim formom przemocy. Zawsze jednak podejrzewałem, że Birmingham jest jak piesek, który głośno szczeka, ale nie gryzie.

- A zatem istnieje szansa, że to nie on jest słynnym Napalmowcem? - spytał Paul.

April wstrzymała oddech, po czym widząc, jak senator wolno kręci głową, wypuściła powietrze.

- Sądzę, że niewielka - odparł Harmidarrow. - FBI rzadko się myli.

Miała ochotę zaprotestować, lecz powstrzymała się. Uświadomiła sobie bowiem, że człowiek, który jest senatorem, nie skrytykuje w rozmowie z dziennikarzem agentów federalnych, bez względu na to, jak naprawdę ocenia skuteczność ich działań. Kiedy spojrzała na Paula, zastanawiając się, o co dalej zamierza pytać, wyczuła, że ma jakiś plan.

- Kiedy przed chwilą powiedział pan, że wybuchu dokonało najwyżej kilka osób, wystraszyłem się, że może mamy niedokładne informacje. Jeżeli to panu nie przeszkadza, chciałbym zadać parę pytań właśnie dotyczących wybuchu, żeby upewnić się, czy to, co wiemy, pokrywa się z prawdą. W NBS bardzo nie lubią, kiedy w reportażu trafiają się pomyłki.

- Proszę, niech pan pyta - zgodził się senator; tym razem znowu był lekko spięty. - Ale uprzedzam, że może być pan zawiedziony, bo nie znam wszystkich szczegółów.

- W porządku. A więc o ile zdołałem się zorientować, nikt w organizacji nie wiedział, co Colin Birmingham planuje. To znaczy, nikt z przywódców, z liczących się członków AWW, mających posłuch wśród reszty. Natomiast w wieczór poprzedzający wybuch Birmingham wyjawiał swoje plany dwóm facetom... - Paul zerknął pośpiesznie do notesu, przewrócił kilka kartek, potem ponownie spojrzał na senatora. - Tomowi Walkerowi i Kenowi Gutteridge'owi. Pił z nimi i najzwyczajniej w świecie się wygadał. To właśnie oni podali federalnym jego nazwisko.

- To prawda - przyznał Harmidarrow. - Wtedy jednak mało kto o tym wiedział. Czy można spytać, od kogo pan zdobył tę informację?

- Przykro mi, nie mogę ujawniać swych źródeł - odparł Paul. - W przeciwnym razie nikt by nie chciał ze mną rozmawiać. Pan, o ile mi wiadomo, był wśród tych, którzy wiedzieli o Walkerze i Gutteridge'u?

Senator skinął głową.

- Tak, przyszli do mnie nazajutrz po wybuchu i powiedzieli o wszystkim. Prawdę mówiąc, chcieli mojej rady, czy mają iść z tym do FBI, czy nie.

- Skoro w wybuchu zginęło siedem osób, chyba nie powinni mieć wątpliwości - oznajmił Paul.

- W innych okolicznościach nie mieliby - rzekł Harmidarrow. - Ale proszę pamiętać, jakie to były czasy. Podobnie jak większość ludzi w organizacjach antywojennych, Walker z Gutteridge'em uważali federalnych za wrogów. Poza tym nie podobał im się pomysł, żeby donosić na kolegę. Z drugiej strony zdawali sobie sprawę, że biorąc pod uwagę rozmiary tragedii... że, co tu dużo mówić, znaleźliby się w sytuacji nie do pozazdroszczenia, gdyby FBI dowiedziało się, że zataili tego typu informację.

- Ciekawe, dlaczego nie przyszli do pana przed wybuchem - wtrąciła April. - Przecież gdyby powiedzieli panu o zamiarach Birminghama, pan by go powstrzymał, prawda?

- Zrobiłbym wszystko, żeby zapobiec tragedii, ale... -Senator urwał i popatrzył uważnie na April. - Wie pani, to bardzo dobre pytanie. Zawsze

się nad tym zastanawiałem. Dlaczego nie przyszli wtedy, kiedy jeszcze był czas, żeby powstrzymać Birminghama.

- I jak pan myśli, dlaczego? - spytał Paul.

- Trochę zboczyliśmy z tematu, nie sądzi pan? Zresztą moje przypuszczenia i spekulacje, zwłaszcza po tylu latach, nie mają większego znaczenia. Wkrótce po wybuchu, kiedy kurz i emocje opadły, wybrałem się na rozmowę do FBI. Podzieliłem się moimi spostrzeżeniami i przemyśleniami. Jestem pewien, że FBI wzięło je pod uwagę...

April poczuła, jak serce jej wali. A więc senator Harmidarrow miał jakieś przypuszczenia i spekulacje na temat wybuchu, którymi podzielił się z agentami FBI? Wiele by dała, by je poznać, ale wiedziała, że nie ma na co liczyć.

Ledwo drzwi gabinetu się za nimi zamknęły, kiedy spojrzała na Paula i spytała:

- No i co?

- Chyba coś mamy - powiedział ostrożnie. Widząc w jej oczach wyraz napięcia i oczekiwania, bał się jednak, aby za wiele sobie nie obiecywała po spotkaniu z senatorem.

- Chodzi ci o to, że Harmidarrow poszedł porozmawiać z federalnymi?

Skinął głową, a wtedy ona uśmiechnęła się radośnie. Otoczył ją ramieniem. Miała tak cudowny uśmiech, a tak rzadko go pokazywała.

- Sądziłam, że to może być ważne - powiedziała April - ale z drugiej strony bałam się pokładać w tym zbyt dużą nadzieję.

- Nie łudźmy się, że znajdziemy rozwiązanie, ale... Cokolwiek Harmidarrow im powiedział, na pewno okaże się dla nas bardzo ciekawe.

- Myślisz, że uda nam się do tego dotrzeć? Do jakichś protokołów?

- Przy odrobinie szczęścia.

Kiedy wyszli z budynku, Paul wyjął z kieszeni telefon komórkowy i wystukał numer.

- Ze Steve'em Johnstonem proszę - powiedział. - Mówi Paul Gardiner.

- To ten twój znajomy agent? - spytała szeptem. Akurat zdążył potwierdzić, kiedy w słuchawce rozległ się głos Steve'a. Przywitali się, po czym Paul oznajmił:

- Dzwonię by uprzedzić cię o drobnej zmianie planów. W pokera gramy dziś u mnie.

- Dobra. Pora ta sama?

- Tak.

- W porządku. Do zobaczenia.

- W pokera? - zdumiała się April, kiedy zakończył rozmowę.

- To nasz kod. Oznacza, że Steve ma zadzwonić do mnie z budki.

Wątpię, żeby w całym FBI znalazła się choć jedna czysta linia.

Budynek, w którym mieścił się gabinet Harmidarrowa, stał niedaleko parku; od sprzedawcy ulicznego kupili sznurek precli i przeszli kawałek po Central Park South, zanim Steve oddzwonił.

- Co jest?- spytał.

- Tym razem chodzi o coś bardzo ważnego - odparł Paul i dodał ostrzegawczo: - Oczywiście zależy mi na twojej pełnej dyskrecji. - Nagle

dojrzał coraz bardziej zaniepokojoną minę April. - Steve jest w porządku - zapewnił ją szybko, przykrywając ręką mikrofon. - Możemy mu ufać.

- O jak ważnego? - spytał Steve.

- Nie wiem, czy pamiętasz, ale jakiś czas temu podałeś mi nazwiska dwóch facetów, którzy nadali FBI Colina Birminghama?

- Pamiętam.

- Otóż jeden z nich przyznał się, że wtedy przed trzydziestu laty skłamał. Że Birmingham wcale nie podłożył bomby.

W słuchawce na moment zaległa cisza. Wreszcie Steve spytał:

- Czy twoim zdaniem gość jest wiarygodny?

- Chyba tak. Zacząłem sprawdzać fakty i powoli nabieram coraz większego przekonania, że Birmingham istotnie nie miał z tym nic wspólnego. Potrzebuję jednak informacji, które znajdują się w waszych archiwach.

- Jakich?

- Nie jestem pewien. Właśnie się dowiedziałem, że wkrótce po wybuchu Nelson Harmidarow przyszedł do was na rozmowę. Wydaje mi się, że mógł powiedzieć coś ważnego, na co w owym czasie nie zwrócono większej uwagi. Rzecz w tym, że sam nie wiem co. Myślisz, że mógłbym przejrzeć jakieś notatki czy protokół z tego spotkania?

Tym razem w słuchawce nastąpiła jeszcze dłuższa cisza.

- Byłoby to dość ryzykowne...

Paul odetchnął z ulgą; przynajmniej Steve nie odmówił wprost.

- Słuchaj, wiem, że to niecodzienna prośba, ale naprawdę wydaje mi się, że jestem na tropie czegoś bardzo, bardzo ważnego. Jeżeli potwierdzą

się moje podejrzenia, że Birmingham jest niewinny, poproszę cię, żebyś oficjalnie zajął się tą sprawą. Cholera, Steve, jeśli okaże się, że mamy rację, zyskasz sławę najlepszego agenta w całym FBI!

- No dobra, stary, zobaczę, co się da zrobić.

Paul odetchnął z ulgą- Przez moment bał się, czy nie prosi o zbyt wiele.

- Wpadnij do mnie koło siódmej - dodał Steve. - O tej porze powinno być tu w miarę pusto. Uprzedzę strażnika, żeby cię wpuścił.

- Dzięki.

- Do zobaczenia wieczorem.

- Paul, co to znaczy, „żebyś oficjalnie zajął się tą sprawą”? - spytała April, kiedy schował telefon do kieszeni. -Mój ojciec chyba dostał zawału, gdyby...

- Uspokój się. To wszystko nie jest takie proste. Jeżeli znajdziemy dowody, które umożliwią twoim rodzicom powrót do normalnego życia, potrzebny nam będzie ktoś, kto wynegocjuje warunki. Ktoś godny zaufania, kto nie będzie próbował jakichś sztuczek. Pokiwała wolno głową.

- Pewnie masz rację. Po prostu całe życie utożsamiałam agentów federalnych z wrogiem. Trudno mi się nagle przestawić.

- Steve'a nie musisz się obawiać. Znam go kopę lat. To naprawdę porządny facet.

- Może kiedy go poznam, poczuję się lepiej. O której jesteście z nim umówieni?

- O siódmej. Tyle że ja sam.

- Ale...

- April, zrozum. Wyciągając stare akta z archiwum, żebym mógł je zobaczyć, Steve wyświadcza mi ogromną przysługę. Gdyby ktokolwiek go na tym przyłapał... Facet ryzykuje. Nie mogę wparować do niego z kimś, kogo on nie zna.

- Ale...

Wiedział, o co jej chodzi, niemal czytał w jej myślach. Wprawdzie rozumiała jego zastrzeżenia, całym sercem jednak pragnęła być obecna przy spotkaniu.

Zastanawiał się dlaczego. Bo chciała obejrzeć akta na własne oczy? Bo jemu wciąż nie ufała?

Wpuścił wolno powietrze, powtarzając sobie w myślach, że od dzieciństwa uczono ją, by nikomu nie wierzyła. Ale, psiakość, przecież wie, co on do niej czuje. A wiedząc to, powinna również zdawać sobie sprawę, że nigdy by jej nie oszukał.

- Słuchaj, wpadnę do ciebie prosto od Steve'a i dokładnie ci o wszystkim opowiem - obiecał.

- Dobrze - zgodziła się April, lecz minę nadal miała niezbyt szczęśliwą. - Będę trzymać kciuki, żebyś znalazł coś ciekawego.

Czekała na Paula już od siódmej trzydzieści, chociaż dobrze wiedziała, że u Steve'a Johnstona spędzi sporo czasu. Chyba że protokół z rozmowy z Harmidarrowem okaże się krótki i pobieżnie sporządzony, ale w takim wypadku Paul nic istotnego w nim nie wyczyta.

Wreszcie, trochę po dziewiątej, spostrzegła na ulicy jego dżipa. Znalazłszy miejsce do parkowania, wysiadł i ruszył w stronę jej budynku.

Stała w oknie, obserwując go z góry i zastanawiając się, czego się dowiedział.

Kiedy zbliżał się do klatki szybkim, zdecydowanym krokiem, pomyślała sobie, że sprawia wrażenie niezwykle pewnego siebie. Z drugiej strony zawsze chodził w ten sposób - rażno, żwawo.

Nacisnęła przycisk domofonu otwierający drzwi na dole, po czym wyszła z mieszkania i skierowała się ku schodom, zbyt niecierpliwa, aby czekać w środku.

- Proszę, proszę, co za miła niespodzianka! - zawołał na jej widok Paul, pokonując po dwa stopnie naraz.

- Po prostu byłam w okolicy...

Przytulił ją do siebie i pocałował tak mocno i żarliwie, że w innych okolicznościach zapomniałaby o bożym świecie.

W innych okolicznościach - ale w tych okolicznościach myślała tylko o jednym. Zdołała jednak poskromić swoją ciekawość, dopóki nie weszli do mieszkania.

- I co? - spytała, zamykając drzwi.

- Co co? - Popatrzył na nią, jakby nie miał najmniejszego pojęcia, o co jej chodzi. - Ach tak! Pewnie chcesz wiedzieć o mojej wizycie u Steve'a?

- Niekoniecznie, ale... Wyszczrzył zęby.

- No dobra. Siadaj i słuchaj. Harmidarrow powiedział agentom, że absolutnie nie wierzy w to, żeby twój ojciec mógł podłożyć ładunek wybuchowy.

- Co takiego? - wyszeptała. Kolana się pod nią ugięły. - Przecież kiedy spytałam go, czy istnieje szansa, że to nie tata jest słynnym Napalmowcem, Harmidarrow...

- Dał ci poprawną politycznie odpowiedź, że FBI rzadko się myli. Ale wtedy, zanim jeszcze został senatorem, widocznie uznał, że jednak popełnili błąd. I wiesz, na kogo wskazał? Kogo on sam podejrzewał o spowodowanie wybuchu?

- Wayne'a Resdoe?

- Nie, ale idziesz dobrym tropem. Powiedział agentom, żeby dokładnie sprawdzili, co tego dnia robił John Bellavia.

- Serio? - Opadła na kanapę. Nie chciała robić sobie nadziei, żeby się potem nie rozczarować. Ale jeżeli zarówno Harmidarrow, jak i jej ojciec podejrzewali Johna Bellavię...

- Słuchaj - powiedział Paul, siadając przy niej i ściskając jej dłoń. - Muszę ci coś wyjawić. Coś, z czego nie będziesz zadowolona.

- Co takiego?

- Powiedziałem Steve'owi, że cię poznałem i że utrzymujesz kontakt z rodzicami. Że dzięki tobie miałem możliwość porozmawiania z twoim ojcem.

- Och, Paul. Nie lubię, żeby obcy ludzie za dużo o mnie wiedzieli.

- Wiem. I nie mówiłbym nic Steve'owi, gdybym nie był pewien, że zachowa to dla siebie.

- Masz stuprocentową pewność?

- Tak - potwierdził. - Nieraz mu zaufałem i nigdy mnie nie zawiódł. Kiedy przyszedłem, okazało się, że przejrzał już protokół z wizyty

Harmidarrows. Protokół na tyle go zafascynował, że postanowił przejrzeć również inne dokumenty dotyczące sprawy, a one jeszcze bardziej go zainteresowały. Zaczął mi opowiadać rzeczy, do których sam nie mam dostępu i na które bym nie wpadł. Uznałem, że warto odpłacić mu się szczerością. Zdałem mu więc relację ze wszystkiego, co robiliśmy i co odkryliśmy...

- Chwileczkę - przerwała April zaniepokojona. - Ze wszystkiego? Czyli wyjawiałeś mu również, kto figuruje na liście podejrzanych mojego ojca i co on ci o nich powiedział?

Kiedy skinął głową, szybko ugryzła się w język. Uważała, że popełnił błąd. Ale trudno, stało się; nie ma sensu krytykować go po fakcie, bo wiedziała, że nic krytyką nie osiągnie.

Nie potrafiła jednak ukryć swoich emocji. Niepokój w jej oczach był aż nadto widoczny.

- Nie przejmuj się - rzekł Paul. - Naprawdę wszystko będzie dobrze. Tylko w ten sposób do czegoś się dochodzi. Dzieląc się informacjami, obydwaj mamy teraz znacznie lepszy i pełniejszy obraz sytuacji.

- Może i tak - przyznała niechętnie. Jeżeli istotnie mają teraz lepszy i pełniejszy obraz sytuacji, może rozmowa ze Steve'em nie była wcale pomyłką. - Co twój przyjaciel sądzi o naszej liście podejrzanych?

- Wydaje mu się niemożliwe, żeby Harmidarrows miał z tym coś wspólnego - odparł. - Jeśli zaś chodzi o Resdoe... No cóż, Steve znalazł się w trochę niezręcznym położeniu. Wiem, że tak samo jak ja nie lubi faceta, ale nie za bardzo mu wypada rzucać oskarżenia pod adresem kolegi po fachu.

- Ale całkiem go nie wykluczył?

- Chyba nie. Prawdę rzekłszy, niewiele mówił na ten temat.

Wspomniał jedynie, że jeżeli Resdoe nie należał do FBI w 1970 roku, to wtedy spekulacje twojego ojca dotyczące jego udziału w wybuchu nie trzymałyby się kupy.

- A jeżeli był wtyczką? Jeżeli penetrował środowisko? Paul wzruszył ramionami.

- O tym się nie wypowiadał. Nie bardzo mógł przyznać, że może Resdoe był agentem wcześniej, niż na to wskazują oficjalne dokumenty. Głównie rozmawialiśmy o oświadczeniu, jakie Harmidarrow złożył. Chcesz znać szczegóły?

- Tak. Niczego nie pomijaj.

- Dobra. Harmidarrow przyszedł do FBI, ponieważ poddawał w wątpliwość to, co powiedzieli Walker i Gutteridge. Mianowicie twierdzili oni, że twój ojciec zaplanował wybuch i że działał w pojedynkę, Harmidarrow zaś uważał, że to niemożliwe. Jego zdaniem albo w sprawę wybuchu było zamieszane kilka osób, albo FBI powinno szukać kogoś całkiem innego, ponieważ twój ojciec nie miał wystarczających umiejętności, żeby skonstruować bombę, a tym bardziej ustawić mechanizm zegarowy na opóźniony zapłon.

- Ale... - Urwała; dziesiątki różnych myśli cisnęły się jej do głowy.

Rozmawiali o tym, dlaczego jej ojciec nie mógł być winny - nie zamierzała się z tym sprzeczać. Wierzyła w jego niewinność, z drugiej strony chyba mogła powiedzieć Paulowi, co jej leży na sercu; na pewno sam dokładnie pamięta tamtą rozmowę telefoniczną...

- Przecież tata mówił, że ładunki, jakich wtedy używali, łatwo było skonstruować.

- To prawda - przyznał Paul. - W większości były dziecinnie proste. Ale bomba, która wybuchła w fabryce napalmu, nie należała do łatwych w konstrukcji, zaś mechanizm zegarowy był piekielnie skomplikowany. Nie wymyśliłby go jakiś amator.

- A mój ojciec uchodził za amatora?

- W oczach FBI tak. A jednocześnie potraktowali go jak zawodowca. Moim zdaniem, właśnie tu tkwi błąd.

Nie rób sobie zbyt wielkich nadziei, jeszcze za wcześnie, powtarzała w myślach April. A jednak wreszcie sprawy zaczynały przybierać bardziej optymistyczny obrót.

- FBI nie podało do prasy żadnych konkretnych informacji o rodzaju bomby...

- Więc skąd Harmidarrow wiedział, że zastosowano bardziej skomplikowany typ, którego mój ojciec nie byłby w stanie skonstruować?

- Dobre pytanie. Przeglądając akta, Steve nie znalazł na nie odpowiedzi. Ma jednak dość wiarygodnie brzmiącą teorię na ten temat. Natychmiast po wybuchu federalni godzinami przesłuchiwali Harmidarrowa, ponieważ zaliczał się do grona przywódców AWW. Któryś z przesłuchujących go agentów mógł niechcący zdradzić jakiś szczegół. Senator jest bystry, więc bez trudu połapał się w czym rzecz.

- No tak, faktycznie mogło tak być. Ale wiesz co? Słuchając ciebie, nagle uświadomiłam sobie, że przestaliśmy traktować Harmidarrowa jak

potencjalnego zamachowca. Myślisz, że możemy go skreślić z listy podejrzanych?

- Tak jak mówiłem, Steve nie sądzi, żeby Harmidarrow maczał w tym palce. Po pierwsze miał alibi na całe popołudnie. Oczywiście, alibi nie świadczy o tym, że nie uczestniczył w planowaniu zamachu, ale jaką miałby motywację? Zawsze był gorącym przeciwnikiem stosowania jakichkolwiek form przemocy. Zresztą gdyby brał udział w podkładaniu bomby, nie polazłby potem do federalnych i nie gadał im, żeby szukali dalej, bo chyba Birmingham tego nie zrobił.

- Tak, rzeczywiście. Siedziałby cicho jak mysz pod miotłą i zacierał z uciechy ręce.

- Właśnie. Pomyślałem sobie, że twój ojciec umieścił go na liście podejrzanych tylko z jednego powodu: ponieważ Harmidarrow zwykle zawczasu wiedział o wszystkich przygotowywanych protestach.

- Zwykle, ale nie zawsze, i niekoniecznie o wszystkich - rzekła wolno April.

- Tak. I jeśli wybuch w fabryce napalmu był, jak to Resdoe określił, dziełem jednego człowieka...

- On jednak twierdził, że był dziełem mojego ojca, więc nie powinniśmy przykładać zbyt dużej wagi do jego słów.

- Nie przykładam. Ale wróćmy do Harmidarrowsa. Po pierwsze, uważał twojego ojca za amatora, który nie byłby w stanie skonstruować tak skomplikowanej bomby, a po drugie, podejrzewał Johna Bellavię.

- A Bellavia nie był amatorem, jeśli chodzi o bomby? Umiałby skonstruować taką jak ta, która wysadziła fabrykę w powietrze?

- Podobno tak.
- Czy Harmidarrow miał jakieś dowody?
- Niekonkretnego.
- W takim razie...

Oboje wiedzieli, że skoro nie ma dowodów wskazujących na winę kogoś innego, nadal znajdują się w tym samym punkcie co przedtem.

- Podczas wizyty w FBI Harmidarrow powiedział jednak coś ciekawego - kontynuował po chwili Paul. - Otóż wkrótce po wybuchu przyszedł do niego Bellavia, chcąc porozmawiać o hipotetycznej sytuacji. Sytuacja przedstawiała się następująco: jakiś jego znajomy popełnił morderstwo, a policja oskarżyła o zbrodnię kogoś innego.

- Albo może raczej ów hipotetyczny znajomy popełnił siedem morderstw?

- Właśnie. Czyli Harmidarrow, który nie bardzo wierzył w winę twojego ojca, nagle miał radzić Bellavii, czy ów hipotetyczny morderca powinien zgłosić się na policję i przyznać do wszystkiego.

- Harmidarrow oczywiście poradził mu, żeby wyznał prawdę?

- Oczywiście. Jeżeli jednak Bellavia mówił o sobie i o wybuchu w fabryce napalmu, najwidoczniej postanowił nie zastosować się do rady senatora.

April pokręciła wolno głową. Mieli coraz więcej informacji, ale im więcej poznawali faktów, tym mniej wszystko pojmowała.

- Coś mi w tym przeszkadza - wyznała w końcu. - Odnoszę wrażenie, jakby Harmidarrow był jakimś spowiednikiem. Najpierw, dzień po wybuchu, przychodzą do niego po radę Walker z Gutteridge'em. Kilka dni

później zjawia się Bellavia, żeby omówić hipotetyczną sytuację i prosić o radę. Nie wydaje ci się to dziwne?

- Bo ja wiem? Jest to typ człowieka, który wzbudza zaufanie, więc może ludzie istotnie przychodzą mu się zwierzać. A może...

- Co?

Wzruszył ramionami.

- To czyste spekulacje, nie mam dowodów na ich poparcie. Ale tak sobie pomyślałem, że może przed zgłoszeniem się do FBI Walker i Gutteridge chcieli na kimś przetestować swoją wersję?

- To znaczy?

- Sprawdzić, na ile jest wiarygodna. Może gdyby Harmidarrow ich wyśmiał, nie poszliby do FBI. Ale on dopiero po rozmowie z Bellavią nabrał przekonania, że to nie twój ojciec jest winien. Poza tym jeżeli Walker z Gutteridge'em faktycznie chcieli jedynie przetestować swoją wersję, to by tłumaczyło, dlaczego nie przyszli do Harmidarrowa, kiedy tylko się dowiedzieli o planach twojego ojca. Mieliby przecież czas, żeby zapobiec tragedii.

April zadumała się nad słowami Paula.

- A może - rzekła po chwili - powinniśmy jeszcze raz pogadać z Walkerem? Powiedzieć mu, że wiemy od senatora, że przyszli do niego po radę? Może po jego reakcji zdołamy wyciągnąć jakieś wnioski?

- Dobry pomysł - przyznał Paul. - Zaraz spróbuję się z nim skontaktować.

Czekała niecierpliwie, podczas gdy wertował notes, szukając numeru telefonu. Wreszcie go znalazł.

- Chciałem mówić z Tomem Walkerem - powiedział do słuchawki.
Przez dłuższą chwilę milczał, po czym oznajmił: - Bardzo mi przykro.
Proszę przekazać kondolencje jego rodzinie. .. To była siostrzenica
Walkera - wyjaśnił, patrząc na April. - Walker zmarł wczoraj wieczorem.

RS

- O Boże!- szepnęła. Wciąż miała przed oczami obraz chudego, kruchej staruszka, jakiego zastała w Bridgeport w stanie Connecticut. Pomimo kłamstwa, jakiego się dopuścił, a które zaważyło na losie jej ojca, współczuła mu z powodu bólu i strasznego cierpienia.

- Czyli wizyta u Walkera odpada - powiedział Paul. -Do Gutteridge'a nie ma sensu dzwonić. Na sam dźwięk mojego głosu pewnie by rzucił słuchawkę. Dobra, zastanówmy się, co dalej. Moim zdaniem chyba możemy skreślić Harmidarrowsa z listy. Jak sądzisz?

April skinęła głową. Nie chciała zbyt pochopnie podejmować jakichkolwiek decyzji, ale szansa, by senator miał coś wspólnego z wybuchem, rzeczywiście była znikoma.

- W porządku - ciągnął Paul. - Załóżmy, że senator o wszystkim dowiedział się dopiero po fakcie. Zresztą później też nie miał stuprocentowej pewności, kto stoi za wybuchem. Podejrzał jednak Bellavię i te podejrzenia były na tyle silne, że wspomniał o nich federalnym.

- A oni co na to?

- Sprawdzili Bellavię. Ustalili, że tego dnia nie miał żadnego alibi, ale...

- Nie miał alibi, potrafił zaś konstruować skomplikowane bomby. Nie wydało im się to podejrzane?

- Bellavia był typem samotnika. Pewnie na większość dni w roku nie miałby alibi. Przesłuchali go i puścili.

- Przesłuchali i puścili? Paul, to mi się nie mieści w głowie. Harmidarrow mówi im, że mój ojciec nie mógł skonstruować takiej bomby, że potrafiłby ją skonstruować Bella-via, a oni przesłuchują go i puszczają?

- Mieli klapki na oczach. Dwóch świadków gotowych było zeznać w sądzie, co im powiedział Colin Birmingham, mianowicie, że zamierza wysadzić w powietrze fabrykę napalmu, a potem nagle twój ojciec się ukrył. Dla nich to było jednoznaczne z przyznaniem się do winy. Nie bez znaczenia był również fakt, że Bellavia pochodzi z bardzo zamożnej rodziny. Gdyby federalni go oskarżyli, mieliby przeciwko sobie zespół najlepszych na świecie i najdroższych adwokatów. Czytając między wierszami, Steve i ja doszliśmy do wniosku, że FBI nie chciało komplikacji, po prostu wolało trzymać się z daleka od Bellavii i jego rodziny.

April westchnęła sfrustrowana.

- No pewnie. Po co komu komplikacje, po co komu prawda, skoro bez trudu można oskarżyć niewinnego człowieka?

Paul objął ją i przytulił do siebie, ale jego bliskość tylko w nieznacznym stopniu poprawiła jej humor. Sytuacja wydawała się beznadziejna. Eksplozja miała miejsce tak dawno temu, że wiele fragmentów łamigłówki było teraz praktycznie nie do odnalezienia.

- Posunęliśmy się sporo dalej, niż myślisz - rzekł Paul, uściskiem próbując dodać jej otuchy.

Wiedziała, że ma dobre chęci, ale oczekiwała czegoś więcej: jakiegoś pomysłu, planu, co dalej robić.

- No dobrze, i co teraz? - spytała. - Lecimy do Kalifornii na spotkanie z Bellavią?

- Nie. Wizyta u niego to kiepski pomysł.

- Dlaczego? - zdziwiła się April. - Z trójki podejrzanych tylko z nim nie rozmawialiśmy, a wszystko wskazuje na jego winę.

- Tak, ale jeśli to on stoi za wybuchem i jeśli te kasety są jego dziełem, to kiedy nas zobaczy, od razu będzie wiedział, z lam ma do czynienia.

- Tak jak Gutteridge - powiedziała April; doskonale pamiętała to nieprzyjemne uczucie, które ją ogarnęło, kiedy rozpoznał ją, zanim zdążyła mu się przedstawić.

- Właśnie. I tak jak Gutteridge powie nam to, co sam zechce i nic ponadto. W dodatku...

- Co w dodatku?

Zmienił nieco pozycję na kanapie, tak by mógł przytulić April jeszcze mocniej.

- Nie zapominajmy jednak, że to psychopata, który nęka kobiety, który, być może, nadal ma obsesję na punkcie twojej matki. A na podstawie starych filmów, które widziałem, wiem, że jesteś do niej bardzo podobna. Jeżeli więc Bellavia...

- Tak, rozumiem - szepnęła; jej ciałem wstrząsnął dreszcz.

- Nawet jeśli obsesja dawno mu minęła, a istotnie jest Napalmowcem, to nie będzie chciał, żeby ktokolwiek odgadł prawdę. Byłoby szaleństwem, gdybyś próbowała się do niego zbliżyć.

- Z twojej wizyty też by się nie ucieszył - rzekła. - Lepiej oboje trzymajmy się od niego z daleka. Hm, ale co nam wobec tego zostaje?

- Steve ma sugestię.

- No? - spytała, wciąż niezadowolona, że w sprawę wmieszany jest agent FBI.

- Pewnie niezbyt ci się spodoba.

- W ogóle niewiele mi się podoba, odkąd przeczytałam twoje ogłoszenie w „New York Timesie”. Pomijając oczywiście samego ogłoszeniodawcę - dodała. - Więc jedna rzecz więcej, jedna mniej...

- No dobrze, słuchaj. Podobnie jak ja, Steve uważa, że dowody przeciwko twemu ojcu są mało przekonujące i łatwe do podważenia. Sądzi, że jeżeli Walker z Gutteridge'em faktycznie skłamali, istnieje duże prawdopodobieństwo, że winny jest Bellavia.

- Serio?

- Tak. Chciałby więc na nowo wszcząć postępowanie w sprawie wybuchu. Sądzi też, że bez trudu mógłby uzyskać zgodę swojego szefa.

- Serio? - powtórzyła zdumiona. Usiłowała się skupić, szybko przeanalizować wszystkie za i przeciw.

Paul uśmiechnął się.

- Tak, serio. To by znaczyło, że albo on sam, albo ktoś z powołanego zespołu mógłby polecieć do Kalifornii i przesłuchać Bellavię. Zacząć na

nowo rozmawiać z byłymi członkami AWW, szukać jakichś wskazówek, dowodów...

April miała mieszane uczucia. Chciała, żeby ojciec został oczyszczony z zarzutów, ale bała się FBI. Co innego dziennikarz badający sprawę wybuchu, na to ojciec jeszcze mógł przystać, a co innego grupa agentów...

Ale na razie nie było sensu zastanawiać się nad jego reakcją. Na to przyjdzie czas później. Na razie sama powinna dokładnie przemyśleć sugestię Steve'a Johnstona. Może nic się za tym nie kryło, może był porządnym facetem, a ona odnosiła się do niego podejrzliwie, bo od dzieciństwa nauczono ją, że żadnemu agentowi FBI nie należy ufać.

- A co z Wayne'em Resdoe? - spytała. - Co jeśli Bella-via wcale nie podłożył bomby? Co jeśli to był ktoś od nich? Z FBI? Sam mówiłeś, że Steve w ogóle nie chciał o tym rozmawiać.

- Chyba nie tak to ująłem, ale mniejsza. Jestem przekonany, że jeśli sprawcą eksplozji okaże się Resdoe, Steve nie przymknie na to oczu. Na pewno postąpi jak należy, nawet gdyby miał wsadzić do paki kolegę z biura. W każdym razie ty i ja moglibyśmy się wycofać - ciągnął Paul. - To niebezpieczna gra. Kiedy wspomniałem Steve'owi o naszych dziwnych przygodach...

- Co on na to? - spytała, choć prawdę mówiąc, wolałaby nie wiedzieć.

- Że mamy szczęście, że żyjemy. Radził, żebyśmy na kilka dni wynieśli się z miasta, dopóki sprawa nie zostanie oficjalnie wznowiona. Wtedy... Ale już o tym mówiliśmy. Ten, kto stoi za kasetami i strzelaniną,

uświadomi sobie, że ty i ja jesteśmy w tym wszystkim najmniej ważni. Poza tym działania FBI są tysiąc razy bardziej skuteczne od naszych nieudolnych prób dotarcia do prawdy. Jesteśmy przecież parą amatorów i...

- Reporter, który często zajmuje się sprawami kryminalnymi, nie jest aż takim amatorem - rzekła, wciąż podejrzewając, że coś się za tym musi kryć, że musi być jakiś haczyk.

- Owszem, ale daleko mi do agenta specjalnego.

- Cała horda agentów specjalnych nie za bardzo się spisała za pierwszym razem.

Paul uśmiechnął się.

- To prawda, ale teraz wszystkim kierowałby Steve, a nie jakiś facet z klapkami na oczach, który twardo się trzyma raz obranego kursu. Jeśli Steve'owi uda się dojść do prawdy, my też na tym skorzystamy; twój ojciec zostanie oczyszczony z zarzutów, a ja się dowiem, kto zabił mojego.

April pokiwała głową. Jeszcze kilka dni temu nie chciałyby mieć z FBI nic wspólnego, wprost nie mogłyby sobie tego wyobrazić. Teraz widziała, że miałyby to pewne dobre strony.

Już wcześniej, zanim Paul wspomniał o sugestii Steve'a, zdała sobie sprawę, że muszą się wycofać, zaprzestać śledztwa na własną rękę; jeśli tego nie zrobią, wkrótce mogą zginąć. Tylko gdyby się przedtem wycofali, wszystko byłoby po staremu, a to jej nie bardzo odpowiadało. Teraz zaś mogli przekazać pałeczkę Steve'owi. Może było to rozsądne wyjście. Może jedyne wyjście...

- Nie mamy nic do stracenia - argumentował Paul. - Wrócimy do normalnego życia, ty do swojej pracy, ja do pisania książki. Może ostatnie rozdziały będą o tym, jak dzielni agenci FBI znajdują winowajcę, a nie autor i jego dziewczyna, ale co z tego? Nie to jest ważne.

- A co? - spytała z uśmiechem. - Żeby twoja książka była bestsellerem?

- Nie miałbym nic przeciwko temu - przyznał, szczerząc zęby. - Więc jak myślisz?

- Znasz mój stosunek do FBI - odparła, starając się zignorować wątpliwości, które wciąż nie dawały jej spokoju. - Ale jeżeli Steve naprawdę uważa, że tata jest niewinny, jeżeli z takim nastawieniem przystąpiłby do pracy....

- Na pewno z takim.

- To myślę, że powinniśmy się zgodzić.

- Sądzę, że to jedyne słuszne rozwiązanie. Ale jest jedna drobna rzecz, o której ci jeszcze nie wspomniałem.

- Jaka? - A jednak, pomyślała, widząc jego zatroskaną minę, jednak jest jakiś haczyk. - Co przede mną ukrywasz?

- Nic nie ukrywam. Po prostu chciałem, żebyś najpierw zobaczyła, że sugestia Steve'a nie jest pozbawiona sensu.

- No dobrze, nie jest; przyznaję. Więc o co chodzi? Zawahał się.

- O to - rzekł wreszcie - że zanim Steve mógłby wystąpić z propozycją ponownego wszczęcia postępowania, musiałby się spotkać z twoim ojcem.

April wciąż leżała z otwartymi oczami, kiedy pierwsze smugi poranka zaczęły wpadać przez okno sypialni.

Obok niej Paul, cudowny Paul o ciele promieniującym ciepłem, od wielu godzin spał jak suseł. Wieczorem kochali się gorąco, lecz nawet to nie pomogło jej zapaść w sen; im dłużej zaś leżała obudzona, tym więcej pytań krążyło jej po głowie.

Na jedno z najważniejszych znalazła odpowiedź. Z propozycji Steve'a Johnstona nic nie wyjdzie, jeżeli ona nie zgodzi się zaaranżować spotkania między nim a swoim ojcem. Taki był warunek Steve'a; mogła go przyjąć lub odrzucić, ale o żadnych targach nie mogło być mowy.

- Mówiąc swojemu szefowi, że chce reaktywować sprawę sprzed niemal trzydziestu lat, Steve naraża na szwank swoją opinię - wyjaśnił Paul. - Równie dobrze mógłby wstać i ogłosić, że jego zdaniem FBI popełniło błąd. Nie zamierza tego robić, dopóki nie porozmawia z twoim ojcem, dopóki nie sprawdzi, czy jego wersja trzyma się kupy.

- Dlaczego my nie możemy mu podać wersji mojego ojca? - spytała April.

- Podalem mu, przecież o tym wiesz, ale to nie wystarczy. Zwłaszcza że z akt jednoznacznie wynika, że Golin Birmingham należał do wojującej frakcji AWW, tej, która popierała różne formy przemocy.

- Czy twój znajomy nie ma świadomości, że te akta są... hm, stronicze?

- Owszem, ma. Ale mimo to chce się przekonać na własne oczy, że Colin Birmingham jest normalnym facetem, a nie jakimś świrem.

- A tobie by nie uwierzył na słowo? Albo mnie? Czy nie wystarczyłoby mu...

- Słuchaj, ty jesteś córką, a na moich wrażeniach Steve też nie zamierza polegać. Rozmawiałem z twoim ojcem tylko raz, w dodatku przez telefon. A Steve'owi chodzi o wiarygodność, o tym zaś może się przekonać jedynie podczas spotkania twarzą w twarz.

Odtwarzając w myślach odbytą wcześniej rozmowę, April zaczęła ponownie analizować sytuację. Rozumiała Steve'a, rozumiała położenie, w jakim się znajdował. Jeżeli gra uczciwie, jeżeli nalega na spotkanie z jej ojcem, aby przekonać się, czy Colin Birmingham jest normalnym, zdrowym psychicznie człowiekiem, wysłuchać jego wersji zdarzeń, to jego żądanie jest całkiem rozsądne i uzasadnione.

Ale z punktu widzenia ojca... Boże, nie wyobrażała sobie, by nawet chciał rozważyć propozycję spotkania z agentem FBI. Z drugiej strony, gdyby uznał, że dzięki wszczęciu nowego postępowania prawda wreszcie by wyszła na jaw, to kto wie? Może by się zgodził?

Problem polegał na tym, że nie mieli jak się przekonać, czy za propozycją Steve'a nie kryje się nic więcej. Czy naprawdę chodzi mu wyłącznie o rozmowę z niesłusznie oskarżonym, ukrywającym się człowiekiem, czy też może kierują nim inne pobudki? Może chce zostać bohaterem i po trwających prawie trzydzieści lat poszukiwaniach doprowadzić do aresztowania Napalmowca? Na samą myśl przeszły ją ciarki.

Była zła na ojca. Wczorajsza rozmowa zupełnie ją wytrąciła z równowagi. Całe życie wierzyła, że rodzice byli miłującymi pokój

radykałami, a tu nagle okazało się, że traktowali przemoc jako dozwoloną formę nacisku.

Od wczoraj jednak miała czas przemyśleć sobie to wszystko, uspokoić się. W końcu nic dziwnego, że wybielili nieco obraz samych siebie. Pewnie każdy rodzic przynajmniej raz w życiu okłamał swoje dziecko. Poza tym, bez względu na to, jakie wyznawał poglądy dawno temu, wciąż był jej ojcem i nadal go uwielbiała. Jeżeli więc Steve Johnston szykuje jakąś zasadzkę...

Powtarzała sobie w myślach, że Paul ma do Steve'a bezgraniczne zaufanie, gdy nagle wystraszyła się - przecież nie tak dawno temu sama nie miała zaufania do Paula!

Ale to się zmieniło. Nie wiedziała, w którym dokładnie momencie, ale w którymś uznała, że Paul jej nie oszukuje, że może mu wierzyć. Teraz pytanie brzmiało: czy mogą wierzyć Steve'owi?

Przekreśliła się niespokojnie na bok, zapominając o tym, że może zbudzić Paula.

- Dzień dobry - powiedział zaspanym głosem.

- Dzień dobry.

Przytuliła się mocniej do leżącego w jej łóżku mężczyzny. Nie wyobrażała sobie, co by bez niego zrobiła. Tak mało było rzeczy stałych w jej życiu, że właściwie przywykła do zmian. Ale z niego nie chciała zrezygnować, pragnęła, aby ten związek okazał się trwały.

Paul objął ją mocno, a potem zaczął całować, najpierw w kark, potem wolno wzdłuż pleców. April zadrżała; zalała ją fala pożądania. Po chwili nie była już w stanie o czymkolwiek myśleć.

Wypił jeszcze jeden łyk kawy i zerknął ukradkiem na April, która siedziała po drugiej stronie stołu.

Wiedział, że decyzja należy do niej, że nie powinien jej poganiać, więc od wczorajszego wieczoru nie wspominał ani razu o propozycji Steve'a. Ale teraz, kiedy siedzieli przy stole, umyści, ubrani, a ona wciąż milczała, coraz trudniej mu było wytrzymać.

W nocy kilka razy miał dziwne, nieprzyjemne sny o jakichś strzelaninach, kasetach, pościgach.

Nie był pewien, czy instynkt, czy rozum mu tak podpowiadał, w każdym razie czuł ponad wszelką wątpliwość, że skończyły się żarty; że ktokolwiek usiłował zniechęcić ich do działania, nie zamierza dłużej się z nimi patyczkować. Dlatego tak bardzo zależało mu, by April jak najszybciej porozmawiała z ojcem i umówiła go na spotkanie ze Steve'em.

Rano musiał wpaść na kilka godzin do NBS, na zebranie w sprawie przygotowywanego programu. Wczoraj April oznajmiła, że chętnie wykorzysta ten czas, by porozumieć się z paroma klientami, ale resztę dnia oboje mieli wolne. Gdyby więc zadzwoniła do ojca i zaaranżowała spotkanie...

Potem, kiedy Steve przejmie nad wszystkim kontrolę, mogliby zastosować się do jego rady i na kilka dni wyjechać z Nowego Jorku - wyjechać gdzieś, gdzie nikt by ich nie śledził, nie obserwował każdego ich kroku.

Zerknął ponownie na April. Nie martwiłby się tak bardzo, gdyby tylko chodziło o jego własne bezpieczeństwo, ale jeśli cokolwiek złego przydarzy się jej... Nawet nie chciał o tym myśleć.

Wreszcie, przy drugiej filiżance kawy, nie wytrzymał.

- No i co? - spytał najbardziej neutralnym tonem, na jaki potrafił się zdobyć. - Przemyślałaś propozycję Steve'a?

Uśmiechnęła się niepewnie.

- Nie potrafię się z tym uporać - odparła. - Jakoś mnie to przerasta. Chyba muszę postąpić tak jak wtedy, kiedy ty chciałeś porozmawiać z moim ojcem. Zaakceptować fakt, że nie do mnie należy decyzja. Po prostu muszę opowiedzieć ojcu o wszystkim i pozwolić mu samemu zdecydować.

Paul skinął głową, starając się nie zdradzić, jaką jej słowa przyniosły mu ulgę.

- Ale naprawdę o wszystkim - rzekł. - Nie tylko o propozycji Steve'a, ale również o strzelaninie, o drugiej kasecie i o tej kreaturze, która cię wczoraj chciała śledzić.

Widział po jej minie, że nie ma ochoty tego robić.

- Musisz, April - powiedział łagodnie.

- Nie. Chcę, żeby tata podjął świadomą, przemyślaną decyzję, nie kierując się tym, co jest dobre dla mnie. Ma się wyłącznie kierować tym, co jest dobre dla niego i mamy.

- Naprawdę uważasz, że to by było w porządku? Nie mówić mu o tym, co spotkało cię? Jesteś ich jedynym dzieckiem. Ojciec musi mieć świadomość, co może ci grozić, jeżeli nie przyjmie propozycji Steve'a.

Wyglądała jak obraz nieszczęścia; z łokciami opartymi na stole, z brodą wspartą na dłoniach, patrzyła przed siebie tak smutnym wzrokiem, że pragnął wziąć ją w ramiona i zapewnić, że wszystko będzie dobrze.

Ale nie mógł złożyć takiej obietnicy. Nie mógł zapewnić bezpieczeństwa ani sobie, ani jej.

Zamierzał jednak próbować. Bez względu na to, co później postanowią, zamierzał wstąpić po pracy do swego mieszkania i zabrać ze skrytki broń. Zwykle nosił ją tylko wtedy, gdy gromadząc materiały do programu, musiał chodzić w jakieś podejrzanym miejsca i spotykać się z szemranymi typami. Ale ostrożność nigdy nie zawadzi. Szemrane typy zawsze i wszędzie się zdarzają.

April nadal milczała.

- Słuchaj - dodał po chwili. - Sama powiedziałaś, że chcesz, żeby ojciec podjął świadomą, przemyślaną decyzję, a nie zrobi tego, jeżeli nie będzie znał wszystkich faktów. Zwłaszcza tych najważniejszych.

- Ale...

- Rozumiem twoje obawy, ale zastanów się nad tym, co mówisz. Co będzie, jeżeli nie przyjmie propozycji Steve'a, a tobie z tego powodu stanie się jakaś krzywda? Albo jeśli... Zresztą, nieważne. W każdym razie nigdy by sobie tego nie wybaczył, prawda?

- Prawda - przyznała April. - Ale jeżeli powiem mu o wszystkim z najdrobniejszymi szczegółami, wtedy nie będzie miał wyjścia. Chcąc nie chcąc, będzie musiał się spotkać ze Steve'em.

I o to chodzi, pomyślał w duchu. To jedyne rozsądne rozwiązanie.

- No właśnie - powiedział na głos. - O nic się nie martw. Wszystko będzie dobrze. - Sięgnął przez stół i wziął ją za rękę. - Obiecuję ci to.

April odwiesiła słuchawkę i odetchnęła głęboko.

Większość dnia ojciec pracował poza biurem i był nieosiągalny. Dzwoniąc do niego raz po raz, denerwowała się, czy słusznie robi. Kiedy wreszcie go zastała, kiedy przekazała mu wszystkie najnowsze wieści i powiedziała o propozycji, jaką miał dla niego Steve Johnston, była tak przerażona tym, co może się zdarzyć, że prawie zaczęła żałować, iż w ogóle do niego zadzwoniła.

Z trudem odwróciła się plecami do aparatu, a twarzą do czekającego na zewnątrz budki Paula.

- No dobrze - oznajmiła w końcu. - Jeżeli damy radę wszystko zaaranżować, to spotka się ze Steve'em jeszcze dziś wieczorem.

- Damy radę - rzekł Paul. - Zaraz do Steve'a zadzwonię. Słusznie postąpiłaś - dodał, najwyraźniej czytając w jej myślach.

- Jeżeli się mylisz, nigdy ci tego nie wybaczę - powiedziała. - Ani sobie.

Wiedział, że nie żartowała.

- Gdzie chcesz, żeby Steve się z nami spotkał? - spytał, ignorując jej groźbę.

- Na rogu Amsterdam i Siedemdziesiątej Trzeciej jest kawiarnia. Może tam?

Wyciągnął z kieszeni telefon, wystukał numer Steve'a, chwilę porozmawiał.

- Zaraz wyjdzie z pracy - oznajmił, rozłączając się. Schował telefon i ruszyli spacerem przed siebie.

- Nie powiedziałeś mu, dlaczego chcemy się z nim widzieć.

- Domyśli się. Poza tym, podobnie jak ty, nie lubię za dużo mówić przez telefon. Lepiej przedyskutować szczegóły osobiście. A propos szczegółów... Co ustaliłaś z ojcem? Gdzie mamy się z nim spotkać?

- Nie zdradził mi miejsca. Za godzinę lub półtorej zadzwoni na moją komórkę, żeby upewnić się, czy dzisiejszy termin odpowiada Steve'owi. Jeżeli Steve będzie miał czas, to nie czekając na telefon od ojca, mamy jechać na północ szosą numer 87. I cały czas dokładnie sprawdzać, czy nikt nas nie śledzi. To będzie trudne, prawda?

Paul skinął głową.

- Lepiej znów skorzystajmy z wypożyczalni - powiedział. - Na wszelki wypadek, gdyby ktoś zamontował w dziuple podsłuch.

Spojrzała na zegarek, zastanawiając się, czy zdążą wynająć samochód przed spotkaniem ze Steve'em.

- Wstrzymajmy się - rzekł Paul, najwyraźniej domyślając się, co jej chodzi po głowie. - Jak już będziemy mieli samochód, lepiej nie spuszczać go z oczu. Jeżeli ktoś nas obserwuje, wystarczy mu dosłownie chwila, żeby przyczepić do zderzaka jakiś mały przekaźnik.

Resztę drogi pokonali w milczeniu. Z każdym krokiem April czuła narastające napięcie, pocieszała się jednak myślą, że do pewnego stopnia ona dyktuje warunki.

Na razie Steve Johnston wie za mało, aby jej ojcu mogło grozić z jego strony jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Miała tego świadomość, mimo to czuła się jak mała dziewczynka, która udaje osobę dorosłą.

Wkrótce Paul otworzył drzwi kawiarni.

- Zdażył przed nami - powiedział do April. - To on, przy stoliku na końcu sali.

Starając się nie zwracać uwagi na to, że cała w środku drży, przyjrzała się uważnie mężczyźnie, do którego się zbliżali. Miał jakieś trzydzieści siedem, osiem lat, krótko przycięte ciemnoblonde włosy i duży, haczykowany nos, na którym spoczywały okulary w cienkich drucianych ramkach.

Kiedy wstał, żeby się z nimi przywitać, April zauważyła, że jest średniego wzrostu i średniej budowy. Na pierwszy rzut oka wcale nie sprawiał wrażenia kogoś, kogo trzeba się obawiać.

Ale wiedziała, że to tylko pozory. Gdyby chciał, mógłby jej zadać parę pytań, po czym oskarżyć ją o ukrywanie prawdy czy utrudnianie pracy wymiarowi sprawiedliwości. Oczywiście nie zrobi tego, jeśli Paul nie myli się co do jego intencji. Mimo to świadomość, że agent czekający na nich przy stoliku mógłby zamknąć ją za kratkami, bardzo ją onieśmielała.

Kiedy Paul ich sobie przedstawił, April uśmiechnęła się i starając się zachować spokój, wyciągnęła na powitanie rękę, czuła jednak, że Steve potrafi przejrzeć ją na wylot.

Po chwili pojawiła się kelnerka z dzbankiem kawy.

- Rozmawiała pani z ojcem? - spytał po odejściu kelnerki Steve.

April skinęła głową.

- Tak. Zgodził się na spotkanie, ale wyłącznie na swoich warunkach.

- W porządku. Chciałbym jedynie usłyszeć jego wersję wydarzeń.

Chyba że szykujesz jakąś zasadzkę, pomyślała w duchu.

- A jakie to warunki?

- Nie jest ich wiele - odparła. - On wybiera miejsce. Pan jedzie tam ze mną i z Paulem. No i parę innych drobiazgów, że nie wolno mieć panu żadnej broni, podsłuchów, telefonu, ale skoro Paul panu ufa, nawet nie muszę o tym wspominać.

Specjalnie jednak wspomniała i uważnie obserwowała twarz mężczyzny, czekając na najmniejszą choćby reakcję. Niczego szczególnego jednak nie zauważyła. Najspokojniej w świecie Johnston sięgnął do kieszeni i wyjął telefon komórkowy.

- Komórkę i rewolwer zostawię w bagażniku. Zaparkowałem tu niedaleko. Jeśli chodzi o podsłuch... - Zerknął na Paula. - Zrozumiem, jeśli chcecie sprawdzić.

- April? - Paul popatrzył na nią pytająco.

Kiedy przez chwilę milczała, Johnston wstał od stolika, mówiąc:

- Chodźmy, Paul. Na zapleczu jest toaleta.

Wyczytała z oczu Paula, że rewizja osobista nie jest konieczna, ale odwróciła wzrok. Nie zamierzała ryzykować bezpieczeństwa ojca.

Zanim wypożyczonym samochodem wyjechali z miasta i znaleźli się na szosie numer 87, była właściwie przekonana, że nikt za nimi nie jedzie.

Oglądała się za siebie setki razy, ani razu nie dostrzegając niczego podejrzanego. Paul nie tylko wybrał okreśną drogę wyjazdową z miasta, ale chwilami prowadził tak, jakby ścigał się z Michaellem Andrettiem na słynnym wyścigu Indy 500. Teraz też od czasu do czasu zerkał w lusterko, ale podobnie jak ona był pewien, że nikt ich nie śledzi.

Oczywiście tamtego dnia, gdy wracali z lotniska, również był pewien, że zgubili zielonego taurusa, który siedział im na ogonie.

Przypomniawszy to sobie, znów miała ochotę obejrzeć się za siebie. Powstrzymując ten odruch, popatrzyła na Paula; od owego dnia na lotnisku mnóstwo razem przeszli. Wrażenie starczy jej na następne dwadzieścia lub trzydzieści lat, ba, na całe życie! Marzyła jedynie o ciszy i spokoju, tylko na tym jej zależało. No i na Paulu, dodała w myślach.

Nie wiedziała, czy jego uczucia do niej są równie silne. Bała się tego pytania i bała się odpowiedzi. Na myśl o tym, że Paul może czuć co innego, aż się kuliła ze strachu. No cóż, musi uzbroić się w cierpliwość... W tym momencie telefon komórkowy, który trzymała na kolanach, zaczął dzwonić.

Podskoczyła nerwowo, chociaż przecież spodziewała się telefonu od ojca. Paul popatrzył na nią zdziwiony, a Steve, który jechał na tylnym

siedzeniu, pochylił się wyczekująco do przodu. April opanowała się i przyłożyła słuchawkę do ucha.

- To ja, Myszko.

Kiedy skinęła do Paula, Johnston przysunął się jeszcze bliżej.

- Czy wszystko w porządku? - spytał Birmingham.

- Tak. Jesteśmy już w drodze. Nikt za nami nie jedzie.

- Sprawdziłaś dokładnie tego Steve'a? Nie ma przy sobie broni, podsłuchu?

- Nie ma - odparła. - Paul go sprawdził.

Nastąpiła cisza. April wiedziała, o czym ojciec myśli: a czy Paulowi można ufać?

- To dobrze - powiedział wreszcie. - Gdzie jesteście?

- Na szosie 87.

- W którym miejscu? Powtórzyła pytanie na głos.

- Mniej więcej w połowie drogi między Newburgh a Kingston - odparł Paul.

- Słyszałeś, tato? - spytała.

- Tak. Kiedy dotrzecie do Kingston, skróćcie w szosę numer 28 na zachód, potem w 42 na północ, następnie w 23 na zachód.

- W Kingston 28 na zachód, potem 42 na północ i 23 na zachód - powtórzyła.

Kątem oka widziała, jak Steve notuje instrukcje.

- Zadzwoń za jakiś czas i podam dalsze wskazówki - rzekł Colin. -

Myszko?

- Słucham?

- Kiedy dojedziecie na miejsce, jeżeli cokolwiek zacznie się dziać... jeżeli cokolwiek pójdzie nie tak jak trzeba, to bez oglądania się na mnie uciekaj. Nawet chwili się nie wahaj. Pamiętaj, dobrze?

Nie była w stanie odpowiedzieć, bo łzy podeszły jej do gardła. Wyłączyła więc telefon i położyła go z powrotem na kolanach.

- A jak już będziemy jechać 23 na zachód, to co dalej?

- spytał Steve.

- Ojciec zadzwoni później jeszcze raz - zdołała z siebie wydusić.

Obróciła się w stronę okna i patrzyła na coraz szybciej zapadający mrok, mając nadzieję, że żaden z mężczyzn o nic więcej jej nie zapyta, dopóki nie zapanuje nad łzami.

Dotarli do skrzyżowania z szosą 23 i zgodnie z instrukcjami skręcili na zachód. Telefon milczał, zaś napięcie w samochodzie rosło. Wreszcie na dźwięk dzwonka wszyscy troje podskoczyli.

Było ciemno, kiedy dojechali do wąskiej drogi, w którą Colin Birmingham kazał im skręcić. Niewiele brakowało, by

Paul przeoczył nieduży znak wskazujący dojazd nad jezioro Elizabeth, gdyby nagle Steve nie krzyknął:

- To tu! Patrz!

Paul z całej siły nacisnął hamulec i zjechał na żwirowe pobocze. Znajdowali się na terenie gór Catskill. Ledwo oddalili się kilka metrów w bok od szosy 23, kiedy ze wszystkich stron otoczył ich gęsty las. Gałęzie wisiały nisko nad drogą, skutecznie zasłaniając nikły blask, jaki padał z widocznego jeszcze niedawno na niebie sierpa księżyca.

Reflektory rzucały jasnożółte snopy światła, ale wszędzie wokół panował nieprzenikniony mrok. Paul miał wrażenie, jakby brnął przez nie oświetlony tunel.

- Uważaj na sarny - powiedział Steve. - Musi ich tu być zatrzęsienie.

Paul zwolnił; posuwali się w iście żółwim tempie.

- Jak daleko mamy tędy jechać? - spytał, spoglądając na April.

- Trzy kilometry.

Ledwo wypowiedziała te słowa, kiedy nagle droga się urwała. Na wprost siebie ujrzeli olbrzymi głąz, za którym rosła kępa drzew. Za drzewami majaczyła w mroku polana, a dalej jezioro.

- To chyba tutaj. Zgadza się z opisem ojca.

Paul wyłączył silnik i otworzył drzwiczki, po chwili jednak zmienił zdanie; pochylił się w stronę schowka na mapy, z którego wyjął swojego walthera.

- Po co to? Spodziewasz się kłopotów? - spytał Steve.

- Nie. Czuję lęk przed dzikimi zwierzętami.

I Steve, i April domyślili się, że kłamie, ale nie zamierzali wdawać się w dyskusję. Zapewne gdyby nalegali, powiedziałyby im prawdę, a mianowicie, że jakiś wewnętrzny przymus kazał mu zabrać pistolet z domu i teraz mieć go przy sobie. Wysiadłszy z samochodu, wetknął broń z tyłu za pasek i ruszyli przed siebie, przedzierając się przez gęsto rosnące drzewa.

Zalana srebrzystym blaskiem księżycy polana ciągnęła się piętnaście lub dwadzieścia metrów i kończyła u brzegu jeziora. Na wprost znajdował

się nieduży pomost, na którym Colin Birmingham kazał na siebie czekać. Obok, na wodzie, unosiły się trzy łodzie z wiosłami.

Na prawo od pomostu stała zniszczona drewniana szopa. Nad jej drzwiami wisiał żałośnie wyglądający szyld: Sklep spożywczy. Wyblakły, ręcznie wykonany napis w oknie informował o tym, że można tu kupić przynętę dla ryb, piwo, napoje gazowane, kanapki. Wewnątrz nie paliło się światło; poza cichym pohukiwaniem sowy nie dochodził ich żaden dźwięk.

Zgodnie z poleceniem, przeszli na sam koniec pomostu i tam stanęli. Wpatrując się w taflę jeziora, słuchali cichego szemrania wody zalewającej brzeg.

- Myślicie, że długo będziemy czekać? - spytał Steve, patrząc na April.

Wzruszyła ramionami.

- Powiedział, że dołączy do nas, kiedy uzna, że jest bezpiecznie.

Wiedzieli, co to znaczy: kiedy przekona się, że nikt ich nie śledził.

Gdy minął kwadrans, a Colin Birmingham wciąż się nie zjawił, Paul zaczął przemierzać pomost wzdłuż i wszerz.

- Kazał czekać na końcu - upomniał go Steve Johnston.

- W tak delikatnej sytuacji najlepiej jest ściśle trzymać się instrukcji.

- Dobra, w porządku - mruknął Paul i wrócił posłusznie na miejsce.

April znudziło się stanie; usiadła na brzegu pomostu i spuściła nogi.

Paul usiadł obok. Steve stał tak jak dotąd, uważnie wpatrując się w polanę.

Im dłużej czekali, tym większe ogarniało April napięcie. Na co ojciec czeka? O co mu chodzi? Dlaczego to tyle trwa? Czyżby się bał, że to zasadzka? - przemknęło jej przez myśl. A jeżeli ma rację? Co wtedy?

Śmiertelnie wystraszona, spojrzała na Johnstona. Czy na pewno nie zastawił jakiejś pułapki? Czy na pewno gra uczciwie?

Nagle usłyszała skrzypienie i odwróciła głowę.

- Szopa-szepnął Paul.

Nie spuszczać oczu z drzwi, oboje poderwali się na nogi. Kiedy drzwi uchyliły się mniej więcej na szerokość pół metra, w środku zapaliła się lampa.

- No dobra, tu jestem! - zawołał Colin Birmingham.

- Chodźcie. Porozmawiamy w środku.

Paul wziął April za rękę i wszyscy troje skierowali się do szopy.

Zanim jednak uszli cztery kroki, rozpętało się piekło. Polanę zalało światło; zrobiło się jasno jak na nowojorskim Times Square. W ciszy nocy zagrzmiął głos:

- Colinie Birmingham! Mówi agent specjalny Wayne Resdoe! Jesteś otoczony! Poddaj się!

April poczuła się tak, jakby ją piorun poraził. Na moment zamarła, a potem ruszyła przed siebie. Wtem zdała sobie sprawę, że coś ją trzyma, że dalej iść nie może; obejrzała się. To Paul ścisnął ją za rękę.

- Puść mnie!

- Ani mi się śni.

Stała osłupiała, wpatrując się w niego tępym wzrokiem; serce waliło jej młotem, a potworny strach o ojca dosłownie paraliżował. I nagle

pomimo strachu, pomimo dudnienia w skroniach, w jej umyśle wykuło się pytanie: Czy Paul ma z tym cokolwiek wspólnego?

- Obiecałeś mi, że wszystko będzie dobrze! - szepnęła z wściekłością.

- April, przysięgam! Nie mam pojęcia, co u diabła się dzieje! Słowo honoru!

Nie wiedziała, czy mu uwierzyć, ale nie miała czasu się nad tym zastanawiać, bo głos Wayne'a znów przerwał ciszę i April ponownie skierowała wzrok w stronę polany.

- Colinie Birmingham! - krzyknął agent specjalny. - Wyjdź z rękami uniesionymi do góry !

- Poczekajcie tu - polecił im Steve, ruszając pomostem na brzeg.

Na widok idącego ku polanie Steve'a Wayne Resdoe wyszedł z cienia i stanął w snopach światła rzucanych przez potężne reflektory.

- Zostań tam, gdzie jesteś! - ryknął.

- Nie mam najmniejszego zamiaru!

- Bo wysadzimy szopę w powietrze!

Z piersi April wyrwał się zduszony okrzyk przerażenia. Steve postąpił kolejny krok do przodu, po czym przystanął.

- No dobra, Birmingham! - zawołał Resdoe. - Mówię do ciebie po raz ostatni! Wyłaź stamtąd!

- Chwileczkę - oznajmił stanowczo Paul. - Jedną, psiakrew, chwileczkę! Steve obrócił się.

- Co ty, do cholery, sobie myślisz? - ryknął Resdoe.

- Przecież to przestępstwo! Wiesz, ile lat możesz dostać za celowanie z broni do agenta federalnego?

Dopiero wtedy April uświadomiła sobie, że Paul wymierzył pistolet w stronę Wayne'a Resdoe.

- On cię chętnie wsadzi za kratki, Paul - powiedział cicho Steve, wracając na miejsce. - Nie udawaj Rambo. Nie warto. - I oglądając się przez ramię, zawołał do Wayne'a:

— Uspokój się, Resdoe! On nie celuje do ciebie. Po prostu oddaje mi moją broń. Dałem mu ją na przechowanie. Birmingham postawił warunek, żebym przyjechał na spotkanie nie uzbrojony.

Zatrzymał się przed Paulem i wyciągnął rękę.

- To ty nas wydałeś? - spytał gniewnie Paul.

- Nie. Nie mam pojęcia, skąd się dowiedział, ale jest z nim z dziesięciu uzbrojonych facetów, więc oddaj mi spluwę, zanim będzie za późno.

Przez chwilę Paul wpatrywał się w Steve'a w milczeniu, jakby badał go wzrokiem, po czym niechętnie spełnił jego prośbę.

- Birmingham! - ryknął ponownie Resdoe. - Liczę do trzech! Potem zaczynamy strzelać. Raz!

- Nie! - szepnęła April, usiłując wyrwać się Paulowi. Objął ją z całej siły.

- Dwa!

- Puść mnie!

- Trzy!

Pociągnął April w dół; oboje upadli na pomost. Na polanie rozpętało się istne pandemonium. Strzały sypały się ze wszystkich stron. April zaczęła krzyczeć, owładnięta jedną przerażającą myślą: łajdaki zabijają jej ojca!

Huk ustał równie nagle, co targnął powietrzem. Zaległa martwa, niczym nie zmacona cisza. April usiłowała się podnieść, ale nie była w stanie.

Paul leżał na niej, przyciskając ją do pomostu. Ale nawet gdyby nie przygniatał jej sobą, i tak nie zdołałaby się podnieść. Na myśl o tym, co się przed chwilą stało, była niemal skostniała z przerażenia. Słyszała własny szloch, czuła przejmujący ból, który przeszywał całe jej ciało, ale nie potrafiła wykonać najmniejszego ruchu.

- O Boże, April... - szepnął Paul, wtulając twarz w jej włosy.

Mijały sekundy, a może minuty, a on wciąż szeptał:

- O Boże, przepraszam... O Boże.

Nie chciała, żeby jej dotykał. Nie chciała, żeby był blisko. Ale kiedy próbowała mu powiedzieć, żeby ją puścił, z gardła wyszły jej jakieś niezrozumiałe słowa zmieszane ze szlochem. A potem, jak przez mgłę, usłyszała głos Steve'a:

- April, posłuchaj. Twojemu ojcu nic się nie stało. Nie zabili go.

Nie bardzo w to wierzyła, ale starała się powstrzymać płacz.

- Nie trafili go? Jaki cudem? - zdumiał się Paul. Usiadł na pomoście i podciągnął wyżej April.

- Nie było go w szopie. Drzwi były zdalnie otwierane, światło zdalnie zapalane. Jego tam nie było!

- Ale przecież głos... - szepnęła April. - Słyszałam go.

Steve pokręcił głową.

- Nie - powiedział. - Słyszałaś taśmę z jego głosem.

- Więc gdzie...?

- Nie wiem. Pewnie obserwuje nas gdzieś z lasu. Resdoe kazał swoim ludziom przeczesać teren - dodał, wskazując ręką w stronę drzew.

April popatrzyła na brzeg. Mimo łez w oczach zobaczyła, że polana jest pogrążona w ciemnościach, a las dookoła przecinają promienie światła silnych latarek.

- O Jezus, ilu ich tam krąży - rzekła szeptem i oczy ponownie zasłzy jej łzami. - Na pewno go znajdą.

Ledwo to powiedziała, kiedy gdzieś w oddali rozległ się dźwięk, jakby ktoś włączył silnik, a potem dał się słyszeć rytmiczny warkot płynącej po jeziorze motorówki.

Wstrzymując oddech, wyteżyła słuch. Warkot stawał się coraz bardziej cichy, coraz bardziej odległy, aż wreszcie stopił się z nocą. Nie miała oczywiście żadnej pewności, czy na łódce znajduje się jej ojciec, ale w głębi serca czuła, że tak.

Zacisnęła palce na medalionie, zastanawiając się, że może nie tylko właścicielowi przynosi szczęście i chroni go przed niebezpieczeństwem; może również osoby mu bliskie.

Agenci wciąż przeszukiwali las, podczas gdy Wayne Resdoe, Steve, Paul i April stali na zalanej blaskiem księżyca polanie, w połowie drogi między brzegiem jeziora a starą szopą.

A raczej, pomyślał Paul, między brzegiem jeziora a tym, co z szopy pozostało. Była tak podziurawiona kulami, że dziwił się, iż jeszcze się nie rozpadła na tysiące drobnych części.

Resdoe i Steve warczeli na siebie; można było niemal odnieść wrażenie, że jeden drugiego najchętniej rozszarpałby na strzępy. Kiedy Steve wściekłym tonem zadał Wayne'owi następne pytanie, Paul skupił się ponownie na April. Nie wiedział, czy Steve ich oszukał, czy nie, ale jeśli tak, jeśli wszystko zawczasu zaplanował, to świetnie teraz grał swoją rolę. Zresztą Resdoe również.

Zamiast Odpowiedzieć na zadane pytanie, Resdoe wskazał w ich kierunku i burknął:

- Zabierz ich stąd! Nie zamierzam omawiać spraw służbowych w obecności cywilów.

- Ha! - prychnął pogardliwie Steve. - Nie przeszkadzało ci, że są cywilami, kiedy stali na pomoście! Otworzyłeś ogień, nie bacząc na nic!

- Wynoście się stąd, natychmiast! - rozkazał Resdoe, patrząc na Paula i April.

- Pójdziemy do samochodu, Steve - powiedział Paul, biorąc April za rękę.

Kiedy mu ją wyrwała, przeklął cicho pod nosem i skinieniem głowy wskazał drogę. Ostatnia rzecz, jakiej pragnął, to by April myślała, iż miał cokolwiek wspólnego z dzisiejszymi wydarzeniami na polanie.

Chociaż dałby wszystko, aby naprawić zło, które zostało wyrządzone, w tym momencie ważniejsze było jednak co innego. Pomyślał sobie, że jeżeli odejdą parę metrów i staną gdzieś z boku, tak aby

być niewidocznymi, ale mieć agentów w zasięgu słuchu, to może zdołają się przekonać, po której stronie jest Steve Johnston.

Doszedłszy do szopy, zerknął szybko przez ramię. Steve z Wayne'em mierzyli się gniewnie wzrokiem i na nic innego nie zwracali uwagi.

- Co ci, cholera jasna, strzeliło do łba? - spytał Steve. - Co chciałeś osiągnąć, przyjeżdżając tu za nami?

Paul pociągnął April w stronę szopy. Posłała mu pełne złości spojrzenie, ale posłusznie stanęła tak jak on, plecami dotykając ściany.

Mieli świetny punkt obserwacyjny - sami niewidoczni, mogli przysłuchiwać się rozmowie. Resdow właśnie naigrawał się z pytania Steve'a.

- Co chciałem osiągnąć? Wysil szare komórki, może wpadniesz na odpowiedź. A zresztą, nie wysilaj się, sam ci powiem. Chciałem przyskrzynić Napalmowca. Sam powinieneś być o tym pomyśleć, ale skoro tobie co innego przyświecało...

- Skąd wiesz, do diabła, co mi przyświecało? - zezłościł się Steve. - Jasnowidz jesteś czy co?

- Masz mnie za idiotę, Johnston? Wypożyczasz z archiwum akta dotyczące wybuchu w fabryce napalmu, a potem, po godzinach pracy, odwiedza cię po kryjomu Gardiner, który wcześniej widział się ze mną, więc dobrze wiem, czym się akurat zajmuje. Następnie...

- Dojdz do sedna - przerwał mu Steve. - Jak nas tu znalazłeś?

- Jak? Chryste, Johnston! Jesteś agentem czy przedszkolakiem?

Może ukradłeś komuś legitymację i podszywasz się pod pracownika FBI?

- Bardzo śmieszne. Ha, ha. No gadaj.

- Aż tak podstawowe rzeczy trzeba ci wyjaśniać? W porządku, jak chcesz. Odkąd Gardiner złożył ci w biurze wizytę, poleciłem go śledzić, a kiedy dowiedziałem się, że wybierasz się z nim i córką Birminghama na wycieczkę, wezwałem ludzi do pomocy, a facetowi z wypożyczalni dałem dwie dychy, żeby doczepił do wozu specjalny przekaźnik impulsów.

- Dzięki temu mogłeś jechać daleko za nami bez obawy, że ci znikniemy z oczu...

- Brawo, Johnston. Piątka z odpowiedzi.

- Słuchaj, Resdoe - powiedział ostrzegawczo Steve. - Jeśli jeszcze raz wmieszasz się do spraw, którymi ja się zajmuję...

- Którymi ty się zajmujesz? Dobrze sobie! A od kiedy ty się niby tym zajmujesz? Od dwóch dni? Bo ja od samego początku!

- Akurat! W 1970 roku ani ty, ani ja nie pracowaliśmy w FBI - rzekł Steve.

- Tak sądzisz? To tylko świadczy o tym, jak mało wiesz. Bo właśnie FBI wiele miesięcy przed wybuchem kazało mi zapisać się do AWV. Od początku brałem udział w dochodzeniu. To ja odkryłem, że zamachowcem był Birmingham i już wtedy bym go zapudłował, gdyby jakiś kretyn go wcześniej nie ostrzegł.

Paul spojrział na April. Świadomie unikała jego wzroku, ale wiedział, że również słyszała słowa Wayne'a Resdoe. Ludzie z podziemia mieli rację. Będąc członkiem AWV, Resdoe służył za wtyczkę FBI, a to znaczyło, że spekulacje Colina Birminghama, dlaczego Resdoe mógł być zamieszany w sprawę eksplozji, brzmiały coraz bardziej przekonująco.

- Jeżeli wtedy twoje metody były takie same jak dzisiejsze, to nie tylko nie zapudłowałbyś Birminghama, ale nawet nie ustrześlił martwego zająca.

- Jakim prawem...

- Wszystko zepsułeś, Resdoe! Od prawie trzydziestu lat Birmingham nikomu nie pozwalał się do siebie zbliżyć, a ja miałem okazję porozmawiać z nim w cztery oczy. Musiałeś ją zmarnować, do jasnej cholery?

- Co by ci dała rozmowa? Mordercę się aresztuje, nie umawia się z nim na pogaduszki! A może o to ci chodziło, co? Może zamierzałeś złapać drania? Może tylko chciałeś zamydlić oczy swojemu kumplowi i pannie Birmingham?

- Nie - odparł Steve. - Zamierzałem porozmawiać z Birminghamem, bo nie sądzę, żeby to on był poszukiwanym przez nas zamachowcem. Wydaje mi się, że agenci prowadzący przed laty dochodzenie oskarżyli niewłaściwego człowieka. Nic na to nie poradzę; jeżeli znajdowałeś się w tej grupie, będziesz świecił oczami... A może dlatego tu jesteś, co? Może chciałeś zabić Birminghama, zanim zdołam wznowić w tej sprawie śledztwo?

- To absurd! - oburzył się Resdoe.

- Absurd? Gdybyś go zastrzelił, mógłbyś twierdzić, że wreszcie dopadłeś Napalmowca. Sprawa zostałaby definitywnie zamknięta. Nikogo by nie obchodziło, że to nie on podłożył ładunek, a już zwłaszcza ciebie.

- Masz niezłą wyobraźnię, Johnston. Powinieneś pisać powieści. Ta byłaby godna samego Ludluma.

- Tak? Zobaczymy, jak się rozwinie akcja.

- Nic się nie rozwinie, bo mam zamiar iść do samego szefa i złożyć skargę...

- Rób, co chcesz, Resdoe - przerwał mu Steve - ale na twoim miejscu nie spieszyłbym się tak bardzo z informowaniem góry o tym, jak skopałeś robotę. W każdym razie, czy ci się to podoba, czy nie, jutro wystąpię o ponowne wszczęcie śledztwa w sprawie wybuchu w fabryce napalmu. A wiesz, co w tym wszystkim jest najdziwniejsze? Jeszcze godzinę temu wcale nie byłem pewien, czy warto to robić. Uzależniłem wszystko od tego, co mi Birmingham powie. Ale ty mnie przekonałeś, że warto, że przed trzydziestu laty ty się myliłeś i że Birmingham jest jednak niewinny. Zamierzam to udowodnić.

RS

Zanim konfrontacja pomiędzy Steve'em a Wayne'em przeobraziła się w dziecinną wymianę pogroźek, April z Paulem przeszli nie zauważeni przez nikogo do stojącego przy głazie wynajętego samochodu.

April była w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach przekonana, że nagłe pojawienie się Wayne'a nad jeziorem Elizabeth stanowiło zaskoczenie zarówno dla Paula, jak i dla Steve'a. Mimo to nie miała ochoty wracać z nimi jednym samochodem do Nowego Jorku. Ponieważ jednak inne pojazdy w lesie należały do Resdoe i jego agentów... Cóż, nie miała wielkiego wyboru.

- W drodze powrotnej chcę jechać tu - powiedziała, otwierając tylne drzwi. - Niech Steve usiądzie z przodu, koło ciebie.

- April... - Położył rękę na jej ramieniu, ale strząsnęła ją. - April, przestań - poprosił. - Słyszałaś to samo co ja.

Dobrze wiesz, że Steve nie był w zмовie z Wayne'em. A że Resdoe go śledził? Przecież to nie wina Steve'a. Skąd Steve miał o tym wiedzieć?

- Nie wiem. Powinien był się domyślić. Na miłość boską, jest agentem specjalnym, a tacy jak on wyszkoleni agenci powinni zawsze być czujni, podejrzliwi i ostrożni. Nie powinni narażać na śmiertelne niebezpieczeństwo niewinnych ludzi. Przez niego o mało nie zginął mój ojciec!

- Nie przez niego. Steve nie...

- I zginąłby, gdyby nie miał więcej rozumu niż wy wszyscy razem wzięci! Do jasnej cholery, Paul! Prawie nigdy nikomu w życiu nie ufałam i dobrze mi z tym było. Potem zaufałam tobie. I za twoją namową, wbrew zdrowemu rozsądkowi, zaaranżowałam spotkanie między ojcem a twoim znajomym. Sam widzisz, do czego to doprowadziło!

Paul uniósł bezradnie ręce.

- Co mam powiedzieć? - spytał.

- Nic. Nic nie mów. Steve wystąpi o wznowienie śledztwa. Nas to więcej nie dotyczy, tak?

- Tak, ale... April, musimy porozmawiać. Nie możemy tego tak po prostu zostawić.

Pokręciła głową. Nie miała ochoty na rozmowę, nie czuła się na siłach. Na szczęście, zanim Paul zdążył cokolwiek więcej powiedzieć, spomiędzy drzew wyłonił się Steve Johnston.

- Chyba nie muszę wam mówić, jak strasznie mi przykro - rzekł. - Nie miałem z tym nic wspólnego. Przysięgam!

- Wiemy, stary - mruknął Paul. - Nie od razu wróciliśmy do samochodu. Chwilę staliśmy przy szopie i słuchaliśmy waszej kłótni. Wiemy, że ta zasadzka to nie twoja robota.

- Kamień spadł mi z serca. - Agent sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnąwszy pistolet, oddał go Paulowi. Potem spojrzął na April. - Dzięki Bogu, że twojemu ojcu udało się zbiec.

- Jesteś pewien, że się udało?

- Tak. Kiedy odchodziłem z polany, ludzie Wayne'a wracali akurat z poszukiwań. Żaden się na niego nie natknął.

Teraz jednak FBI znało jej tożsamość i... Nagle April już nie była taka pewna, czy Steve istotnie nie maczał w tym palców.

- Steve... - Przyglądała mu się uważnie. - Skąd Resdoe wiedział, że jestem córką Colina Birminghama? - Widząc jego zakłopotaną minę, dodała: - Kilka razy tak o mnie mówił, a kiedy byliśmy u niego w biurze, udawaliśmy, że jestem dziewczyną Paula. Więc skąd znał prawdę?

Gdy Steve popatrzył niepewnie na Paula, April ogarnęło jeszcze większe zaniepokojenie. Do diabła, o co tu chodzi?

- Nie mam pojęcia - odparł wreszcie agent. - Nikomu nic nie mówiłem.

Zerknęła na Paula, sprawdzając jego reakcję. Minę miał zatroskaną.

- Myślisz, że Resdoe zamontował ci w biurze podsłuch? - zapytał Steve'a. - Że słyszał, kiedy opowiadałem ci o April?

Steve zaklął cicho pod nosem.

- Zakładanie podsłuchu w gabinecie innego agenta wymaga nie lada tupetu. Byłby aż tak bezczelny?

- Sprawdzisz?

- Jasne. Mamy wykrywacze. Jeśli podrzucicie mnie teraz do biura, zrobię to, zanim Resdoe zdąży cokolwiek usunąć z mego gabinetu.

April spoglądała to na jednego, to na drugiego, zastanawiając się, kto kogo nabija w butelkę. Czy Resdoe jest jedynym łotrem w tym całym przedstawieniu? Może jednak Steve wcale nie jest takim niewiniątkiem, za jakie stara się uchodzić?

No i Paul - mężczyzna, w którym się zakochała, mężczyzna, który namówił ją, by zaaranżowała spotkanie między ojcem a agentem

federalnym. Jaka była w tym jego rola? Jeśli się okaże, że popełniła błąd, obdarzając go zaufaniem, chyba się załamie. Tak, odechce się jej żyć.

Zauważyła, że Paul nie spuszcza z niej wzroku. Czyżby usiłował odczytać jej myśli? Powodzenia!

Miała taki mętlik w głowie, że próba odcyfrowania czegokolwiek była z góry skazana na niepowodzenie.

Kiedy podrzucili Steve'a do gmachu przy Federal Plaza, Paul ponownie usiłował nakłonić April do rozmowy o tym, co zaszło dziś wieczorem. Niestety, bez skutku.

Z całego serca pragnęła wierzyć, że mężczyzna, w którym się zakochała, jest równie niewinny jak ona, że tak jak ona nie miał nic wspólnego z dzisiejszymi wydarzeniami na polanie, ale wiedziała, że najpierw musi porozumieć się z ojcem. Obawiała się jednak, że to nie będzie łatwe, bo kontakt z rodzicami może być utrudniony.

Albowiem federalni na pewno domyślili się, że Birminghamowie ukrywają się gdzieś w pobliżu jeziora Elizabeth. Podejrzewała, że w tej chwili rodzice pakują się, aby czym prędzej zmienić miejsce pobytu. Jeżeli więc nie uda jej się ich złapać, zanim wyniosą się z domu...

Wciągając głęboko powietrze, znów sobie przypomniała lęk i niepokój, jaki przeżywała za każdym razem, gdy w środku nocy trzeba było nagle wsiadać do samochodu i jechać nie wiadomo dokąd. Rozmyślała o tym, kiedy Paul skręcił w Zachodnią Siedemdziesiątą Piątą. Znalazł miejsce do parkowania naprzeciwko jej budynku, po czym bez słowa odprowadził ją do drzwi na klatkę schodową.

- Mogę wejść na górę? - spytał, kiedy wsunęła klucz w zamek.

Zamknęła oczy; tak bardzo pragnęła znaleźć się w jego ramionach! Jednakże dzisiejsze wydarzenia uzmysłowiły jej kilka rzeczy. Źle postąpiła, ufając obcym - ojciec niemal przyplacił to życiem. A zatem dopóki nie nabierze przekonania, że Paul w żaden sposób nie przyczynił się do tego, co miało miejsce nad jeziorem, postanowiła nie ulegać swym zachciankom.

- Jestem wykończona - powiedziała, nie odwracając się od drzwi. - Do niczego się nie nadaję.

- April, po prostu chcę być z tobą, nic więcej - rzekł półgłosem i położył jej rękę na ramieniu.

Niewiele brakowało, żeby mu uległa.

- Nie, Paul - wykrztusiła, a po chwili odwróciła się do niego twarzą. - Słuchaj, to, co się dziś stało, oznacza dla moich rodziców kolejną przeprowadzkę. Dopóki od nich nie usłyszę... dopóki się nie dowiem, że są bezpieczni... po prostu muszę być sama.

Przez moment bała się, że Paul zacznie się z nią kłócić, przekonywać, że nie ma racji, że właśnie teraz, w takiej chwili jak ta, powinni być razem.

- No dobrze - powiedział wreszcie. - Ale nie siedź całą noc, czekając na telefon. Spróbuj zasnąć.

Skinęła głową, chociaż podejrzewała, że jej się to nie uda.

- Zadzwoń do ciebie jutro - dodał. - Słuchaj, obiecaj, że nigdzie rano sama nie wyjdiesz, dobrze? Że będziesz siedzieć w domu, dopóki się z tobą nie porozumiem.

Ponownie skinęła głową, po czym pchnęła drzwi i szybko wbiegła do holu, zanim pokusa, aby jednak zaprosić Paula na górę, okaże się zbyt silna.

Z chwilą, kiedy znalazła się w mieszkaniu, wydobyła z torebki telefon komórkowy i wystukała numer rodziców. Kiedy indziej przezornie zadzwoniłaby z telefonu publicznego, ale dziś to już nie miało znaczenia. Zanim na co miesięcznym wykazie rozmów pojawi się numer w Ludlow Pond, rodziców już dawno tam nie będzie.

Na drugim końcu linii nikt nie podnosił słuchawki. Wystukała numer po raz drugi, łudząc się, że może za pierwszym razem się pomyliła. Niestety, rezultat był identyczny: telefon dzwonił w pustym domu.

Wyjechali. Nie mogła się z nimi skontaktować. Dopóki sami się do niej nie odezwą, nie będzie wiedziała, czy są bezpieczni, czy Resdoe nie zarządził blokad na drogach, czy ona, April, nie wydała ich w ręce wroga.

Ściągnęła z siebie ubranie i wzięła gorący prysznic, a potem, nieszczęśliwa i przygnębiona, położyła się do łóżka i wybuchnęła płaczem. Łzy dobrze jej zrobiły.

Kiedy drzwi budynku się za nią zamknęły, Paul wrócił do dżipa i przez chwilę siedział bez ruchu, wpatrując się przed siebie. Miał wrażenie, jakby zawalił się cały jego świat.

Niecałe dwadzieścia cztery godziny temu kochali się gorąco, niecałe dwadzieścia cztery godziny temu myślał, że posłuchają rady Steve'a i na kilka dni wyniosą się z miasta. Teraz wiedział, że nigdzie nie pojedą. Będzie miał szczęście, jeśli April w ogóle zechce się z nim jeszcze kiedykolwiek spotkać.

Czego się spodziewał? Zaufała mu i z tego powodu niemal zginął jej ojciec. Długo po tym, gdy w oknach na drugim piętrze zgasły światła, Paul siedział zastanawiając się, do jakiego stopnia dzisiejsze wydarzenia zniszczyły ich związek. Wreszcie wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy i zadzwonił do Steve'a, licząc na to, że może jeszcze zastanie go w biurze.

O dziwo, Steve podniósł słuchawkę.

- Ciekaw byłem, czy znalazłeś coś interesującego - powiedział Paul, tak dobierając słowa, aby ktoś postronny nie był w stanie zrozumieć, o co chodzi.

- Nic a nic. Ale może wpadłbyś do mnie na godzinkę?

- Teraz? - Paul spojrział na zegarek. Było kilka minut po drugiej w nocy.

- Jeśli nie masz nic innego do roboty - odparł Steve.

- W porządku. Już jadę.

- Dobra. Powiem strażnikom na dole, żeby cię wpuścili. Z

Zachodniej Siedemdziesiątej Piątej dotarł na Federal

Plaza w niecałe dziesięć minut - świetny wynik, zważywszy że po drodze stał na czerwonym świetle. Strażnik, uprzedzony przez Steve'a, wpuścił go do środka i towarzyszył mu na górę.

Biurko Steve'a zawałone było teczkami i skoroszytami pełnymi najróżniejszych dokumentów. Jedne leżały ułożone równo na stosie, inne były otwarte, a ze środka wysypywały się papiery.

- Co się dzieje? - spytał Paul, siadając w fotelu. Steve zamknął za nim drzwi.

- Te papiery na moim biurku to dokumentacja dotycząca wybuchu w fabryce napalmu. Gdyby wszystko było w komputerze, znalezienie jednej drobnej informacji nie stanowiłoby problemu, a tak...

Paul pokiwał ze zrozumieniem głową; z obawy o podsłuch bał się zbyt wiele mówić.

- Możemy swobodnie rozmawiać - rzekł Steve. -Sprawdziłem każdy centymetr tego pomieszczenia. Jeżeli Resdoe umieścił mi tu pluskwę, zdążył ją usunąć.

- Tak sądzisz?

- Sądzę, że gdyby zadał sobie tyle trudu, żeby założyć podsłuch, to by go zostawił. Chciałby wiedzieć wszystko, do czego zmierzam. Znać każdy mój ruch, słowo, myśl.

- Więc myślisz, że nie miałeś podsłuchu? - spytał Paul.

- Właśnie.

- To skąd, na Boga, wiedział, że April jest córką Birminghama?

- Nie wiem. Ale tak jak mówiłem, ja nikomu o tym nie wspomniałem.

- Psiakrew, to skąd.

Nie było sensu powtarzać pytania, na które żaden z nich nie znał odpowiedzi.

- Kiedy do ciebie zadzwoniłem - powiedział, zmieniając temat - nie spodziewałem się, że cię tu jeszcze zastanę.

- Pół nocy ślęczę nad tymi aktami. Bez względu na to, co wykazują papiery, jestem pewien, że Resdoe musiał być w owym czasie

pracownikiem FBI. Nie mówiłby mi, że od początku był zaangażowany w sprawę, gdyby tak nie było.

Choć z drugiej strony, wszystko jest z nim możliwe. W każdym razie, zakładając, że był agentem, chciałbym znaleźć jakiś dokument stwierdzający, jaką odegrał rolę. Miałbym wtedy nieco lepszą orientację, może zdołałbym ustalić, czy jest jakiś powód, dlaczego Resdoe nie chce, by wszcząć od nowa postępowanie.

- A jaki może być?

- Nie wiem, ale chcę być przygotowany. Nie lubię niespodzianek. Jeżeli uznał, że Birmingham jest winny, jeżeli oskarżył niewłaściwego człowieka, to na pewno woli, żeby prawda nie wyszła na jaw. Gdyby do czegoś miało dojść, starałby się przeszkodzić we wznowieniu śledztwa albo poprosiłby górę, żeby powierzono je właśnie jemu.

- Góra by się zgodziła?

- Tak, zwłaszcza gdyby należał do zespołu prowadzącego poprzednie dochodzenie. Więc jeżeli istotnie należał, potrzebuję dowodu świadczącego o tym, że poprzednim razem odstawił fuszerkę. Że wyciągnął niewłaściwe wnioski.

- Albo że sam miał coś wspólnego z wybuchem? - powiedział cicho Paul.

Steve popatrzył na niego bez słowa.

- Przecież mówiłem ci, że staliśmy z April za szopą i przysłuchiwaliśmy się waszej rozmowie - ciągnął Paul. - Spytałeś go, czy przypadkiem nie przyjechał za nami po to, żeby zabić Birminghama. Żeby zarzucić komuś planowanie morderstwa, trzeba mieć ważny powód, jakies

uzasadnione podejrzenia. Gdyby Napalmowiec nie żył, sprawa pozostałaby zamknięta, ty byś jej nie reaktywował i nikt by się nigdy nie dowiedział, kto faktycznie dokonał zamachu. To wystarczająco ważny powód, prawda?

- Jeśli chodzi o Wayne'a Resdoe, wszystko jest możliwe - powtórzył Steve.

Widząc, że przyjaciel wciąż spogląda na akta, Paul domyślił się, że korci go, by ponownie się do nich zabrać, że jeśli trzeba, gotów był ślęczyć nad nimi do białego rana.

- Chcesz usłyszeć ciekawostkę? - spytał nagle.

- Pewnie - odparł Paul.

- Zdaje się, że Colin Birmingham powiedział ci, że wszyscy trzej, Walker, Gutteridge i Resdoe, mieli alibi na ten czas, kiedy w fabryce podłożono ładunek?

Paul potwierdził.

- A zatem Birmingham nie wiedział - ciągnął Steve— że sami sobie nawzajem zapewnili alibi.

- Co takiego?

- No właśnie. Poszli razem do kina na nową wersję „Masakry w dniu św. Walentego” z Jasonem Robardsem w roli głównej. Na dowód mieli bilety. Twierdzili, że obejrzeli film dwukrotnie. Film trwa sto minut. Jak się do tego doda przerwę, filmy reklamowe i zapowiedzi... cztery godziny jak nic. Murowane alibi.

- Tak. Jeżeli rzeczywiście obejrzeli film dwukrotnie.

- Tak. Jeżeli.

Paul zaklął pod nosem. Przyszło mu do głowy, że bez względu na to, kogo Birmingham podejrzewa, Walker i Gutteridge również powinni się znaleźć na liście podejrzanych.

- Birminghamowi nie wydawało się, żeby Walker lub Gutteridge mieli coś wspólnego z wybuchem - oznajmił. - Oczywiście nic poza tym, że podali FBI jego nazwisko.

- Chyba ma rację. O ile zdołałem się zorientować, żaden się nie zna na ładunkach wybuchowych.

- A to by znaczyło, że nie wymknęli się z kina i nie zakradli na teren fabryki - rzekł Paul. - A Resdoe?

- Resdoe... - Steve zawahał się. - Musimy pamiętać, że nawet jeśli Birmingham jest niewinny, winnym wcale nie musi być Resdoe. O wiele bardziej podejrzany wydaje mi się Bellavia. Możliwe, że Resdoe po prostu spartaczył śledztwo.

- I myślisz, że próbowałby teraz zabić Birminghama tylko po to, żeby nie wyszło na jaw, że oskarżył przed laty nie tego człowieka co trzeba?

Steve powiódł wzrokiem po zalegających biurko papierach, potem znów spojrzał na Paula.

- Chcesz, żebym ci pomógł przejrzeć to wszystko? - spytał Paul.

Gdy agent skinął głową, Paul poczuł, że ręce zaczynają go świerzbić.

- Niecodziennie udostępniamy akta cywilom - powiedział Steve, wręczając mu teczkę - ale i sytuacja, z którą mamy do czynienia, jest dość niecodzienna. Po tym, co Resdoe dziś wykonał, widać jasno, że nie zamierza on przestrzegać żadnych reguł.

- Czego więc mam szukać? Na co zwracać szczególną uwagę?

- Dobre pytanie! Jeśli znajdziesz raporty podpisane przez agenta o nazwisku brzmiącym jak nazwa koloru, czytaj je dokładnie. Agent wtyczka penetrujący obce środowiska składałby raporty podpisane szyfrem. Podczas wojny wietnamskiej FBI uwielbiało posługiwać się kolorami. Jeśli więc trafisz na agenta Czarnego, Zielonego lub Purpurę...

Obydwaj z takim skupieniem przeglądali papiery, że po pewnym czasie Paulowi zaczęły łzawić oczy. Akurat zamierzał zaproponować krótką przerwę na kawę, kiedy nagle trafił na raport podpisany przez agenta Indygo.

Z raportu jednoznacznie wynikało, że w 1969 roku na polecenie FBI Indygo wstąpił do AWV. Udawał studenta, który - rozczarowany systemem nauczania - niedawno rzucił studia uniwersyteckie. Jednak nic, przynajmniej w pierwszych kilku akapitach, nie wskazywało na to, aby Indygo i Wayne Resdoe byli jedną i tą samą osobą.

Paul przeczytał po cichu kolejny akapit i nagle dostrzegł coś, co wzbudziło jego czujność.

- Posłuchaj - powiedział do Steve'a i, podniecony, zaczął czytać na głos:

„Stwierdzam ponad wszelką wątpliwość, że członek AWV Colin Birmingham ponosi całkowitą odpowiedzialność za wybuch, który zniszczył fabrykę napalmu i spowodował śmierć kilku osób. Doszedłem do tego wniosku nie tylko na podstawie zeznań Toma Walkera i Kena Gutteridge'a, ale również na podstawie wypowiedzi Nelsona

Harmidarrowski, jednego z głównych przywódców organizacji, który wierzy w winę Birminghama.

Po tragedii, jaka się wydarzyła, Harmidarrowski osobiście przeprowadził wiele rozmów z członkami AWW na temat Birminghama; pytał każdego, czy wie, co Birmingham porabiał w czasie poprzedzającym wybuch lub czy orientuje się co do jego planów dotyczących wysadzenia w powietrze fabryki.

Uważam, że fakt, iż Harmidarrowski podejrzewa Colina Birminghama o spowodowanie wybuchu, powinien przekonać biuro o prawdziwości zeznań Walkera i Gutteridge'a".

Paul przerwał czytanie i spojrzał na Steve'a.

- Nie wierzę - powiedział agent. - Biuro wahało się, czy przypadkiem Walker z Gutteridge'em nie kłamią, a mimo to, jak gdyby nigdy nic, oskarżyło Birminghama o zbrodnię?

- Tylko dlatego, że Harmidarrowski „osobiście przeprowadził wiele rozmów” - Paul zacytował fragment raportu. - Ale żeby napisać, że doszło się do wniosku o winę ojca April „na podstawie wypowiedzi jednego z głównych przywódców organizacji, który wierzy w winę Birminghama”? Chryste! Zresztą z ogólnego tonu wynika, że Harmidarrowski wypytywał członków AWW o Birminghama, bo wierzył w jego winę i szukał dowodów na jej potwierdzenie. Ale z tego, co mówił April i mnie, kiedy byliśmy u niego w gabinecie, wynikało raczej, że szukał dowodów, które by potwierdzały jego niewinność.

- Masz rację, coś tu nie gra. - Steve zaczął przeglądać dokumenty na biurku. - W oświadczeniu, które Harmidarrowski złożył nam z własnej

nieprzymuszonej woli, wyraźnie była mowa o tym, że ma poważne wątpliwości co do winy Birminghama.

Po chwili jego poszukiwania zakończyły się sukcesem. Znalazłszy teczkę, o którą mu chodziło, otworzył ją i zaczął uważnie studiować.

- Tutaj, zobacz. Każdy, kto by to przeczytał, od razu wiedziałby, że...

- Co tak zamilkłeś? - spytał Paul.

- A jeśli nikt tego nie czytał?

- To znaczy? - Paul poczuł nagły przypływ adrenaliny.

- Nie wspominałem ci o tym wcześniej, bo nie sądziłem, że to ważne, ale miałem bardzo duże trudności z odnalezieniem oświadczenia Harmidarrowsa. Już prawie zacząłem myśleć, że senator cię okłamał, że wcale nie zgłosił się do biura i nie podzielił swoimi podejrzeniami na temat Bellavii. Wśród materiałów dotyczących wybuchu nigdzie nie było takiego oświadczenia.

- A gdzie było? - spytał Paul.

- Mamy tu w FBI tecki z informacjami o przywódcach wszystkich grup i organizacji antyrządowych. Ktokolwiek spisał oświadczenie, umieścił je w teckce z materiałami na temat Harmidarrowsa, podczas gdy powinno trafić do materiałów dotyczących wybuchu.

- Innymi słowy, zostało źle zaksięgowane? Ciekawe dlaczego? Steve wzruszył ramionami.

- Muszę przyznać, że miejsce trochę mnie zdziwiło. Ale potem skupiłem się na treści oświadczenia i przestałem się zastanawiać, dlaczego tkwi akurat w tej teckce, a nie innej. Teraz jednak... Aha, jeszcze mi się coś przypomniało. Zazwyczaj wszystkie dokumenty umieszczane są

chronologicznie, w takiej kolejności, w jakiej się je otrzymuje, natomiast oświadczenie Harmidarrowsa było wsunięte gdzieś na sam koniec jego akt, jakby ktoś specjalnie chciał je ukryć.

Przewrócił kilka stron, po czym zaklął pod nosem.

- Dobra, mam. Agent, który spisywał oświadczenie Harmidarrowsa, nazywa się Charlie Barnes. Parę lat temu przeszedł na emeryturę. Jest w wieku Resdoe, może odrobinę starszy, ale to nieważne. Rzecz w tym, że ten Barnes to był taki sam kawał drania jak Resdoe. O ile wiem, przyjaźnili się niemal od pierwszego dnia. Jeżeli więc Resdoe i agent Indygo to jedna i ta sama osoba, jeżeli Resdoe chciał odegrać rolę bohatera i złapać Napalmowca, a przynajmniej wskazać człowieka, który dokonał wybuchu... i jeżeli nagle zjawił się Harmidarrows i złożył Barnesowi oświadczenie, w którym mówił, dlaczego jego zdaniem Colin Birmingham nie mógł wysadzić fabryki, a John Bellavia mógł... To by popsuło Wayne'owi szyki.

- Czyli że Barnes próbował ukryć informację?

- Niewykluczone.

Paul poczuł, jak serce zaczyna mu łomotać.

- Czy to wystarczy twojemu szefowi jako argument przemawiający za wznowieniem postępowania? I niedopuszczeniem do tego, żeby kierował nim agent Indygo?

Steve nie odpowiedział, jedynie wyszczerzył w uśmiechu zęby.

April otworzyła oczy. Przez chwilę sądziła, że obudziły ją promienie słońca wpadające przez okno w sypialni, ale potem zdała sobie sprawę, że to telefon wyrwał ją ze snu. Ale który? Normalny czy komórkowy?

Wstrzymała oddech, czekając na kolejny dzwonek. Rodzice prędzej skontaktowaliby się z nią na numer telefonu komórkowego; trudniej wówczas było sprawdzić, skąd ktoś dzwoni. Do normalnych, stacjonarnych aparatów łatwo było podłączyć urządzenie wskazujące numer dzwoniącego. Jeżeli więc FBI założyło jej podsłuch...

Nie, dzwonił normalny telefon. April doznała uczucia lekkiego rozczarowania. Wstała pośpiesznie z łóżka i pobiegła do gabinetu.

- To ja- powiedział Paul.

Na dźwięk jego głosu przepeliła ją radość oraz ulga.

Była dla Paula tak oschła i nieprzyjemna wczoraj wieczorem, że nie zdziwiłaby się, gdyby się na nią obraził.

- Dzień dobry - wymamrotała.

Weź się w garść, April! - skarciła samą siebie. Po co Paul ma myśleć, że całą noc ciskałaś się po łóżku?

A faktycznie rzucała się jak ryba. Co chwila zapadała w sen i budziła się. Ale za każdym razem, kiedy otwierała oczy, była coraz bardziej pewna, że Paul nie miał nic wspólnego z tym, co się wydarzyło wczorajszego wieczoru nad jeziorem Elizabeth. Potem, tuż nad ranem, przyśniło jej się, że Paul idzie długim tunelem, oddalając się od niej. Ani razu się nawet nie obejrzał. Ocknęła się przerażona: czyżby sen był proroczy?

- Obudziłem cię?

- Nie szkodzi. I tak musiałam wstać, żeby odebrać telefon - powiedziała, przypominając sobie stary dowcip.

Paul zaśmiał się cicho.

Mimo że wciąż była spięta, fakt, że go rozbawiła, poprawił jej nieco humor.

- Zwykle wstaję dużo wcześniej - dodała. - Cieszę się, że dzwonisz. Naprawdę.

- Cieszę się, że się cieszysz... Poczula się jeszcze lepiej.

- A jeszcze bardziej ucieszysz się, kiedy usłyszysz, co ci mam do powiedzenia. Nasz przyjaciel zamierza dziś rano porozmawiać ze swoim szefem. W dodatku jest pewien, że szef pozytywnie odniesie się do jego prośby.

- Uważaj, telefon... - szepnęła ostrzegawczo, zanim zdołał cokolwiek więcej powiedzieć.

- Wiem, wiem. Przyjadę do ciebie i osobiście powiadomię cię o wszystkich szczegółach. Ale najpierw muszę wpaść gdzieś po drodze, więc spodziewaj się mnie za jakąś godzinę. Do zobaczenia.

- Do zobaczenia.

Odłożywszy słuchawkę na widełki, poszła wziąć prysznic. Na wszelki wypadek, gdyby rodzice postanowili do niej zadzwonić akurat w ciągu tych pięciu minut, kiedy nie będzie słyszała brzęczenia dzwonka, zabrała z sobą do łazienki telefon komórkowy. Nie zadzwonili, ale wkrótce zadzwonią, pomyślała, ubierając się. Na pewno zdołali umknąć agentom i jak tylko będą mogli, natychmiast zadzwonią.

Starając się skupić na czym innym i nie martwić o rodziców, wróciła do gabinetu i połączyła się z kilkoma klientami, potem zaś pracowała na komputerze, dopóki Paul nie zadzwonił z dołu.

Nacisnęła przycisk domofonu, po czym z telefonem w ręce ruszyła na dół. Spotkała Paula na pierwszym piętrze. Chciała go pocałować na powitanie, ale nie mogła, bo trzymał przed sobą wielkie pudło.

- Co tam masz? - spytała zaciekawiona.

- Niespodziankę.

- Dla mnie?

- Aha.

- Niespodzianka plus szczegóły o zamiarach Steve'a? No, no, to lepsze niż kwiaty.

Kiedy się roześmiał, poczuła miłe klucie w okolicy serca.

- Szczegółów nie ma tak dużo - powiedział. - Po prostu bałem się, że nie pozwolisz mi przyjść, jeśli cię czymś nie zainteresuję.

- Niepotrzebnie się obawiałeś - rzekła.

- To dobrze. - Ponownie obdarzył ją tak ciepłym, cudownym uśmiechem, że w środku zadrżała. - W każdym razie wczoraj w nocy wylądowałem w gabinecie Steve'a. Przeglądaliśmy materiały dotyczące wybuchu.

- Przeglądaliście? - zdziwiła się. - To znaczy, pozwolił ci do nich zajrzeć?

- Tak. Tylko nikomu o tym ani słowa.

- Oczywiście. Ale przepraszam, przerwałam ci. Przeglądaliście materiały i... ?

- Znaleźliśmy coś, co niemal gwarantuje, że dochodzenie zostanie wszczęte od początku.

Kiedy zamknęli drzwi mieszkania, Paul postawił pudło na podłodze i wziął April w ramiona. Długi, namiętny pocałunek przekonał ją, że koszmary sen, który miała w nocy, o tym, jak Paul odchodzi, nie oglądając się za siebie, z całą pewnością nie był proroczy.

- To co? - spytał, uwalniając ją wreszcie z objęć. - Nie jesteś ciekawa niespodzianki?

- Jestem, ale staram się tego nie okazywać. Kiedy byłam małą, mama zawsze mi powtarzała, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

- Ale bez ciekawości nie ma mądrości.

Schylił się i otworzył pudło. Jej oczom ukazało się duże, włochate stworzenie w kolorze marchewkowym. Stworzenie popatrzyło na April lśniącymi, zielonkawymi ślepiami, zmrużyło je, po czym z niebywałym wdziękiem wyskoczyło z pudła i zaczęło rozglądać się po salonie.

- Wiesz, kto to? - spytał Paul.

Wiedziała, ale ze wzruszenia miała tak ściśnięte gardło, że nie była w stanie wydobyć z siebie głosu.

- Marmolada - powiedziała po dłuższej chwili.

- Właśnie sobie pomyślałem, że wygląda jak Marmolada. Po drodze zajrzałem do schroniska dla zwierząt i zobaczyłem tego rudzielca.

Pracownicy schroniska mówili, że jest niezwykle czuły, że uwielbia pieszczoty i że na pewno będzie sypiał w nogach łóżka.

- Och, Paul, to wymarzony prezent.

- Słyszysz, kotku?

- Hej, Marmoladka-szepnęła, kucając na podłodze. Kot bez wahania podszedł bliżej i otarł się łebkiem o jej kolano.

- Chyba cię lubi - powiedział Paul. - Obydwaj cię lubimy - dodał cicho.

Pogłaskała zwierzę za uszami, potem wstała i zarzuciła Paulowi ręce na szyję.

- April, czy... z nami wszystko gra? - spytał, wtulając twarz w jej włosy. - Bo wczoraj wieczorem...

- Wczoraj wieczorem byłam zła.

- A teraz?

- Wciąż jestem zła, ale nie na ciebie. Telefon od rodziców natychmiast poprawi mi humor.

- Może to oni? - powiedział Paul, kiedy rozległo się brzęczenie.

Pokręciła głową, że na pewno nie; z ociąganiem opuściwszy ramiona, ruszyła do salonu i podniosła słuchawkę.

- April Kelly?

- Tak. Słucham?

- April, pani mnie nie zna. Jestem znajomą pani ojca. April zacisnęła powieki, doznając niewypowiedzianej wprost ulgi. Osoba, która dzwoniła, należała do grupy wspomagającej podziemie. Rodzice wybrali ten właśnie sposób, aby przekazać jej od siebie wiadomość.

- Czy u rodziców wszystko w porządku? - spytała i struchlała z przerażenia, kiedy kobieta nie od razu udzieliła jej odpowiedzi.

- O ile mi wiadomo, to tak - odparła wreszcie. - Dziś rano jednak nie zdołałam się z nimi skontaktować i dlatego postanowiłam zadzwonić do pani. Colin prosił, żebyśmy sprawdzili pewnego człowieka, który podobno bada sprawę wybuchu, niejakiego Paula Gardinera...

- Tak, istotnie.

Telefon kobiety pobudził pamięć April; przypomniała sobie, że po tym, gdy powiedziała ojcu o swojej pierwszej rozmowie z Pauliem, ojciec faktycznie wspomniiał, że warto zwrócić się do przyjaciół z siatki, aby zdobyli o Paulu jakieś informacje.

- Rzeczywiście o to prosił - dodała April, kiedy kobieta na drugim końcu linii wciąż milczała. - Ale to było dawno temu.

- Takie rzeczy wymagają czasu...

- Oczywiście, rozumiem. I co? Jest czysty? - spytała, patrząc w kąt, gdzie Paul bawił się z Marmoladą.

Napotkawszy jej wzrok, posłał jej ciepły, serdeczny uśmiech. Pragnęła być nim obdarzana codziennie do końca życia.

- Obawiam się, że nie - oznajmiła kobieta. - Dlatego postanowiliśmy zatelefonować do pani, zamiast czekać na kontakt z pani ojcem. Paul Gardiner jest agentem FBI.

Przed chwilą April spoglądała na Paula z czułym, radosnym uśmiechem, a teraz patrzyła na niego tak, jakby był uosobieniem wszelkiego zła.

- I co? Jest czysty? - usłyszał Paul. Widząc, jak April blednie, natychmiast się domyślił, że pytanie dotyczy jego osoby i że odpowiedź brzmi: nie.

Kiedy odwróciła się do niego plecami, wciąż ściskając słuchawkę przy uchu, dźwignął się z podłogi. O co, u licha, chodzi? Co jej mówi osoba na drugim końcu linii?

Z jej postawy, ze sztywności pleców i szyi domyślał się, że jest coraz bardziej zdenerwowana. Czuł się tak, jakby ktoś wbijał mu nóż w serce.

- Tak... Cóż, dziękuję - wyszeptała w końcu. Odłożyła słuchawkę, ale nadal stała zwrócona do niego

plecami. Z bijącym sercem czekał na jej ruch, świadom, że usiłuje się wziąć w garść, choć trochę opanować nerwy.

Wreszcie odwróciła się.

- Dzwono.. ..nił ktoś z grupy wspo... wspomagającej podziemie - rzekła, jękając się lekko ze zdenerwowania. - Powiedzieli, że jesteś agentem.

Choć niczego bardziej w życiu nie pragnął, niż podejść do niej i przytulić, nie ruszył się z miejsca.

- To nieprawda - oświadczył.

- A gdyby było prawdą? Czy przyznałbyś się?

- Nie, zapewne nie - odparł. - Ale to kłamstwo. Czy facet powiedział, skąd mają taką informację?

- Facetka, To była kobieta.

- Jaka kobieta?

- Nie wiem. Nie przedstawiła się.

- Widzisz? To najlepszy dowód. Pewnie ktoś ci zrobił głupi kawał.

Jakiś dowcipniś.

- Nie. Nie zawsze się przedstawiają. A dowcipniś nie wiedziałby, że ojciec prosił kogoś z siatki, żeby ciebie sprawdzono. Jeśli zaś chodzi o twoje pytanie, to nie, nie powiedziała mi, skąd mają taką informację.

Jedynie że kazano jej zadzwonić i... powiadomić mnie o tym, co odkryli.

Baczenie mu się przypatrywała, toteż starał się zachować chociaż pozory spokoju, ale pot lał się z niego strugami. Co będzie, myślał ze strachem, jeśli April mu nie uwierzy?

- Posłuchaj mnie, April. Gdyby istniał jakiś sposób, żeby ci udowodnić, że nie jestem agentem, już dawno bym to zrobił. Ale oboje wiemy, że nie ma takiego sposobu. Mogę ci tylko powtarzać z uporem maniaka, że nie jestem żadnym agentem i mieć nadzieję, że mi uwierzysz. Oni mają złe informacje. Skąd? Nie wiem. Moim zdaniem, ktoś się musiał zorientować, że twój ojciec próbuje się czegoś o mnie dowiedzieć, i specjalnie przekazał fałszywe dane.

- Kto? - spytała. - I dlaczego?

Pokręcił głową, zupełnie przybity. W całej tej sprawie było zbyt wiele pytań bez odpowiedzi.

- Może Wayne Resdoe - powiedział. - A może ktoś, o kim nie mamy pojęcia. Komuś najwyraźniej zależało na tym, żebyś przestała mi ufać i nie chciała mieć ze mną więcej do czynienia. Wiemy, że istnieje przynajmniej jedna osoba, która pragnie przeszkodzić nam w naszych działaniach. I która nie chce, żeby twój ojciec nam pomagał... Słuchaj, April - dodał po chwili. - Pełno w tym wszystkim pytań i niewiadomych. Podobnie jak ty, ja też nie znam odpowiedzi. Ani razu cię jednak nie okłamałem i nigdy nie zrobiłbym nic, co by mogło ci zaszkodzić. Nigdy, przenigdy. Ponieważ cię kocham.

Zamilkł na chwilę, niepewny, czy wybrał właściwy moment na takie wyznania. April nie zareagowała. Przyglądała mu się bez słowa, nie zdradzając jakichkolwiek emocji. W ukrywaniu stanu swej duszy była niedościgniona; wieloletnia praktyka zrobiła swoje.

- April, naprawdę wolisz wierzyć kobiecie, która nawet ci się nie przedstawiła, niż mnie?

- Wcale nie wolę - odparła cicho i łzy pociekły jej po policzkach - ale straszliwie się boję. Nie chcę popełnić takiego samego błędu jak wczorajszej nocy. Boję się tego, co może się stać.

- Zaufaj mi - powiedział. - Proszę cię, April. Zaufaj mi. Nie zawiodę cię. Przysięgam na grób mojego ojca.

Wbiła wzrok w podłogę, a on zaczął modlić się w duchu, by mu uwierzyła.

Nadal groziło im niebezpieczeństwo. Miał świadomość, że będą mogli odetchnąć z ulgą dopiero wtedy, gdy Steve doprowadzi do wznowienia śledztwa i wieść o tym dotrze do zamachowca. Do tego czasu

nie chciał spuszczać April z oczu - i ze strachu, aby jej ktoś nie wyrządził krzywdy, i dlatego, że naprawdę ją kochał - miłością wielką i dozgonną. Po prostu nie wyobrażał sobie bez niej życia.

Dlatego pragnął, aby na niego spojrziała. Jeżeli mu nie ufała po tym wszystkim, co razem przeszli...

Wreszcie podniosła głowę; oczy miała lśniące od łez, policzki mokre. Napotykając jego wzrok, poprosiła szeptem:

- Mógłbyś to powtórzyć?
- Co? - zapytał. - Że cię nie zawiodę?
- Nie. Że mnie kochasz.

Nieśmiało, niepewnie, postąpił krok w jej stronę.

- Kocham cię, April. Szaleję za tobą. Wariuję z miłości do ciebie.

- Och, Paul... Ja też cię kocham - powiedziała cicho. Sekundę później chwycił ją w ramiona i zaczął całować; czuł słony smak łez i tulił ją mocno, jakby nigdy nie chciał wypuścić jej z objęć.

Kiedy jednak Marmolada miauknął, zrozumiał, że prędzej czy później oboje muszą wrócić do rzeczywistości.

- Wiesz co - powiedział, muskając wargami jej szyję.

- Kupiłem też kuwetę i torbę kociego jedzenia, ale nie dałem rady wnieść wszystkiego naraz. Więc przypilnuj, żeby mały rudzielec nie napsocił, a ja przyniosę resztę rzeczy z dżipa.

- Ruszył z ociąganiem do drzwi. - Za chwilę wracam. Nigdzie nie odchodź.

Stała, wsłuchując się w zanikający odgłos jego kroków.

Następnie naląła kotu miseczkę zimnej wody, postawiła ją w kuchni na podłodze, po czym przeszła do salonu i usiadła na kanapie, na której Marmolada mościł sobie wygodne gniazdko.

Chociaż w obecnej sytuacji bała się komukolwiek wierzyć, postanowiła jednak zaryzykować i zaufać Paulowi. Na myśl o tym, że mogłaby spędzić resztę życia bez niego, ogarnął ją tak przejmujący smutek, że uznała, iż nie ma wyjścia. Po prostu musi mu zaufać i już.

Ale nie przemawiały przez nią same emocje. Paul miał rację: ktoś istotnie mógł przekazać podziemiowi fałszywe informacje. Wcale nie było to takie nierealne. O wiele dziwniejsze rzeczy się zdarzały, choćby przesyłka z taśmą albo strzelanina, podczas której użyto ślepych naboii.

Zresztą, jak mawiał ojciec: „Nadchodzi taka chwila, kiedy trzeba albo wyciągnąć rybę z wody, albo przeciąć żyłkę”. No i nadszedł czas, że albo powinna uwierzyć Paulowi, albo dać sobie z nim spokój.

Miała jedynie nadzieję, że decyzja, którą podjęła, okaże się słuszna.

- Na pewno okaże się słuszna - szepnęła. - Prawda, Marmoladko? -

Pogłaskała mięciutkie futerko. - Paul jest po naszej stronie, a ludzi z siatki ktoś oszukał...

Kot wpatrywał się w nią uważnie, zachowując swą opinię dla siebie. Nagle rozległ się ostry dźwięk domofonu. April podskoczyła, kot również.

- Przepraszam, malutki - powiedziała, głaszcząc go uspokajająco po łebku. - Nie spodziewałam się Paula tak szybko. Widocznie zaparkował pod samym domem.

Nacisnęła przycisk domofonu, po czym - tak jak poprzednio - wyszła z mieszkania, by spotkać Paula w pół drogi. Tym razem jednak na górę szedł jakiś obcy mężczyzna.

April stanęła, przyglądając mu się uważnie. Wiek średni, włosy długie, szpakowate, starannie uczesane, drogi, szyty na miarę garnitur. Facet nie sprawiał wrażenie groźnego bandyty. Podejrzewała, że przyjechał z wizytą do któregoś z sąsiadów mieszkających piętro niżej i niechcący nacisnął jej dzwonek. Albo specjalnie nacisnął ten dzwonek, bo sąsiedzi byli w pracy, a on miał dla nich coś, co nie mieściło się do skrzynki na listy.

Ale jeśli przybył z przesyłką dla sąsiadów, dlaczego ręce miał puste i dlaczego wchodził na drugie piętro, gdzie znajdowało się tylko jej mieszkanie?

Przezornie cofnęła się w stronę swoich drzwi.

- April? - spytał mężczyzna, zwalniając przed podestem. - April Kelly?

- Tak.

Zanim zdążyła spytać, kim jest, mężczyzna ponownie przemówił.

- Przepraszam. Sprawia pani wrażenie zaskoczonej moim widokiem, ale przecież sama mi pani otworzyła.

- Tak. Spodziewałam się jednak kogoś innego - wyjaśniła, zaciskając nerwowo palce na pamiętce po babci.

- Ładny medalion - powiedział mężczyzna.

- Dziękuję.

Wpatrywał się w niego ułamek sekundy za długo. Po chwili napotkał jej spojrzenie.

- Nie chcę pani przeszkadzać, ale byłbym wdzięczny, gdyby poświęciła mi pani minutę czy dwie.

Doszedł do ostatniego stopnia. April znowu się cofnęła.

- Czy my się znamy? - spytała.

- Nie. I moje nazwisko nic pani nie powie - oznajmił mężczyzna. - Ale chwileczkę, dam pani moją wizytówkę...

Wyciągnął z kieszeni portfel, wyjął wizytówkę i wręczył ją April.

Mylił się. Jego nazwisko wiele jej mówiło. Bardzo wiele. Poczowała, jak krew zastyga jej w żyłach.

Ściskając w prawej ręce torby z kocim jedzeniem, a w lewej sporych rozmiarów kuwetę z pokrywą, Paul usiłował kolaniem dosięgnąć przycisku domofonu.

Nie udało mu się, więc postawił kuwetę na ziemi i nacisnął dzwonek palcem. Kiedy nie było odpowiedzi, uznał, że April poszła do łazienki albo że jest zajęta w kuchni i nie słyszy. Odczekał minutę i znów zadzwonił. Bez rezultatu.

Wychodząc z założenia, że jakoś musi dostać się do środka, postawił torby koło kociej kuwety i nacisnął kolejno pozostałe dwa przyciski. Ale albo sąsiadów nie było w domu, albo ich nie interesowało, kto usiłuje się dostać na ich klatkę schodową.

Coraz bardziej zaniepokojony, wy dobył z kieszeni telefon komórkowy i wystukał numer April. Kiedy po czterech dzwonekach wciąż nie podnosiła słuchawki, niemal zaczął sobie wyobrażać, że leży martwa w

kałuży krwi. Zastanawiał się, czy nie zadzwonić po pogotowie, kiedy wreszcie usłyszał jej głos. Był lekko zdenerwowany.

- Co się stało? Dzwonię i dzwonię...

- Przepraszam. Wyszłam na moment na klatkę schodową. Ktoś wpadł z niespodziewaną wizytą i rozmawialiśmy chwilę na korytarzu, zanim weszliśmy do mieszkania.

Serce waliło mu jak oszalałe. Nie była sama; ktoś jest u niej w mieszkaniu! A głos miała na tyle zmieniony, że domyślił się, iż boi się zdradzić mu nazwisko swego gościa.

- Dałeś radę zabrać wszystko za jednym razem? - spytała April.

- Możesz mi powiedzieć, kto przyszedł? Czy nie chcesz, żeby słyszał?

- No właśnie.

- Czyli udajemy, że nic się nie stało?

- Tak. Poczekaj chwileczkę, zaraz ci otworzę drzwi.

Opuściwszy rękę, wymacał w kieszeni pistolet. Był zadowolony, że zabrał go z domu, że postanowił nigdzie się bez niego nie ruszać. Nie wiedział, co, u diabła, się działo, kto złożył April niespodziewaną wizytę, ale wiedział ponad wszelką wątpliwość, że zrobi absolutnie wszystko, aby chronić ją przed, niebezpieczeństwem.

Kiedy rozległo się ciche brzęczenie, chwycił drzwi za klamkę i pociągnął tak mocno, że niemal wyrwał je z zawiasów. Ale po chwili przypomniał sobie, że gość April pewnie słyszał jej pytanie - czy zabrał wszystko - więc cofnął się i podniósł z ziemi torbę oraz kuwetę. Wbiegł szybko na górę, nie zważając na to, że kuweta uderza o metalowe pręty.

Drzwi mieszkania były lekko uchylone; wszedł do środka bez pukania. April siedziała na kanapie obok mężczyzny, którego nigdy na oczy nie widział. Kot leżał na jednym z dużych, miękkich foteli i zajmował się własną toaletą, nie przejmując się obecnością gościa.

Nie żeby to o czymkolwiek świadczyło. Nie sądził, aby koty potrafiły tak jak psy wyczuwać dobrych i złych ludzi.

- Paul! - zawołała April, posyłając mu zatroskane spojrzenie. -
Poznaj starego przyjaciela moich rodziców. John jest malarzem.
Przyjechał z Kalifornii.

O Boże. Domyślił się, kim jest ów John, zanim April podała jego nazwisko.

- A to jest... Ale pan wie, kim jest Paul Gardiner.

Paul odłożył przyniesione z dołu rzeczy. Zastanawiał się, skąd, u licha, John Bellavia wie, kim on jest, i co jeszcze ten facet może wiedzieć.

- Pan Bellavia... - zaczęła April.

- John, moja droga. John - poprawił ją łagodnie mężczyzna.

Skinęła głową.

- John właśnie mi mówił, że od dłuższego czasu usiłuje się skontaktować z moimi rodzicami i... Może opowiesz wszystko od początku, co, John? Jestem pewna, że Paul chętnie posłucha...

Bellavia uśmiechnął się serdecznie.

- Dobrze, oczywiście.

Spokojnie, stary, powiedział do siebie Paul. Może Bella-vii brakowało czasem piątej klepki, ale przynajmniej na razie zachowuje się kulturalnie. Najwyraźniej postanowił im najpierw zademonstrować jedną

stronę swej osobowości - doktora Jekylla, a pana Hyde'a ewentualnie zostawić na później.

- Sądzę, że od jakiegoś czasu oboje zastanawiacie się nad tym, co się wokół was dzieje...

- I pan coś wie na ten temat? - spytał Paul, zajmując wolny fotel.

Starał się rozeznać w sytuacji, nie okazywać zaniepokojenia ani żadnych negatywnych emocji. April - o ile zdołał się zorientować - udawała, że nigdy w życiu nie słyszała o Johnie Bellavii, więc nie pozostało mu nic innego jak przyłączyć się do gry i patrzeć, co z niej wyniknie.

- Chyba powinienem zacząć od początku - oznajmił Bellavia, pochylając się nieco do przodu. - Otóż od kilku tygodni biorę udział w pewnym programie, który promuje... a może raczej uczy, jak osiągnąć zdrowie psychiczne. Jest to program „Krok po kroku”, oparty na założeniach wypracowanych przez ruch AA.

Paul pokiwał głową.

- Pracuję przy produkcji „Dzisiejszego świata” - wtrącił. - Jeden z odcinków poświęcony był takim programom.

- Naprawdę? - zdziwił się Bellavia. - Musiałem jakoś przeoczyć, bo zwykle oglądam „Dzisiejszy świat”. W każdym razie jeden z kroków polega na tym, że należy skontaktować się z kimś, komu w przeszłości wyrządziło się krzywdę, i postarać się ją naprawić. Oczywiście, niekoniecznie chodzi o krzywdę w sensie fizycznym. Czasem słowami można wyrządzić większy ból... Tak czy inaczej program zakłada, że

powinniśmy się skontaktować z osobą, którą skrzywdziliśmy najmocniej.
To chyba zrozumiałe?

Paul skinął głową.

- Chociaż bardzo niechętnie się do tego przyznaję -ciągnął mężczyzna - obawiam się, że to z mojej winy rodzice April od tylu lat muszą żyć w ukryciu.

- Z pana winy? - zdumiał się Paul.

Popatrzył na April. Z jej oczu wyczytał: To jeszcze nie! Poczekaj, aż usłyszysz resztę!

- Tak. Widzi pan, Colin Birmingham nie podłożył tamtego ładunku. To nie on jest Napalmowcem. A ja, chociaż wiedziałem, kto to zrobił, nikomu nic nie mówiłem.

W mieszkaniu zapanowała grobowa cisza. Pierwsza przerwała ją April.

- Właśnie do tego momentu John doszedł, kiedy się pojawiłeś - poinformowała Paula.

- A kto jest prawdziwym Napalmowcem? - spytał Paul. Bellavia uśmiechnął się.

- Widzę, że nie lubi pan tracić czasu, ale od razu przejść do sedna.

- Skrzywienie zawodowe.

- Pozwoli pan jednak, że jeszcze przez chwilę tego nie zdradzę.

Najpierw powinien pan usłyszeć parę innych rzeczy. Tego też wymaga ode mnie program; mam wyjaśnić motywy swych działań.

- Słuchamy - rzekła April, zdobywając się na znacznie mniej wymuszony uśmiech niż na początku.

- A więc tak jak Jillian już wspomniała... - zaczął Bellavia, zwracając się do Paula, i nagle urwał. - Pewnie wolisz, żebym używał imienia April, prawda? - Popatrzył na nią pytająco.

- Do April jestem bardziej przyzwyczajona.

- Dobrze. A więc tak jak April wspomniała, od jakiegoś czasu usiłuję skontaktować się z jej rodzicami. Zatrudniłem nawet prywatnego detektywa, ale jemu też się nie udało ich znaleźć. A potem zobaczyłem pańskie ogłoszenie w „New York Timesie” i pomyślałem sobie, że jeżeli zdołam odszukać pana, może wtedy, idąc po nitce do kłębka, znajdę również Colina i Mary. Z ogłoszenia wywnioskowałem oczywiście, że jest pan ich synem.

Paul skinął głową. Co do joty sprawdziło się to, o czym rozmawiali kiedyś z April. Że ktoś - a tym kimś okazał się akurat John Bellavia - dojrzy ogłoszenie i rozpocznie własne śledztwo.

- Tym razem - ciągnął Bellavia - zatrudniłem cały zespół detektywów. Bardzo szybko donieśli mi o tym, kto umieścił ogłoszenie, a także o tym, że wcale nie jesteś... pozwolisz, że będę do ciebie mówił po imieniu? Więc że nie jesteś spokrewniony z Birminghamami. Śledzili cię podczas waszego pierwszego spotkania, a potem.

- A więc to ty kazałeś nas sfilmować? - spytał Paul. - Wolno wiedzieć, w jakim celu?

Przerywanie rozmówcy nie zawsze odnosi dobry skutek, ale ponieważ Bellavii najwyraźniej zależało na tym, aby opowiedzieć wszystko w najdrobniejszych szczegółach, Paul u-znał, że warto poznać tych szczegółów jak najwięcej.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Głównie dlatego, że byłem ciekaw, jak po tylu latach wygląda córka Mary... Córka Mary i Colina - poprawił się.

Przez ułamek sekundy na twarzy April odmalowało się zdenerwowanie, jednak szybko wzięła się w garść i popatrzyła na Bellavię, zainteresowana dalszą częścią jego opowieści.

- W każdym razie śledzili was z lotniska pod dom April. Od tej pory oboje znajdowaliście się pod stałą obserwacją. Oczywiście to przeszłość. Teraz nie ma już takiej potrzeby. Zresztą kiedy wyjaśnię wam wszystko do końca, sami zrozumiecie, że najlepiej będzie działać wspólnie, bo mamy ten sam cel. - Wyszczrzył zęby, bardzo z siebie zadowolony.

April zerknęła na Paula, po czym przeniosła wzrok na Bellavię.

- Skoro od pierwszego dnia byłam śledzona, dlaczego detektywi nie odkryli miejsca pobytu moich rodziców? - spytała. - Wybrałam się do nich nazajutrz po spotkaniu z Paulem.

- Tak, wiem. Niestety, wynajęci przeze mnie detektywi popełnili błąd. Nie sądzili, że będziesz tak sprytnie potrafiła kluczyć, żeby zgubić ogon. Więcej tego błędu nie powtórzyli.

- Czyli wiesz również, że pojechałam zobaczyć się z... Bellavia zachichotał.

- Sprawdzasz mnie, prawda? Tak, moja droga. Wiem, że widziałas się z Walkerem i Gutteridge'em. Wtedy już nie udało ci się nam wymknąć. A nawet gdyby ci się udało, daleko byś nam nie uciekła, bo na wszelki wypadek zastosowaliśmy pewien drobny, lecz niezawodny środek pomocniczy.

- Środek pomocniczy? - powtórzyła.

- Tak. W medalionie, który masz na szyi, zamontowano malutki, ale niezwykle silny przekaźnik. Nawet kiedy cię nie było widać, można było odbierać twój sygnał.

Odruchowo sięgnęła do medalionu, który dostała na szczęście od matki.

- Zastanawiasz się, kiedy tego dokonaliśmy?

- Tak - przyznała.

- Następnej nocy po twoim powrocie od rodziców. Wcześniej tego samego dnia Paul rozmawiał przez telefon z Colinem.

- Wiedzieliście o jego rozmowie telefonicznej? Skąd.

- Och, to była pestka. Nie ma o czym mówić. Moi ludzie byli znacznie bardziej dumni z przekaźnika w medalionie.

Kiedy zdjęła medalion z szyi, Bellavia wyciągnął po niego rękę.

- Użyli kleju, żeby zamek się zablokował. Daj, proszę, naprawię go.

Potrząsnęła głową.

- Nie, dziękuję. Sama sobie naprawię. Ale dlaczego... Nie rozumiem. Przecież nie musiałam go stale nosić; mogłam wyjść z domu bez medalionu...

- Mieliśmy nadzieję, że tego nie zrobisz. Widzisz, tamtego wieczoru, kiedy spotkałaś Paula na ulicy, moi ludzie podsłuchiwali was za pomocą czułych mikrofonów o dalekim zasięgu. Kiedy powiedziałaś mu, że dostałaś medalion od mamy i że zamierzasz go nosić cały czas...

- Ale jak umieściliście w nim pluskwę? - spytał Paul.

- Weszliśmy przez okno w łazience. April wystraszyła się.

- Co?

- Tak, tak. W środku nocy dwóch detektywów spuściło z dachu drabinę. Spałaś jak suseł, nawet nie drgnęłaś.

- Boże - szepnęła April. - Ktoś był u mnie w nocy w sypialni?

- Nie zrobili ci przecież krzywdy.

- Mimo to...

Paul widział, że ta część opowieści Bellavii bardzo April deprymuje, ale nie chciał mu przerywać. Musiał dowiedzieć się jak najwięcej.

- Resztę też nam wyjaśnisz? - spytał. - Dlaczego nakręciliście taśmę, na której ktoś umieszcza ładunek wybuchowy w bagażniku mojego dżipa? Dlaczego zorganizowaliście tę lipną strzelaninę na ulicy? I dlaczego wysłaliście Gutteridge'owi list i taśmę przedstawiającą mnie i April na lotnisku?

- Nie wszystko jest moją robotą.

- Nie?

Bellavia potrząsnął głową.

- Jeśli chodzi o Gutteridge'a, to owszem, wysłałem mu kopię taśmy. Po prostu uważam, że ludzie, którzy kłamią, zasługują na karę. A skoro Gutteridge skłamał, twierdząc, że ojciec April jest Napalmowcem... Oczywiście skłamał dawno temu, ale chciałem, żeby wiedział, że dwoje młodych ludzi usiłuje dotrzeć do prawdy. Wierzę, że z powodu taśmy i listu spędził kilka bezsennych nocy.

- A Toma Walkera też jakoś ukarałeś? - spytał Paul.

- Nie. W ciągu tych lat, które minęły od zamachu, stale byłem informowany o tym, co u nich słyhać. Wiedziałem, że Walker umiera na

raka. Uznałem, że to dostateczna kara. Ale wracając do twojego poprzedniego pytania, Paul... Byłem odpowiedzialny tylko za jedną z trzech rzeczy, o których wspomniałeś: za wysłanie Gutteridge'owi taśmy przedstawiającej was na lotnisku. Strzelanina i ta druga taśma z bombą w bagażniku to dzieło agenta specjalnego Wayne'a Resdoe. Aha, i ten facet, którego goniłeś, Paul, to też jego człowiek. Moi detektywi bardzo się uśmiali z twojego pościgu.

- Boże - szepnęła April. - Mam wrażenie, jakby pół miasta nas śledziło.

- Żadne pół miasta - sprzeciwił się Bellavia. - Tylko moi ludzie i ludzie Resdoe.

- I twierdzisz, że za strzelaniną na ulicy i fałszywą bombą w samochodzie stał Resdoe? - spytał Paul, starając się nie zbaczać z tematu.

- Tak. Muszę przyznać, że martwiło mnie jego zachowanie. Ale póki tylko was straszył i próbował zniechęcić, nie interweniowałem.

- Dlaczego nas straszył? Dlaczego chciał zniechęcić? - zapytała April.

- Bo nie chciał, żebyście poznali prawdę o zamachu. Paul czekał niecierpliwie na następne słowa Bellavii. Czy wreszcie usłyszą prawdę, do której usiłowali dotrzeć? Czy Bellavia powie im, co się stało przed trzydziestoma laty? Czy okaże się, że to Resdoe podłożył ładunek wybuchowy? A nawet jeśli tak, to skąd będą mogli mieć pewność, że Bellavia ich nie okłamuje?

Po chwili przerwy Bellavia ponownie się odezwał:

- Zanim jednak dojdziemy do wybuchu, muszę wyjaśnić jeszcze kilka rzeczy. Tak jak powiedziałem, nie przejmowałem się działaniami agenta Resdoe, póki was tylko straszył, póki to niczym nie groziło. Ale wczorajszej nocy skończyła się zabawa. Wczorajszej nocy, April, Resdoe usiłował zabić twojego ojca.

- Więc o wczorajszych wydarzeniach również już wiesz - zauważył Paul.

- Oczywiście. Moi detektywi obserwowali całe zajście. Ty i April mogliście zginąć. Dlatego tu jestem; muszę powstrzymać Resdoe. Mary... Mary i Colin już dość się przeze mnie nacierpieli. Nie mogę stać beczynnie i patrzeć, jak ktoś naraża na niebezpieczeństwo życie ich córki.

- Naprawdę uważasz, że grozi mi niebezpieczeństwo?

- No cóż, jeśli Resdoe będzie musiał wybierać między sobą a tobą... Ale pozwólcie, że cofnę się na chwilę i wyjaśnię wam, skąd wiedział, że przez ciebie, April, może sam mieć kłopoty. Otóż kiedy wysłałem Gutteridge'owi taśmę z listem, Gutteridge wystraszył się i natychmiast zadzwonił do Wayne' a, który jest jego kumplem...

- Skąd wiesz? - spytał Paul.

Bellavia popatrzył na niego z politowaniem, jakby miał przed sobą człowieka mało rozbieranego.

- Wynajęci przez mnie detektywi śledzili nie tylko was. Byłem ciekaw, jak Gutteridge zareaguje na przesyłkę. Pół godziny po odejściu doręczyciela skontaktował się z Resdoe.

- To wyjaśnia parę spraw, które nie dawały mi spokoju - powiedziała April, a kiedy Paul spojrział na nią pytająco, dodała: - Kiedy wczoraj

Resdoe nazwał mnie córką Colina Birminghama, zastanawiałam się, skąd o tym wie. A wiedział od Gutteridge'a. W liście, który John dołączył do taśmy, było wyraźnie napisane, że jestem Jillian Birmingham.

- Więc kiedy poszliśmy do niego na rozmowę, od początku orientował się, co i jak?

April potwierdziła skinieniem głowy, po czym ponownie zwróciła się do Bellavii:

- Przepraszam, przerwałam ci. Co było potem, kiedy już Gutteridge dostał taśmę i zadzwonił do Wayne'a?

- Parę dni później, po twojej wizycie, ponownie do niego zadzwonił. Podejrzewam, że właśnie wtedy Resdoe wpadł na pomysł, że trzeba was oboje nastraszyć, a tym samym zniechęcić do dalszych poszukiwań. Z powodu mgły nad Toronto i odwołanych lotów miał czas sprawdzić, gdzie nocujesz, gdzie zostawiłaś samochód i tak dalej. Zaaranżował wszystko tak, aby do strzelaniny doszło, kiedy zwrócisz samochód do wypożyczalni i będziesz szła do domu. Nakręcił również ten filmik o bombie w samochodzie Paula. Uznał, że autorstwo przypiszecie temu samemu człowiekowi, który wysłał taśmę Gutteridge'owi.

- I miał rację - przyznał Paul.

- No właśnie. Resdoe nie jest głupi. Na pewno też uznał, że film o bombie w bagażniku i strzelanina na ulicy wystraszą was na tyle, że zrezygnujecie z dalszych działań. Powoli bowiem zbliżaliście się do odkrycia prawdy, a na to Resdoe nie mógł pozwolić. Nie mógł, ponieważ to on trzydzieści lat temu zaplanował wybuch w fabryce napalmu.

A zatem Resdoe jest winien wybuchu. Ale czy rzeczywiście? A może tylko o to Bellavii chodzi

- aby uwierzyli w winę Wayne'a? Jeden rzut oka na April przekonał Paula, że ma te same wątpliwości co on.

John Bellavia mówił tak rzeczowym, wypranym z emocji tonem, że łatwo było uwierzyć w każde jego słowo. Należy jednak pamiętać o tym, że większość psychopatów to wytrawni kłamcy. A także o tym, że bez względu na to, co Bellavia twierdzi, Steve właśnie jego najbardziej podejrzewał o dokonanie zamachu.

- Jesteś absolutnie pewien, że za wszystkim stoi Resdoe? - spytał Paul.

- Oczywiście. Od początku byłem pewien. Wiele miesięcy przed wybuchem zacząłem podejrzewać, że jest wtyczką FBI, więc... Wiedzieliście, że już wtedy pracował w FBI?

Paul skinął głową.

- W każdym razie - kontynuował Bellavia - kiedy zacząłem podejrzewać, że jest wtyczką, założyłem w jego mieszkaniu podsłuch. Wtedy nabrałem pewności, że się nie mylę. Zawsze miałem dryg do elektroniki i takich tam spraw.

Do takich tam spraw, powtórzył w myślach Paul. Do takich tam spraw można również zaliczyć konstruowanie bomb.

- W jakim celu agent FBI miałby niszczyć fabrykę napalmu? - spytała April.

Paul spojrział na Bellavię. Ciekaw był, czy jego tok rozumowania będzie taki sam jak Colina Birminghama.

- Chciał odegrać rolę bohatera - wyjaśnił Bellavia. - Najpierw zaaranżował taki incydent, o którym wiadomo było, że prasa narobi mnóstwo szumu. A potem odkrył winowajcę, to znaczy rzekomego winowajcę...

- Bo tak naprawdę mój ojciec nie miał z wybuchem nic wspólnego?

- Nic a nic - potwierdził Bellavia. - A Resdoe... Cóż, to, iż rozwikłał sprawę i znalazł winnego, miało ogromne znaczenie dla jego kariery zawodowej.

Tak, pomyślał Paul; Birmingham identycznie oceniał jego motyw.

- Innymi słowy, Napalmowcem jest Wayne Resdoe - powiedziała cicho April.

Bellavia pokręcił ze zniecierpliwieniem głową.

- Nie. Powiedziałem, że Resdoe to zaplanował, że stał za wszystkim. Ładunek podłożył Tom Walker.

- Ale... przecież Tom Walker nie znał się na bombach - zdumiał się Paul.

- Skąd wiesz?

- No, z różnych źródeł - odparł, świadom jednak, że nie wszystkie informacje w posiadaniu FBI są dokładne i wiarygodne.

- Znał się - oznajmił stanowczo Bellavia. - A wiem, bo sam widziałem, jak podkłada bombę.

- Widziałeś? - spytała zaskoczona April. - Byłeś w tym czasie w fabryce?

- Nie. Powinienem raczej powiedzieć, że niemal widziałem. A dokładnie to było tak, że śledziłem go do samej fabryki i widziałem, jak się zakrada do środka.

- Śledziłeś? Po co? - spytał Paul.

- Bo znałem plan i chciałem się przekonać, czy Walker naprawdę go zrealizuje.

- Znałeś plan? Aha, bo nie usunąłeś podsłuchu z mieszkania Wayne'a Resdoe?

- Właśnie.

- A jaki był plan? - spytała April. Bellavia wzruszył ramionami.

- Że Walker podłożył bombę, a potem razem z Gutteridge'em zrzucą winę na twojego ojca. Wszyscy trzej, Walker, Gutteridge i Resdoe, mieli zapewnić sobie nawzajem alibi. W dniu wybuchu wybrali się do kina. Kilka minut po rozpoczęciu seansu Walker wymknął się z sali kinowej, poszedł do fabryki i podłożył ładunek. Następnie wrócił do kina, żeby wszyscy trzej mogli wyjść razem. Po filmie udali się do baru i specjalnie zachowywali się hałaśliwie, żeby zapaść w pamięć innym gościom.

- A co kierowało Walkerem i Gutteridge'em? Dlaczego zgodzili się pomóc Resdoe?

- Co nimi kierowało? Forsa. Przecież wiadomo, że nie robili tego za darmo. Agenci, którzy na polecenie biura penetrowali różne środowiska społeczne, mieli do swojej dyspozycji specjalny fundusz.

Zapadła długa cisza. Wreszcie April ją przerwała:

- John...?

- Tak?

- Dlaczego nie opowiedziałeś o wszystkim FBI? Niemal widać było, jak pewność siebie Bellavii kruszeje.

- Niełatwo mi o tym mówić - rzekł, wbijając wzrok w swoje buty. - Uff! Ludzie z programu „Krok po kroku” uprzedzali mnie, że to będzie najtrudniejsze, ale nie sądziłem, że okaże się aż tak trudne. Otóż... - Urwał, a po chwili podniósł głowę i popatrzył April prosto w oczy. - No dobra. Dawno temu, kiedy jeszcze należałem do AWW, kochałem się w twojej mamie. Ona mnie jednak rzuciła i wyszła za mąż za twojego ojca. Jako młody człowiek cierpiałem na dość poważne zaburzenia emocjonalne, a to znaczyło, że nie zawsze zachowywałem się racjonalnie i nie zawsze racjonalnie oceniałem otaczającą mnie rzeczywistość. Kiedy więc dowiedziałem się, że Resdoe zamierza obwinie za wszystko twojego ojca, pomyślałem sobie... Chryste, wiem, jak okropnie to brzmi, ale wtedy naprawdę miałem nie po kolei w głowie. Uznałem, że w moim własnym interesie leży trzymanie języka za zębami. A ponieważ milczałem po wybuchu, to później, kiedy w pełni sobie uświadomiłem, jak straszny grzech mam na sumieniu... W każdym razie później też nic nie mówiłem, no bo kto by mi uwierzył? Wzięto by mnie za wariata, który chce się znaleźć w centrum uwagi.

- A teraz? - spytał Paul. - Od wybuchu minęło już prawie trzydzieści lat. Czy masz zamiar powiedzieć agentom FBI to, co nam przed chwilą opowiedziałeś? Bellavia skinął głową.

- Tak. Myślę, że w końcu mi uwierzą. Powiem, że śmierć Toma Walkera zmusiła mnie do przewartościowania pewnych spraw... Sądźcie, że to kupią? - Popatrzył na nich tak, jakby potrzebował wsparcia.

- Hm, brzmi całkiem wiarygodnie - rzekła wolno April.

- Bo boję się, że jeśli powiem prawdę i wyjaśnię, że robię to z powodu programu, w którym uczestniczę... Sami wiecie, jak to jest. Niektórzy bardzo sceptycznie patrzą na takie rzeczy, zwłaszcza jeśli wywodzą się z Kalifornii. Nadal nie mam przekonania, czy federalni nie potraktują mnie jak wariata. Czy nie uznają, że wyssałem sobie wszystko z palca tylko po to, żeby zadowolić ludzi z programu, żeby pokazać im, że potrafię wykonać ten najtrudniejszy ze wszystkich kroków w terapii? - Zawahał się. - April, Paul, a co wy o tym sądźcie? Jak myślicie? Jeśli opowiem wszystko federalnym, Resdoe na pewno zaprzeczy; stwierdzi, że jestem wariatem, a on sam nie miał z tym nic wspólnego. Jak myślicie, komu prędzej uwierzą, mnie czy jemu?

Paul zaklął cicho pod nosem. Cały czas był tak skupiony na wyłapywaniu luk i nieścisłości w historii Bellavii, tak skoncentrowany na pytaniu, czy Bellavia mówi prawdę, czy kłamie, że najbardziej oczywista rzecz umknęła jego uwagi.

Facet ma rację. Otóż nawet gdyby w jego opowieści nie było słowa fałszu, gdyby od początku do końca mówił szczerą prawdę, to federalni istotnie prędzej uwierzą jednemu ze swoich ludzi niż komuś, kto regularnie raz na jakiś czas trafia do prywatnej kliniki dla czubków. Chyba że ten ktoś miałby jakieś konkretne dowody na poparcie swojej wersji.

Kilka minut po wyjściu Johna Bellavii Paul zadzwonił do Steve'a Johnstona. Niecałą godzinę później spotkali się w trójkę na Wielkim Wzgórzu w Parku Centralnym.

Miejsce zaproponowała April; miała powyżej dziurek w nosie bycia śledzoną, obserwowaną i podsłuchiwaną. Na Wielkim Wzgórzu nikt nie mógł podejść do niej nie zauważony.

Ponieważ wzgórze znajdowało się w mniej uczęszczanej części parku i mało komu chciało się na nie wspinać, mieli je niemal w całości dla siebie. Poza tym teren był na tyle rozległy, że nikomu nie udało się podejść z nienacka i nawet mikrofony o dalekim zasięgu nie zdołałyby uchwycić strzępów rozmowy.

Pragnąc skoncentrować się na reakcji Steve'a, April nie zabierała głosu, pozwalając, by Paul opowiedział o wizycie Johna Bellavii. Na twarzy Steve'a najpierw malowało się zdumienie, potem coraz większe niedowierzanie.

- Nie wierzę! - zawołał, kiedy poznał już wszystkie szczegóły. - Nie wierzę, że Bellavia tak po prostu przyszedł do was i że zamierzacie dalej ciągnąć tę sprawę. Po prostu mi się to w głowie nie mieści. Myślałem, że się wycofacie, że zostawicie wszystko w moich rękach...

- Tak chcieliśmy - powiedział Paul - ale to było zanim Bellavia przedstawił nam swoją wersję zdarzeń.

- Jego wersja to pewnie jedno wielkie kłamstwo. Gotów jestem się o to założyć.

- Może kłamstwo, a może prawda. Nie jest tak pozbawiona sensu, jak by się mogło wydawać.

- Nie jest pozbawiona sensu? A gdzie widzisz ten sens, co? Bo ja nie widzę najmniejszego sensu w tym, żebyście jechali we dwoje do Kanady razem z jakimś psychopatą, który równie dobrze może okazać się Napalmowcem.

April przeniknęła dreszcz. Przeczuwała, że Steve'owi nie spodoba się ich plan. Pod wieloma względami jej samej też się nie podobał, jednakże przemyśleli wszystko bardzo dokładnie i postanowili jechać - chyba że Steve zwróci im uwagę na coś, co sami przeoczyli.

- Posłuchaj, Steve - rzekł Paul. - Sytuacja wygląda następująco. Zakładając, że Bellavia mówi prawdę...

- Zbyt wiele zakładasz - mruknął Steve. - Łatwo twierdzić, że to Walker podłożył ładunek. Umarli, jak wiesz, nie mogą się bronić.

- Wiem. Posłuchaj, chcemy odwiedzić Gutteridge'a i przeprowadzić małą konfrontację. Kiedy facet uświadomi sobie, że prawda wreszcie wyszła na jaw, może uznać, że nie ma co się dłużej wypierać? Może przyzna się, że obaj z Walkerem kłamali?

- Paul, jeśli ktokolwiek powinien przeprowadzać konfrontacje, to ja, a nie wy. Jeżeli Gutteridge istotnie kłamał, bardziej się mnie wystraszy niż ciebie i April. I prędzej przyzna się do wszystkiego agentowi FBI niż parze cywilów. Poza tym, w przeciwieństwie do was, ja może mógłbym wynegocjować z nim jakiś układ.

- Nie zapominasz o pewnym drobnym szczególe? - spytał Paul. - Kanada nie leży na obszarze podlegającym kompetencjom FBI.

- To prawda - przyznał Steve. - Ale to nie znaczy, że nie mogę się tam wybrać i oficjalnie przeprowadzić z kimś rozmowy. Mogę, tyle że to zajmie trochę więcej czasu, bo biurokracja zawsze...

- Ile więcej? - zapytała April.

- Zależy. Najpierw musiałbym uzyskać oficjalną zgodę policji kanadyjskiej, ale powinienem ją dostać bez problemu. Kanadyjczycy zwykle idą nam na rękę. Jedyne problem, jaki widzę, to... Mówiliście, że gdzie on mieszka?

- W Port Credit. Na przedmieściach Toronto.

- No więc jedyny problem pojawiłby się wówczas, gdyby Gutteridge najnormalniej w świecie odmówił rozmowy ze mną.

- Moim zdaniem odmówiłby - wtrącił Paul.

- Wówczas musiałbym wrócić do Stanów, oskarżyć go i rozpocząć proces ekstradycji.

- Więc ile by trwało, zanim Gutteridge w końcu wylądowałby w Stanach? Kilka miesięcy?

- Zapewne tak.

- Dlatego nasz nieoficjalny wyjazd nie jest tak całkiem pozbawiony sensu, jak twierdzisz.

Steve wolno pokręcił głową.

- Powiedz, Paul, kto właściwie wpadł na pomysł wyjazdu? Bellavia?

- Chodzi ci o to, czy próbuje nas w coś wciągnąć? W jakąś pułapkę?

- Właśnie.

April zerknęła na Paula. Tego się najbardziej obawiali.

- Nie sędzę, żeby Bellavia coś knuł - odparł po chwili Paul. - Po prostu zdaje sobie sprawę, że gdyby przyszedł do FBI ze swoją historijką, nikt by mu nie uwierzył. Wszyscy wzięliby stronę Wayne'a Resdoe.

- Wie jednak, że postanowiliście mnie we wszystko wtajemniczyć?

- Tak. Uprzedziliśmy go, a on nie miał nic przeciwko temu. Między innymi dlatego jesteśmy skłonni wierzyć, że facet mówi prawdę. W każdym bądź razie, kiedy zaczęliśmy rozważać, komu prędzej FBI da wiare, Bellavia uznał, że bez dowodów na poparcie swojej wersji nie ma najmniejszej szansy. I że w związku z tym musi jechać do Kanady, żeby porozmawiać z Gutteridge'em.

- Że musi jechać? Sam? Więc to nie on zaproponował, żebyście się wybrali w trójkę?

- Nie, sami to zaproponowaliśmy. Pomyśleliśmy, że tak będzie lepiej. Jeśli Gutteridge zobaczy, że my wierzymy Bellavii, może wystraszy się, że inni, na przykład agenci federalni, również mu uwierzą.

Steve zadumał się na moment, po czym spojrzał na April.

- No dobrze, pojedziecie do Port Credit, zastukacie do drzwi i co powiecie?

April wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Po prostu Bellavia oznajmi, że gra skończona, że on sam zamierza wyjawić FBI prawdę. Zobaczymy, jak na to zareaguje Gutteridge.

- A potem?

- To zależy od niego. - Brak konkretnego planu trochę jej przeszkadzał. Pamiętała swoją poprzednią, nie zapowiedzianą wizytę u Gutteridge'a.

Utkwiwszy spojrzenie w ziemi, Steve rozgrzebał butem kępkę trawy, po czym podniósł z powrotem wzrok.

- Tak jak wam mówiłem, jestem prawie pewien, że Bellavia łże.

- A ja twierdzę, że może łże, lecz równie dobrze może mówić prawdę - rzekł Paul. - Wiemy, że uczestniczy w programie „Krok po kroku”. Mój kumpel wspomniał o tym w liście, który przysłał mi e-mailem. Może terapia skutkuje? Może dlatego uznał, że należy uporządkować swoje życie, oczyścić sumienie.

- Tak. A może wciąż ma obsesję na punkcie matki April i wszystko to jest częścią jakiegoś szalonego planu, żeby ją odnaleźć? Albo, jeśli sam jest Napalmowcem, może zamierza pozbyć się ciebie i April, bo uznał, że zbliżając się do prawdy, zagrażacie mu? Może pojedziecie do Kanady i wszelki ślad po was zaginie? Może...

- Nie przesadzaj - przerwał mu Paul. - Facet jest nadziany. Ma tyle forsy, że kiedy trafił na moje ogłoszenie w prasie, wynajął całą armię prywatnych detektywów. Jakby tego było mało, teraz wynajął prywatny samolot, który przewiezie nas do Toronto.

- Co?

- Tak. Wylatujemy o szóstej. Chodzi mi jednak o co innego. Człowiek tak bogaty, gdyby chciał nas zabić, nie ciągnąłby nas do Kanady. Bo po co? Bez trudu mógłby wynająć płatnego mordercę tu na miejscu.

- Pytasz: po co? Nie wiem. Może dlatego, że to psychopata? - powiedział Steve. - Może dlatego, że jego umysł działa inaczej niż u normalnych ludzi? Może dlatego, że wpadł na jakiś szalony pomysł, na przykład, że jedziecie we troje do Gutteridge'a i tam wszyscy giniecie?

Paul przysunął się do April i objął ją w talii. Nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, że wstrzymuje oddech. Teraz wciągnęła powietrze, zdumiona tym, jak bardzo uspokajająco działa na nią jego dotyk.

- Słuchaj, Steve - oznajmił Paul. - Przecież uprzedziliśmy Bellavię, że o wszystkim ci opowiemy. Nie będzie nas pozbawiał życia w Kanadzie, wiedząc, że znasz nasze plany. To absurd! W gruncie rzeczy zaś chodzi o to, że jeśli wersja, którą nam przedstawił, jest prawdziwa, potrzebujemy czegoś na jej poparcie. Na przykład oświadczenia Gutteridge'a.

- I uważasz, że Gutteridge na to pójdzie? Dlaczego miałby to robić? Po co miałby się obciążać? Nawet jeśli Resdoe zapłacił Walkerowi za podłożenie ładunku, a potem zapłacił im obu za zrzucenie winy na Birminghama, to przecież nie ma na to żadnych dowodów. I Gutteridge dobrze o tym wie. Jest tylko słowo psychopaty, który nagle po trzydziestu latach postanowił wyznać prawdę.

- Jest jeszcze oświadczenie Walkera.

- To nie wystarczy. Walker powiedział tylko tyle, że Birmingham jest niewinny. Teraz, kiedy facet nie żyje i nie można go przesłuchać, jego pisemne oświadczenie niewiele znaczy. Natomiast jeśli chodzi o Bellavię, mamy do czynienia z człowiekiem, który od lat cierpi na zaburzenia emocjonalne. Wy tłumaczenie, które wam podał, że uczestnictwo w jakimś

programie uświadomiło mu, że powinien oczyścić sumienie... przecież to śmieszne. Nikt go nie potraktuje poważnie, a już najmniej Gutteridge.

- Może moglibyśmy zablefować?

- Zastanawialiśmy się nad tym wspólnie z Bellavią -wtrąciła April, ciekawa opinii Steve'a.

- Zablefować? Niby jak?

- Moglibyśmy udawać, że Tom Walker zdradził Paulowi więcej niż faktycznie. Że podał mu parę nazwisk i kilka konkretnych dowodów...

- Chryste, posłuchajcie samych siebie! - zdenerwował się Steve. - To jest prawdziwe życie, a nie jakiś program telewizyjny! Naprawdę może wam grozić niebezpieczeństwo! Czy wy tego nie rozumiecie? Zapomnijcie o Bellavii, po prostu wróćmy do wczorajszych uzgodnień: że wy się wycofacie, a ja przejmę sprawę.

Paul popatrzył na April, ona jednak pokręciła głową. Zbyt wiele się od wczoraj zmieniło.

- Słuchaj - powiedział, zwracając się do Steve'a. -Z nami lub bez, Bellavia poleci spotkać się z Gutteridge'em. Jeśli poleci sam, diabli wiedzą, co z tego wyniknie. Jeśli powie coś nie tak i Gutteridge się wystraszy, to zanim ty uzyskasz te wszystkie wymagane zgody, facet już dawno będzie opalał się na jakiejś południowoamerykańskiej plaży.

- Zwieje tylko wtedy, jeśli był zamieszany w zamach.

- Niekoniecznie. Ojciec April zwał, chociaż nie miał z wybuchem nic wspólnego. Steve, April i ja po prostu nie możemy pozwolić, żeby Bellavia spotkał się z Gutteridge'em sam na sam. Gutteridge może być

kluczową postacią w tej całej sprawie. Kto wie, czy nie od tego, co powie, będzie zależała przyszłość Colina Birminghama.

- Powiem to po raz ostatni - rzekł Steve, kiedy zeszli z Wielkiego Wzgórza i ruszyli w stronę Central Park West. - Uważam, że popełniacie duży błąd.

- W porządku. Znamy twoją opinię - odparł Paul. April milczała, ale jawna dezaprobata Steve'a trochę ją zaniepokoiła. Agent podsunął wyżej na nos okulary i wskazał na drugą stronę ulicy.

- Tam zaparkowałem, więc... Jeśli jesteście zdecydowani lecieć do Kanady, życzę powodzenia. I odezwijcie się po powrocie. Bez względu na porę, koniecznie do mnie zadzwońcie, dobrze?

Paul skinął głową.

Przez moment Steve miał taką minę, jakby jeszcze chciał coś powiedzieć, ale potem się rozmyślił. Wzruszywszy ramionami, oddalił się w kierunku swojego samochodu. Paul ujął April za rękę i bez słowa skręcili tam, gdzie zaparkował cherokee.

- Wiesz, Paul - powiedziała, wsiadając do dzipa - stanowczość Steve'a trochę zbiła mnie z tropu...

- Nie wyglądasz na zbitą. - Uśmiechnął się do niej. Próbowwała odwzajemnić uśmiech, ale miała świadomość, że kiepsko jej to wychodzi. Nie tylko była przerażona tym, że może Steve ma rację i popełniają ogromny błąd, ale martwiła się również brakiem wiadomości od rodziców.

Nagle, zanim jeszcze Paul zdążył odjechać metr od krawężnika, zabrzączał jej telefon. Drżącymi rękami przysunęła słuchawkę do ucha.

- Myszko, to ja - powiedział ojciec.

April poczuła, jak na dźwięk jego głosu zbiera jej się na płacz.

- Rodzice? - spytał szeptem Paul.

Kiedy skinęła głową, w jego oczach pojawił się wyraz ulgi.

- Gdzie jesteś? - spytał ojciec. - Możemy swobodnie rozmawiać?

- Tak - odparła. - Idealnie trafiłeś. Jesteśmy w samochodzie Paula. -

Nagle przypomniała sobie, ilu różnych ludzi podsłuchiwało i śledziło ich poczynania. - Na wszelki wypadek nie zdradzaj mi jednak waszego miejsca pobytu - dodała szybko. - Powiedz tylko, jak się czujecie?

- Dobrze. Ale gdybym ukrył się wczoraj w tej szopie, byłbym podziurawiony na sito. Co się stało? Czy znajomy Paula go oszukał?

- Nie.

- Jesteś pewna?

- Tak. Resdoo okazał się znacznie lepiej poinformowany, niż sądziliśmy.

- Więc na czym stoimy? Co teraz?

Zawahała się; podejrzewała, że będzie jeszcze bardziej krytycznie nastawiony do ich planu niż Steve.

- Myszko? Nie miej przede mną tajemnic. Taka była nasza umowa, pamiętasz? Że o wszystkim mi mówisz.

Przykrywszy mikrofon ręką, szepnęła do Paula:

- Ojciec chce wiedzieć, co się stało i co planujemy...

- Opowiedz o wszystkim. Może wpadnie na coś, o czym sami nie pomyśleliśmy.

April wzięła głęboki oddech.

- Nie zgadniesz, tato, kto złożył nam niespodziewaną wizytę. John Bellavia.

- Żartujesz!

- Nie, tato. Nie jestem w nastroju do żartów.

Ojciec mruknął coś gniewnie pod nosem, po czym spytał:

- Co mówił? Czy... Chyba ci nie groził, co?

- Nie. Zachowywał się jak dżentelmen.

- Czego chciał?

Opowiedziała wszystko po kolei.

Oczywiście miała rację, podejrzewając, że ojciec będzie niezadowolony. Kiedy bowiem doszła do tego, że Bellavia wynajął samolot, aby mogli w trójkę polecieć na rozmowę z Gutteridge'em, Colin Birmingham ledwo hamował złość.

- Nawet nie powinniście o tym myśleć!

- Tato, już podjęliśmy decyzję. Zaraz ci wyjaśnię, czym się kierowaliśmy... - Mówiła szybko, na jednym wdechu, byleby tylko jej nie przerwał.

- Nie warto, Myszko - oznajmił, kiedy skończyła. - Ryzyko jest zbyt duże.

- To nasza ostatnia próba, tato. Potem, bez względu na rezultat, wycofamy się i pozwolimy Steve'owi działać.

- Wolałbym, Myszko, żebyś nie leciała z Bellavią.

- Wiem, tato - szepnęła. - Ale muszę.

Podczas rozmowy w mieszkaniu April John Bellavia powiedział, że ze względu na oszczędność czasu woli wyczarterować samolot, niż lecieć normalnym samolotem rejsowym. Zażartował nawet, że zdążą dolecieć do Port Credit i wrócić, zanim nowy kot April poczuje się samotny.

Zorientowawszy się jednak, że mają startować z małego aeroklubu mieszczącego się na Long Island, Paul zaczął podejrzewać, że Bellavii raczej chodzi o uniknięcie kontroli na lotnisku. Gotów był dać sobie rękę uciąć, że Bellavia - podobnie jak on sam - wyrusza w podróż uzbrojony.

Nie miał pojęcia, czy Gutteridge nie zareaguje gwałtownie, kiedy usłyszy, z czym do niego przybyli. Nie wiedział też, czy Bellavia gra w otwarte karty, czy też trzyma jakiegoś asa w zanadrzu. Tak czy inaczej uznał, że walther może okazać się bardzo przydatny. I chociaż kanadyjskie przepisy celne nie zezwalały na wwóz broni palnej, doszedł do wniosku, że spróbuje ją przemycić - celnicy nie powinni zbyt dokładnie sprawdzać trzech szacownie wyglądających osób.

Celników jednak w ogóle nie spotkali.

Pilot wylądował gdzieś poza obszarem Toronto - na polu, na którym stał nieduży hangar, a obok biegł pas startowy. Nikt nie wiedział, że przylecieli do Kanady, nikt nie będzie wiedział, kiedy ją opuszczą. O ile opuszczą...

Starając się odsunąć od siebie ponure myśli, Paul wziął April za rękę. Cessna kołowała w stronę hangaru. Nie potrafił się jednak uspokoić. Co chwila nachodziły go nowe wątpliwości.

Przeszkadzało mu wiele spraw związanych z wyjazdem. Ledwo samolot oderwał się od ziemi, Paul już zaczął żałować, że nie kazał April zostać w Nowym Jorku. Ale wiedział, że nawet gdyby ją o to błagał, ona i tak by go nie posłuchała.

- No dobra, bierzmy się do roboty - powiedział Bella-via, odpinając pasy, kiedy samolot stanął przed hangarem, po czym zwracając się do pilota, dodał: - Nie jestem pewien, ile czasu nam to zajmie.

- Nie szkodzi. Będę tu na państwa czekał. Słońce powoli chyliło się ku zachodowi.

Dwaj mężczyźni i April zeszli po schodkach z samolotu i skierowali się do czekającego przy hangarze szarego, nie rzucającego się w oczy chevroleta. Bellavia otworzył drzwi od strony kierowcy, wsunął do środka rękę i znalazł kluczyk.

- Ty prowadź - zwrócił się do Paula.

Oddał mu kluczyk i obszedł auto, otworzył przednie drzwi od strony pasażera, uprzejmym gestem wskazał April miejsce, zatrzasnął za nią drzwi, po czym sam usiadł na tylnym siedzeniu.

- Mam tu wskazówki, które należy jechać - oznajmił, wydobywając z kieszeni kartkę.

Paul włączył silnik,

- Skręć w lewo, jak dojedziesz do szosy...

Kiedy dotarli do autostrady, ponownie omówili strategię, którą zamierzali zastosować wobec Gutteridge'a. Potem zamilkli; przez resztę drogi w samochodzie panowała cisza. Zanim wjechali na parking przed motelem Port's View, wszyscy troje byli bardzo spięci.

Paul zgasił silnik. Patrząc przez okno na motel, April myślała o tym, jaka to ironia losu, że wraca na miejsce, z którego tak bardzo ostatnim razem chciała się wydostać. Po chwili Bellavia otworzył drzwi. Paul uścisnął szybko jej dłoń, próbując dodać otuchy.

Zacząła modlić się w duchu, aby nie spotkało ich nic złego. Tak bardzo kochała Paula, że na myśl o tym, by mogła go stracić, krew stygła jej w żyłach.

- Zaczynamy - szepnął.

Przez duże frontowe okno widziała Kena Gutteridge'a, który siedział przy biurku w swoim gabinecie. Zanim doszli do drzwi, podniósł głowę i również ich zauważył. Miał zaskoczoną minę, ale w sumie był znacznie mniej zdziwiony, niż się tego spodziewała.

- Proszę, proszę! - zawołał, kiedy weszli do środka. -Pan Gardiner i panna Birmingham. Widzę, że przyprowadziliście gości.

- Nie poznajesz mnie? - spytał Bellavia.

- A powinienem?

Bellavia wzruszył ramionami.

- Kiedyś się znaliśmy. Jestem John Bellavia. Gutteridge wpatrywał się w niego w milczeniu.

- Moglibyśmy gdzieś porozmawiać? - spytał Bellavia. -Na osobności...

- Joey! - zawołał Gutteridge w stronę drzwi prowadzących na zaplecze.

Po chwili pojawił się młody człowiek, którego April pamiętała z poprzedniej wizyty.

- Muszę na chwilę wyjść - powiedział do niego Gutteridge.

Odwrócił się i bez słowa poprowadził troje przybyszów do swojego mieszkania. Kiedy weszli do środka, wskazał ręką na kanapę. Bellavia usiadł na jednym końcu, April na drugim, Paul pozostał na nogach.

- Już się nasiedziałem - rzekł, opierając się niebale o drzwi.

Gutteridge również nie usiadł. Przez kilka sekund uderzał nerwowo palcami w wierzch telewizora, po czym spytał:

- No dobra, o co chodzi?

- Słyszałeś, jak sędzę, że Tom Walker nie żyje? - spytał Bellavia.

- Tak, słyszałem.

- Paul dostał od niego prezent.

April zerknęła przez pokój w stronę drzwi. Paul sprawiał wrażenie całkiem zrelaksowanego, a przecież wiedziała, że jest spięty.

- Otóż Tom sporządził oświadczenie i zostawił je u swojego prawnika wraz z instrukcjami, aby po jego śmierci przekazano je Paulowi - kontynuował Bellavia. - W oświadczeniu tym dokładnie opisał okoliczności związane z wybuchem w fabryce napalmu.

- Czyżby?

Nagle April poczuła, że coś jest nie tak. Kiedy poprzednim razem rozmawiała z Gutteridge'em, nie wydawało jej się, aby był zbyt dobrym aktorem. A zatem jeżeli wersja, jaką Bellavia im przedstawił, jest

prawdziwa, Gutteridge powinien teraz okazywać znacznie większy niepokój niż ten, który malował się na jego twarzy.

- W swoim oświadczeniu Walker operuje nazwiskami

- oświadczył Paul. - Przyznaje się, że podłożył ładunek i że całą akcję zaplanował Wayne Resdoe.

- W porządku, wystarczy.

April odwróciła się w stronę, z której dobiegł głos, i zamarła z przerażenia. W drzwiach sypialni ujrzała bowiem agenta Resdoe, który mierzył z broni w kierunku kanapy. W tym momencie Gutteridge wsunął rękę za telewizor i wyciągnął rewolwer, który wycelował w Paula. Zimny, dławiący strach odebrał April głos.

- Ty podły, wredny oszuście - warknął Bellavia. April wbiła w niego wzrok; serce waliło jej jak oszalałe.

Bellavia spoglądał na Gutteridge'a.

- Sam jesteś wrednym oszustem - burknął Gutteridge.

- Przez trzydzieści lat trzymaliśmy się jednej ustalonej wersji

- aż do dziś, dopóki do mnie nie zadzwoniłeś z tym swoim pokretnym planem. Cholera, naprawdę myślałeś, że zaufałym takiemu wariatowi jak ty? Że uwierzyłbym, że dasz mi dwa miliony dolarów, żebym mógł wynieść się na drugi koniec świata? Skoro postanowiłeś wykiwać Wayne'a, to prędzej czy później mnie też byś chciał wykiwać!

- Zadzwoniłeś do niego po naszej rozmowie telefonicznej ?! - ryknął Bellavia.

- Tak, psiakrew, tak! Cała moja rola w tym wybuchu sprzed lat ogranicza się do jednego małego kłamstwa, do zrzucenia winy na

Birminghama! Jeśli myślałeś, że pomogę ci zabić agenta FBI tylko po to, żeby uniknąć odpowiedzialności za jedno drobne kłamstwo, jesteś jeszcze bardziej szalony niż dawniej.

Kiedy Paul chrząknął, April spojrzała na niego przerażona; była pewna, że za chwilę oboje zginą.

- Nie za bardzo wiem, co tu się dzieje - powiedział zdumiewająco spokojnym tonem - ale cokolwiek Bellavia knuł, myśmy o niczym nie mieli pojęcia. Nie wiedzieliśmy, że do pana telefonował - dodał, zwracając się bezpośrednio do Gutteridge'a. - I zaręczam, że nie wiedzieliśmy również o jakichkolwiek planach pozbycia się kogokolwiek.

- To dlatego, że wąż też zamierzał sprzątnąć! - warknął Resdoe.

- Nieprawda! - zawołał Bellavia. - Nigdy bym nie skrzywdził córki Mary! Chciałem tylko naprawić wyrządzone przed laty zło.

- Jak? - spytał Resdoe. - Zabijając mnie?

- Czemu nie? Ty zabiłeś tych ludzi z fabryki.

- Ja? Przecież to ty podłożyłeś bombę. Ja ci tylko powiedziałem, kiedy i gdzie.

Oczy April weszły łzami. Wszyscy byli częścią spisku! Wszyscy byli winni śmierci siedmiorga ludzi! Teraz zaś, gdy Resdoe otwarcie przyznał, że zaplanował wybuch, na pewno ani jej, ani Paula nie puści wolno. Zastrzeli ich.

- Dobra, wstawajcie! - Wskazał w stronę szklanych drzwi prowadzących na nieduże patio. - Wychodzimy tylnym wyjściem. Na prawo stoi furgonetka. April usiądzie za kierownicą, ja przy niej. Ken zajmie miejsce z tyłu, a wy dwaj pośrodku - dodał, patrząc na Paula i

Bellavię. Potem skinął na Gutteridge'a. - Idź pierwszy. Upewnij się, czy nikt się nie kręci w pobliżu.

Gutteridge wyszedł na dwór, rozejrzał się uważnie na wszystkie strony, po czym dał znak, że droga wolna.

- W porządku, teraz wy - powiedział Resdoe do Paula i Bellavii. - Ja z April wyjdziemy na końcu. - Chwycił ją za ramię i wbił jej w żebra lufę.

Przełknęła ślinę, starając się powstrzymać łzy. Wyszli razem za budynek. Niebo coraz bardziej szarzało. Gutteridge otworzył przesuwane drzwi furgonetki i właśnie zamierzał wsiąść, kiedy nagle rozległo się wołanie:

- Hej, Resdoe!

Agent odwrócił się w stronę głosu. Korzystając z chwili nieuwagi, April błyskawicznie mu się wyrwała. Straciła równowagę i potknęła się, ale zanim Resdoe ponownie zdołał ją chwycić, Paul rzucił się na niego. Nagle powietrzem wstrząsnął huk wystrzału, a potem rozległ się przejmujący krzyk.

April znieruchomiała, przerażona, że Paulowi coś się stało. Ale po chwili zobaczyła, że to Resdoe trzyma się za ramię, a Paul ma go na muszce.

- Wy dwaj! Stójcie!

Znów ten głos. Głos, który znała tak dobrze.

Powiodła spojrzeniem w stronę, skąd dochodził. Mężczyzna stał w półmroku, przy ścianie budynku, z pistoletem wymierzonym w Bellavię i Gutteridge'a.

- Rzućcie broń, bo inaczej strzelę! - rozkazał groźnie.

Gutteridge cisnął broń na ziemię. Bellavia zawahał się, po czym poszedł za jego przykładem. Jedynymi, którzy pozostali uzbrojeni, byli Paul i jej ojciec.

Było już bardzo późno, kiedy April z Paulem wysiedli z cessny, która przywiozła ich z powrotem do aeroklubu na Long Island, i wsiedli do czekającego przed klubem dżipa.

Steve jednak prosił, żeby zadzwonili do niego bez względu na porę. Poza tym sami chcieli wiedzieć, co działo się podczas ich nieobecności. Bo nie ulegało wątpliwości, że Steve nie zostawił spraw swojemu biegowi.

Kiedy w Port Credit policja zjawiała się na tyłach motelu Port's View, oficer dowodzący poradził Paulowi i April, by „wtopili się w mrok” i zniknęli niepostrzeżenie; lepiej niech wrócą do samolotu i odlecą do Stanów, zanim ich ktoś tu „oficjalnie” zauważy.

Steve musiał mieć z tym coś wspólnego, ponieważ tylko dwóm osobom - jemu oraz ojcu April - mówili o wyczarterowanym przez Bellavię samolocie.

Jeśli zaś chodzi o ojca April - ulotnił się, zanim na miejsce strzelaniny przyjechała policja. Jego nagłe pojawienie się, krótkie i całkowicie nieoczekiwane, przypuszczalnie uratowało im życie. Gdyby nie on...

Gdyby nie Colin Birmingham, pomyślał Paul, nie wiadomo, czym by się to wszystko skończyło. Dzięki Bogu, że powiedzieli mu o swoich planach. I dzięki Bogu, iż Colin tak bardzo nie ufał Johnowi Bellavii, że na wszelki wypadek postanowił przekonać się na własne oczy, czy nie zamierza wyrzucić im krzywdy.

Wsiadłszy do dżipa, Paul wyciągnął telefon komórkowy i wystukał numer Steve'a. Agent odebrał po drugim dzwonku, ale nim Paul zdołał zadać pierwsze pytanie, zaproponował, żeby spotkali się w tej samej kawiarni co przedtem, na rogu Amsterdam i Siedemdziesiątej Trzeciej.

Czekał, kiedy dotarli na miejsce; na ich widok twarz rozjaśnił mu szeroki, zadowolony z siebie uśmiech. Ledwo dosiedli się do stolika, kiedy spod ziemi wyrosła kelnerka z dzbankiem kawy. Nalała każdemu pełen kubek brunatnego płynu i odeszła.

- No i co? - spytał Steve. - Wiecie w końcu, kto jest głównym winowajcą?

- Chyba tak. Resdoe przyznał się, że to on wszystko zaplanował. Steve pokiwał głową.

- Domyśliłem się, kiedy usłyszałem, że znajduje się wśród aresztowanych.

- Już o tym wiesz? - zdziwiła się April.

- Tak. Znam człowieka, który zajmuje dość wysokie stanowisko w policji stanu Ontario. Zadzwońłem do niego, kiedy powiedzieliście mi, że lecicie z Bellavią do Port Credit. A on oddzwonił do mnie, kiedy było po wszystkim.

- Więc jesteś dobrze poinformowany? - spytał Paul.

- Nie, wiem tylko, że nasi przyjaciele odmówili rozmowy z policją bez obecności adwokatów. Kiedy jednak usłyszałem, że zatrzymano Resdoe, kilka rzeczy sam wykombinowałem. Chryste, wierzyć się nie chce, że siedem niewinnych osób nie żyje tylko dlatego, że jakiś kretyn chciał się popisać i wyrzucić wrażenie na swoich zwierzchnikach!

April uścisnęła Paula za rękę. Popatrzył na nią i wypuścił wolno powietrze. Fakt, iż poznali prawdziwego zabójcę ojca, jeszcze nie w pełni dotarł do świadomości Paula.

- Co z nimi teraz będzie? - spytał, ponownie kierując wzrok na Steve'a. - Z Resdoe, Bellavią i Gutteridge'em?

- Postaramy się jak najszybciej ściągnąć ich pod swoją jurysdykcję - odparł agent. - Z Resdoe i Bellavią nie powinno być większych kłopotów; wjechali do Kanady nielegalnie, z pominięciem kontroli celnej. Z Gutteridge'em będzie trochę trudniej, ale też sobie jakoś poradzimy. Ale powiedzcie, co się działo tam, w Port Credit?

Kiedy zrelacjonowali mu przebieg wydarzeń, Steve westchnął głęboko.

- Innymi słowy Bellavia, który osobiście podłożył ładunek, uznał, że całą winę może zrzucić na Wayrie'a Resdoe.

- Tak - potwierdził Paul. - I pewnie by mu się udało, gdyby zdołał przekonać Gutteridge'a, żeby poparł jego wersję wydarzeń.

- A Gutteridge, zamiast go poprzeć, zadzwonił do Resdoe i opowiedział, co Bellavia szykuje. Ciekawe dlaczego? Dwa miliony, które Bellavia mu obiecał, to kupa forsy.

- Gutteridge chyba nie wierzył, że je kiedykolwiek zobaczy na oczy. Pewnie po namyśle doszedł do wniosku, że Bellavia zamierza nas wszystkich zabić. I że Resdoe przyda mu się do obrony.

- Mieliśmy szczęście, że Bellavia nas nie zastrzelił - powiedziała cicho April. - Nie powinniśmy byli mu ufać. Pod tym względem Gutteridge okazał się dużo od nas mądrzejszy.

- To prawda - przyznał Paul. - Wszystko się dobrze skończyło, ale następnym razem posłuchamy Steve'a.

- Następnym razem? - April uśmiechnęła się znużona. - Nie chcę żadnych następnych razów.

- Masz rację, ja też nie - rzekł Paul. Przez moment wpatrywał się w jej oczy, starając się nie myśleć o tym, jak by się czuł, gdyby spotkała ją jakakolwiek krzywda. Potem odwrócił się z powrotem do agenta: - Może byś nas teraz wtajemniczył w to, co się tu działo? Zadzwońiłeś do znajomego z policji w Ontario i co mu powiedziałeś?

- Lepiej nie pytaj. Po prostu ciesz się, że nie siedzisz w kanadyjskim więzieniu oskarżony o próbę zabójstwa agenta FBI. - Steve dopił resztę kawy i wytarł serwetką usta, powoli zbierając się do wyjścia.

- Nic nam nie zdradzisz?

- Nie. W tej sprawie już zbyt wiele nagiąłem reguł i złamałem przepisów... Aha, kiedy będziesz rozmawiała z rodzicami, April, możesz im wspomnieć, że niedługo wszystkie wytoczone przeciwko nim zarzuty zostaną wycofane.

- Wszystkie? - spytała podniecona.

- Sądzę, że tak. Zadzwonię do was, kiedy puszczę maszynę w ruch. Wtedy się spotkamy i pogadamy - dodał, wstając od stolika.

- Steve... - powiedziała April, kiedy zaczął odchodzić. Przystanął i obejrzał się za siebie.

- Dziękuję - szepnęła wzruszona.

Kiedy rozległ się terkot telefonu, April przytuliła się mocniej do Paula, z całej siły starając się zignorować natarczywy dźwięk. Była sobota

- pierwsza sobota wolna od zmartwień i trosk, którą planowali spędzić na słodkim lenistwie.

Po kilku dzwonekch poddała się; chcąc nie chcąc, zostawiła śpiącego Paula i wstała z łóżka. Marmolada, który rzeczywiście lubił spać w nogach, wydał jęk niezadowolenia, że się go tak bezceremonialnie budzi, po czym zeskoczył na podłogę i odszedł oburzony.

April włożyła szlafrok i ruszyła do gabinetu.

- April? Mówi Steve Johnston.

- Cześć, Steve. Serce zaczęło jej walić.

Pomimo tego, co Steve mówił tamtego wieczoru, nie do końca wierzyła, że rodzice zostaną oczyszczeni z wszelkich zarzutów. Pomyślała sobie, że jeżeli teraz Steve dzwoni, aby powiedzieć, iż wreszcie są wolni i mogą wyjść z ukrycia, to z radości zaraz otworzy butelkę szampana.

- Próbowałem złapać Paula, ale ciągle włącza się sekretarka automatyczna...

April poczuła, jak oblewa się rumieńcem. Wiedziała, że to idiotyczna reakcja. Jest przecież dorosłą kobietą, w dodatku bardzo zakochaną. Dlaczego ma się czerwienić i wstydzić tego, że ani ona, ani Paul nie potrafili spędzić z dala od siebie minuty dłużej, niż to było absolutnie konieczne?

- Paul jest u mnie - rzekła. - Zbudzić go?

Na moment zaległa cisza. April wyobraziła sobie uśmiech wypełzający na usta Steve' a.

- Nie, nie trzeba - odparł po chwili agent. — Równie dobrze mogę porozmawiać z tobą. Postanowiłem, że po tym wszystkim, co przeżyliście,

nagnę jeszcze jedną regułę i zdradzę wam, jak się sprawa posuwa. Wkrótce gazety będą o tym trąbić, ale do tego czasu prosiłbym o zachowanie dyskrecji...

- Oczywiście.

- No więc wszystko jest na jak najlepszej drodze. To, co Bellavia wam powiedział o zamontowaniu podsłuchu w mieszkaniu Wayne'a Resdoe, okazało się prawdą. Kiedy zaczęliśmy przeszukiwać jego mieszkanie, znaleźliśmy tysiące starych kaset magnetofonowych. Na jednej nagrane było, jak Resdoe, Gutteridge i Walker rozmawiają o tym, żeby winą za wybuch obciążyć twojego ojca.

April odetchnęła głęboko. Powoli jej obawy zaczęły ustępować; zanosি się na to, że rodzice rzeczywiście odzyskają wolność.

- Dowiedzieliście się, dlaczego Walker i Gutteridge zgodzili się w tym uczestniczyć? - spytała. - Czy chodziło im wyłącznie o pieniądze?

- Zdaje się, że tak.

Miała ochotę wybuchnąć płaczem. Przez niemal trzydzieści lat jej rodzice przenosili się z miejsca na miejsce, ukrywając się przed prawem, tylko dlatego, że dwóch facetów połasilo się na forszę.

- A John Bellavia? Przecież pieniędzy zawsze miał w bród, więc co nim kierowało? Chęć zemsty na moim ojcu, że odbił mu мамę?

- O dziwo, nie - powiedział Steve. - Jedna z zatrudnionych u nas psycholożek przeprowadziła z nim wiele rozmów. Jej zdaniem twój ojciec słusznie podejrzewał Bellavię ale niesłusznie przypisywał mu pobudki. Otóż Bellavia miał starszego brata, który zginął w Wietnamie. Był bardzo z nim związany. Śmierć brata niewątpliwie wpłynęła na jego zdrowie i

problemy emocjonalne. W każdym razie Resdoe bez trudu przekonał Bellavię, że zniszczenie fabryki wytwarzającej napalm będzie dla niego pewnego rodzaju zadośćuczynieniem... Jeśli chodzi o te ostatnie wydarzenia - ciągnął Steve - Bellavia tak umiejętnie łączy, tak dobrze miesza prawdę z fikcją, że nadal nie jesteśmy pewni, dlaczego akurat teraz postanowił zrobić z tym wszystkim porządek. Może psycholożka ma rację, może faktycznie Bellavia bardzo poważnie traktuje zalecenia programu „Krok po kroku”. Poza tym jest święcie przekonany, że to przez niego twoi rodzice musieli zejść do podziemia.

- Mimo że pomysł zrzucenia winy na mojego ojca wyszedł od Wayne'a Resdoe?

- Tak. Zdaniem Bellavii, gdyby wtedy odmówił, gdyby nie zgodził się podłożyć ładunku... W każdym razie, kiedy dojrzał w gazecie ogłoszenie Paula, potraktował to jako znak, że najwyższa pora naprawić wyrządzoną krzywdę. Chciał naprawić krzywdę, nie chciał jednak przyznać się, że to on jest Napalmowcem, więc wymyślił, żeby tym razem winą obarczyć agenta Resdoe.

- Boże - szepnęła April. - Gdybym coś takiego gdzieś wyczytała, pomyślałabym pewnie, że autor ma zbyt bujną wyobraźnię.

- Tak, czasem prawda bywa dziwniejsza od fikcji.

- A dlaczego mnie i Paula Resdoe wyłącznie straszyl? Dlaczego nie posunął się dalej? Jeżeli tak bardzo się obawiał, że możemy odkryć prawdę, dlaczego nas nie...

Urwała. Słowa: „nie zabił” lub „nie wykończył” nie chciały jej przejść przez gardło.

- Pewnie uznał, że to ryzykowne - odparł Steve. - Zbyt wielu ludzi wiedziało, czym się zajmujecie. Gdybyście nagle zginęli, może znów zaczęto by węszyć wokół sprawy wybuchu, może ktoś powiązałby fakty i idąc po nitce do kłębka, wpadł na właściwy trop?

- To brzmi sensownie - przyznała April.

- Masz jeszcze jakieś pytania?

- Tak. O rodziców. Czy mogę im przekazać dobrą wiadomość? Czy jeszcze za wcześnie?

- Możesz, śmiało. Czekam jedynie na parę podpisów. Lada dzień wszystko będzie oficjalnie ogłoszone.

Zamknęła oczy. Nie potrafiła wyrazić swej wdzięczności.

- Dziękuję, Steve - szepnęła. - Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy.

- To ja tobie i Paulowi powinienem podziękować. Odwaliliście większość roboty. Słuchaj, odezwę się, jak już będę miał wszystkie podpisy, dobrze? Trzymaj się i pozdrów ode mnie Paula.

- Jasne. Do usłyszenia. - Rozłączywszy się, wolnym krokiem wróciła do sypialni.

Paul leżał wyciągnięty na środku łóżka, z prześcieradłem naciągniętym jedynie do pasa, i spał w najlepsze. Przez chwilę spoglądała w milczeniu na jego twarz, której rysy wydawały się bardziej łagodne i regularne we śnie niż na jawie. Tak ogromnie go kochała, że sam jego widok powodował radość w jej sercu. Pragnęła położyć się obok, ponownie przytulić do jego piersi. Pragnęła obudzić go swymi pocałunkami i znów godzinami kochać się z nim.

Zamiast tego wzięła z szafki telefon komórkowy i przeszedłszy na palcach do salonu, zadzwoniła do motelu, w którym zatrzymali się rodzice; chciała jak najszybciej przekazać im dobrą nowinę. W pokoju hotelowym był tylko jeden aparat, więc trzymali słuchawkę pomiędzy sobą, tak by oboje naraz mogli słyszeć.

Kiedy opowiedziała im wszystko, co mówił Steve Johnston, w ich głosach zabrzmiało wzruszenie.

- Nie myślałam, że kiedykolwiek dożyjemy tego dnia - rzekła matka.

- A ja tak - powiedział ojciec. - Kiedy nasza Myszką coś postanowi, to zawsze osiąga cel.

April wybuchnęła radosnym śmiechem.

- Nie przypisuj mi, tato, całej zasługi. Paul i Steve przyczynili się w nie mniejszym stopniu.

- Skoro mowa o Paulu... - wtrąciła Mary Birmingham.

- Czy kiedyś go poznamy?

W tym pytaniu, jak April dobrze wiedziała, kryło się tysiące innych pytań.

- Ja go już poznałem - oznajmił ojciec.

- Och, Colin, to się nie liczy. Co to za poznanie na zapleczu jakiegoś motelu, po ciemku, z bronią w ręku?

- Tak, mamó, poznacie go. Na pewno będzie chciał być obecny, kiedy spotkacie się ze Steve'em.

- Aha. A potem? Czy poznamy go jeszcze lepiej?

- Potem? Cóż, poczekamy i zobaczymy.

Matka więcej nie nalegała. Wkrótce pożegnali się. April najpierw udała się do kuchni, a dopiero później do sypialni.

Kiedy stanęła w drzwiach, Paul już nie spał. Na widok tacy, którą trzymała przed sobą, posłał jej tak cudowny uśmiech, że niemal nogi się pod nią ugięły.

- Miraż to czy nie miraż? - spytał, spoglądając na butelkę szampana i wysokie kieliszki ze świeżo wyciśniętym sokiem pomarańczowym.

- Nie miraż - odparła.

Postawiła tacę obok łóżka i podała mu butelkę do otwarcia. Ściągając srebrną folię, nie odrywał od April oczu.

- Zgadnij, co oblewamy - powiedziała, kiedy zdejmował z szyjki drucik.

- To, że jest sobotni poranek? Że jesteśmy razem? Że się kochamy? Uśmiechnęła się.

- Owszem, ale i jeszcze coś. Zrzuciła szlafrok i wsunęła się do łóżka.

- Hm, to mi się coraz bardziej podoba - szepnął Paul. Pocałował ją czule w ramię, po czym wyjął z butelki korek.

- Uwielbiam, kiedy mężczyzna potrafi otworzyć szampana, nie rozlewając ani kropelki - powiedziała, podsuwając mu kieliszki do połowy napełnione sokiem.

Dolał do nich złocistego płynu.

- Za nas - powiedział, stukając się kieliszkiem.

- Za nas - szepnęła, czując lekki strach.

Jeszcze nigdy nie była połówką pary, tak wspaniałej pary. Było to cudowne, lecz i przerażające uczucie.

- No dobrze. - Popatrzył na nią nad brzegiem kieliszka. - Więc co jeszcze świętujemy?

- Steve dzwonił, kiedy spałeś.

Opowiedziała mu o rozmowie, jaką odbyła z agentem, potem o drugiej, jaką miała z rodzicami.

- Fantastycznie! - zawołał, gdy skończyła. - Pewnie są nieprzytomni ze szczęścia. Cieszę się też, że przy okazji parę innych spraw się wyjaśniło.

- Tak, ja również.

Odstawiła kieliszek; chciała zadać Paulowi kilka pytań, zanim widok jego nagiego ciała całkiem odbierze jej zdolność logicznego myślenia. Widząc, że April odstawia kieliszek, zrobił to samo.

- Jest jednak wiele pytań, na które nigdy nie poznamy odpowiedzi, prawda? - rzekła szybko, nim chwycił ją w ramiona. - Na przykład, dlaczego Tom Walker, kiedy przyznał ci się do kłamstwa, nie powiedział, że za wszystkim stali Resdoe i Bellavia?

- Pewnie bał się zemsty. Nawet umierający człowiek wzdryga się na myśl, że mogłaby go spotkać jakaś krzywda czy ból. Może uznał, że rozbudzi moją ciekawość, a dalej sprawy już same się potoczą?

- Może masz rację.

- Przepuszczalnie takie właśnie wytłumaczenie podam w książce.

- W twoim bestsellerze?

Uśmiechnęła się, przysuwając się odrobinę bliżej. Delikatnie gładziła ręką jego skórę na piersi, owijając sobie wokół palca porastające ją włosy. Poczuł, jak zalewa go coraz silniejsza fala pożądania.

- A ta kobieta, która zadzwoniła powiedzieć, że jesteś agentem - ciągnęła April. - Ciekawe, co to za jedna?

- Myślę, że Resdoe ją podpuścił - odparł.

Skinęła głową. W chwili, gdy nią poruszyła, wzrok Paula padł na jej szyję. Przysunął się, by ją pocałować, kiedy April przypomniała sobie kolejną nie wyjaśnioną zagadkę.

- No i co...

- Puk, puk - przerwał, przykrywając ręką jej dłoń, która wędrowała w stronę jego pępka. - Czy mnie również wolno zadać pytanie?

Obdarzyła go najpiękniejszym uśmiechem, jaki można sobie wyobrazić.

- Pewnie. Strzelaj. Odetchnął głęboko i zaczął:

- Wracając do początku rozmowy, że świętujemy sobotni ranek i to, że jesteśmy zakochani... sporo myślałem i... - Na moment zamilkł, usiłując zebrać odwagę - ..i doszedłem do wniosku, że powinniśmy się pobrać.

- Och, Paul!

Popatrzył w jej ciemne oczy, spojrzeniem próbując ją zmusić, by zawołała, że to wspaniały pomysł. Z każdą sekundą, która mijała w ciszy, serce biło mu coraz mocniej. W końcu nie wytrzymał:

- April, co ty na to? Czy wyjdiesz za mnie za mąż?

- Paul, to najcudowniejsze pytanie, jakie kiedykolwiek słyszałam w życiu.

Domyślając się, że odpowiedź brzmi „tak”, pochylił się i pocałował April w usta. Po chwili nie musiał się już niczego domyślać. Jej zachowanie nie pozostawiało nawet cienia wątpliwości.